

Sławomir Dawidziuk

Przez Pryzmat Wspomnień *Deportacja 1940-1946*

opracowanie tekstu

Dariusz Kloza

korekta językowa

Anna Opalińska

przygotowano staraniem

Podlaskiego Zarządu Oddziału Towarzystwa Opieki nad Majdankiem w Białymstoku

© TOnM Białystok 2004

© Sławomir Dawidziuk 1991

Zamiast Prologu

*„Szli na Wilno, bili silno,
Szli na Grodno i na Lwów.
W pomoczcz drugu wyszli k Bugu,
Cztob z ziemi zmiesti panow”*

Frontowyje stichi, 1939 r.
Słowa do melodii Dymitra Pokrassa
„Moskwa majskaia”

Tragiczny wrzesień

19 marca 1939 roku zmobilizowano ojca. Mieszkaliśmy w Bielsku Podlaskim. Był nauczycielem i oficerem rezerwy. Codziennie dojeżdżał do szkoły w Orzechowiczach. Pozostaliśmy sami: matula, starszy brat Milek i ja. W sierpniu nieoczekiwana radość z okazji przyjazdu ojca na urlop. Obchodził właśnie trzydzieste dziewiąte urodziny. Jako człowiek życzliwy nie mógł odmówić zaprzyjaźnionej rodzinie Ciepluchów trzymania do chrztu ich pierwszotnego syna. Niestety, radość przysła z chwilą doręczenia depeszy z rozkazem natychmiastowego powrotu do miejsca postoju na pruskiej granicy. Nie było szansy na powrót do domu. Milek, którego ojciec posłał do bufetu po papierosy, spotkał się z nim dopiero po dwudziestu latach. Pomimo powszechnej euforii, żeśmy „silni, zwarci i gotowi”, odjazd ojca pierwszym przygodnym pociągiem przywoływał myśli raczej ponure.

Nie trzeba było długo czekać. O świcie pierwszego września bombardowanie stacji i pierwsze ofiary. W rejonie dworca kolejowego w drodze do szkoły ginie mój rówieśnik, syn nauczyciela Kani. Przez kilkanaście dni, ilekroć syreny obwieszczały złowieszczo alarm lotniczy, pędziliśmy co sił do schronu ziemnego u Buszków. Było ciasno, ale razem zawsze rażniej. Niebawem wkroczyli Niemcy, w naszym domu zakwaterowano grupę zmotoryzowanej piechoty. Motocykle terkotały bez przerwy w dzień i w nocy. Nocne wypadki patroli i głośne rozmowy wartowników pod oknami były prawdziwym koszmarem. Siedzieliśmy w jednym pokoju wzajemnie dodając sobie odwagi. Nie wiadomo, co tym bandytom może wpaść do głowy.

O ojcu nie wiedzieliśmy nic. Dopiero później dotarły do nas wiadomości, że cofając się z frontem z granicy pruskiej do Modlina walczył w obronie Warszawy i w wyniku kapitulacji dostał się do niewoli. W każdym razie, świadomi bestialskich mordów na Polakach, przez cały czas drżeliśmy ze strachu. Niemcy byli zadowoleni i dumni ze swego zwycięstwa. W chwilach wolnych opowiadali zapewne sprośne kawały, bo często cała zgraja wybuchała spontanicznym śmiechem przy akompaniamencie bezceremonialnych, głośnych pierdów.

Trzeciego czy też czwartego dnia postoju ruch wokół domu był szczególny. Wyczuwało się ogólne podniecenie. Padły głośne komendy, a nieustanny warkot silników stwarzał atmosferę autentycznej grozy. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje i czy jesteśmy bezpieczni. Milek po roku nauki niemieckiego w gimnazjum wylapywał pojedyncze słowa, ale trudno było skonstatować o co właściwie chodzi.

Poranne słońce wyjaśniło wszystko. Po Niemcach ani śladu. W zajmowanych przez nich pokojach pod słomą, na której spali, sporo pustych butelek, na podwórzu obrabowane ule. Zostały jedynie puste ramki. Do dzisiaj nie mogę sobie tego uzmysłowić jak to zrobili podczas nocy i bez jakiegokolwiek zabezpieczenia.

Tego dnia przed południem dostaliśmy wiadomość, że do Bielska wkraczą Sowiet. Wątpliwości rozwiały się niebawem, gdy u zbiegu szosy białostockiej z ulicą Żwirki i Wigury zobaczyłem przygotowaną powitalną bramę i zbiegowisko gapiów. Wkrótce nadjechał pierwszy czołg z emblematem czerwonej gwiazdy. Nie było żadnej wątpliwości. Tak, to byli Rosjanie. Skąd się jednak tu wzięli i jak do tego doszło? Pytanie to na razie pozostało bez odpowiedzi. Tymczasem jeden z czołgistów wysiadł z pojazdu, wyciągnął z kieszeni woreczek z machorką i zawiązał w gazetowy papier skręta, zachęcając przyjaznym gestem stojących opodał, aby zechcieli się poczęstować. Nagły, potężny wybuch w południowej części miasta zaskoczył wszystkich. Dało się zauważyć, że było to zaskoczenie również dla patrolu. Wyjaśniło się później, że odstępujący Niemcy wysadzili w powietrze zgromadzone przy rampie kolejowej ich własne, zniszczone przez grupę polskich żołnierzy czołgi w rejonie żydowskiego cmentarza przy brańskiej szosie.

Niebawem nadjechały dalsze czołgi, które witano przyjaźnie i z ufnością. Zagadka wyjaśniła się dopiero później. Niemcy odchodzili, a Rosjanie wkraczali na mocy podpisanego układu Ribentrop-Mołotow z 23 sierpnia i tajnego protokołu z 28 września 1939 roku. Jako filatelista-amator z okolicznościowej serii znaczków dowiedziałem się, że nastąpiło „*oswobodzenie brackich narodów Zapadnoj Ukrainy i Białorusi*”. A zatem zostaliśmy wyzwoleni?

Niestety, czas robił swoje. Życie stopniowo powracało do normy, ale już na nowych sowieckich prawach. Jak wiadomo, w okresie rozbioru Polski część wschodnia województwa białostockiego wchodziła w skład terytorium byłego Cesarstwa Rosyjskiego, gdzie w stosunkach cywilno-prawnych dotyczących własności, obowiązywał X tom *Zwodu Praw* tegoż cesarstwa. Stąd zapewne pomysł „wyzwolenia” i usprawiedliwienie bezprawnej agresji.

Wkroczeniu wojsk sowieckich towarzyszyła szeroko rozwinięta propaganda. W piątej klasie dziesięciolatki, do której trafiłem w wyniku reformy systemu oświaty, spotkałem się z broszurą formatu B5 w ciemnoczerwonej oprawie pt. „*Frontowyje stichi*”, gdzie można było znaleźć odpowiedź na nurtujące wątpliwości:

„w pomocz drugu wyszli k Bugu,
cztoz zmiesti z ziemi i panów”

Refren piosenki zapewniał ponadto i to jednoznacznie, że „*pańskiej Polszy nietu bolsze i nie budiet nikagda*”. Wprowadzanym reformom towarzyszyła całkowita dezorganizacja rynku. Był ten oficjalny, ubogi, bez soli, cukru i ropy i nielegalny po paskarskich cenach. Środki higieny osobistej pochodziły przeważnie z przemytu, głównie z okupowanej Warszawy. Właśnie tym kanałem, przez Bug, dostaliśmy wiadomość o ojcu.

W nowej sytuacji ekonomicznej powstał realny problem dalszej egzystencji naszej rodziny. Bieżące należności za dom i wykończony od frontu ganek matka zapłaciła Żydowi z ostatniej gaży ojca. Na dom oszczędzało się przez całe lata. Miałem rodzicom za złe, że inne dzieci mają lepiej i pieniądze na drobne wydatki, my zaś żyliśmy po prostu bardzo oszczędnie. Teraz nie było żadnej szansy. Matka podjęła więc pracę

jako nauczycielka języka rosyjskiego w młodszych klasach dziesięciolatki. Innych możliwości nie było. Matka rosyjski znała wspaniale, gdyż ukończyła pensję w Piotrkowie Trybunalskim z rosyjskim językiem nauczania. Zanim zamieszkaliliśmy w Bielsku matka była nauczycielką i w zawodzie tym posiadała niezbędną praktykę. Nigdy nie zerwała kontaktu z rosyjskim. Widziałem, jak po wkroczeniu Sowieców czytała nocami skrycie kilkutomowe dzieło „*Ot bielowo orla do krasnoj znamieni*”. Mówiła, że jest to książka zakazana i nie należy nikomu o tym mówić.

W domu z konieczności nastąpiły rewolucyjne zmiany. Spadły na nas dodatkowe obowiązki. Po zajęciach w szkole spotykaliśmy się w domu głodni i rozdrażnieni. Coraz trudniej udawało się wiązać koniec z końcem. W szkole nowym nauczycielom płatano niewybredne figle. Systematycznie z szaf bibliotecznych wykradaliśmy polskie książki, gdyż krążyły pogłoski, że zostaną zniszczone. Do domu ich nie przynosiłem, bałem się matki. Mimo to coraz częściej popadałem w kolizję z domowym regulaminem i prawem. O niektórych sprawkach z tego okresu matka nie dowiedziała się nigdy - po prostu nie było ku temu okazji.

Feralna trzynastka

Tej koszmarnej nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 roku zdarzyło się wiele. Po wypadzie bez pozwolenia matki do kina na niedozwolony, a zarazem fascynujący małałatów film pt. „Cyrk”, oberwałem jak należy za samowolę i łamanie reguł domowego porządku. Zmaltretowany awanturą i rygorystycznie wykonaną karą leżałem na otomanie w butach i ubraniu. Nie było mi jednak sądzone tej nocy zasnąć. Rozgoryczenie i żal, poczucie niesprawiedliwości i krzywdy stanowiły tło do głębokich wewnętrznych refleksji. Przecież wiedziałem dobrze, że matka niczego nie przepuści. Mawiała zwykle „*Jepsze bite niż zdechle*” i w przypływie nerwów nie zawsze zastanawiała się gdzie i czym uderzyć. Obok autentycznego żalu i pretensji na przemian trawiłem w sobie poczucie winy. Nagle usłyszałem przeraźliwie głośne łomotanie do drzwi wejściowych od podwórka.

- Otwierać! NKWD!

Zamieniłem się w słuch, oczekując co dalej. Nie słyszałem wszystkiego. Od kuchni, gdzie rozgrywał się tragiczny dramat, oddzielał mnie jeszcze jeden pokój. Nerwowe, lecz zdecydowane słowa matki: „*strelajcie, ja nikuda nie pojeżdżę*” - napawały grozą. Zrozumiałem, że sprawa jest bardzo poważna, a mimo to, na przekór wszystkiemu, w głębi serca odczuwałem swoistą ulgę. Przecież rano nie muszę iść do szkoły ani usprawiedliwiać nocnej eskapady do kina na film przeznaczony tylko dla dorosłych.

Z poczuciem winy, zmaltretowany wszedłem do kuchni, gdzie rozgrywała się ponura scena przemocy uzbrojonych, pozornie wyrozumiałych emisariuszy bolszewickiej władzy, którym przypadło w udziale oznajmienie o deportacji całej rodziny w głąb terytorium ZSRR i wykonanie tej potwornej decyzji na bezbronnej, chorej na serce (*angina pectoris*) kobiecie z dwojgiem nieletnich dzieci.

Matka w hysterii całkowicie straciła głowę. W przeblaskach świadomości, kierując się życiowym doświadczeniem oraz instynktem samozachowawczym, wydawała nam różne dyspozycje. Między innymi, aby zabrać przymus i denaturat, na co natychmiast zareagował starszy ranga: „*etowo nielzja*”. Gdy Miłek wyciągnął rower, znowu padło stanowcze stwierdzenie: „*etowo nie nada, u nas wielosipiedow mnogo*”.

Na podwórku oczekiwała furmanka, na którą ładowaliśmy nasze rzeczy. Autentycznie życzliwy furman, widząc co się dzieje, dopingował nas: „*nie patrzcie na matkę, bierzcie wszystko, co się da: pościel, odzież i wszystko, co przedstawia jakąkolwiek wartość*”. W atmosferze autentycznej awantury, kontynuowanej przez zirytowaną matkę, ładowaliśmy na wóz co wpadło pod rękę, w tym wysunięty spod łóżka pleciony kosz na bieliznę, w którym znajdowała się *Encyklopedia Powszechna Ulthima-Thule*, ozdobnie oprawiona, ze złożoną ornamentacją *Wiedza o Polsce* oraz *Polska w krajobrazie i zabytkach*, *Nowe lecznictwo przyrodnicze* i rozrywana później przez wszystkich powieść *Hrabia de Monte Christo*.

Trudno było przewidzieć, zresztą w tym czasie nikt się nad tym nie zastanawiał, ile problemów, kłopotów i zawiści sprawi nam, a w rezultacie mnie osobiście ten „skarb”. Pod hasłem LENIN w VI tomie encyklopedii na str. 410-415 zawarto informacje, za posiadanie których można było dostać dożywocie, nie mówiąc o ich rozpowszechnianiu. Aż wierzyć się nie chce, że ten kilkupudowy „majątek”, zabezpieczony później w drewnianym kufrze, taskałem na własnych plecach przy okazji ciągłych przeprowadzek podczas całej włóczęgi, aby ostatecznie w stanie nienaruszonym przywieść z powrotem do Polski.

W deportacji uczestniczył również jako świadek nasz niedaleki sąsiad Józef Suszko, któremu - jak się później okazało - powierzono pieczę, w istocie zaś likwidację pozostawionego mienia.

Byliśmy w zasadzie już gotowi do wyjazdu i oczekiwaliśmy z Miłkiem przy naszych rzeczach na podwórku, podczas gdy matka kategorycznie odmawiała wyjścia z domu i nie miała najmniejszego zamiaru ruszyć się z miejsca. Pałac papierosy jeden za drugim histerycznie zlorzeczyła na Stalina, na całą sowiecką władzę i jej barbarzyńską przemoc. Świtało. Po matkę sprowadzono auto. Poinformowano, że nie jesteśmy sami. Po drodze o kilka domów dalej przymusowy postój u sąsiadów. Z domu tego wywieziono już rodzinę Kontrymów. Teraz „nasi” oprawcy zabierali się za Majewskich. Widocznie obawiano się zbyt wielkiej awantury przy deportacji dwóch rodzin z jednego domu jednocześnie. Czekaliśmy więc w salonie, patrząc bezradnie na tragedię kolejnej rodziny. Niebawem nastąpił przełom w stanie napięcia nerwowego matki i pewne odprężenie. W poczuciu kompletnej bezsilności matula cicho płakała. Było mi bardzo smutno.

Gdy przyjechaliśmy na rampę załadowniczą, było już zupełnie widno. Matulę przywieziono samochodem, ja przyjechałem furmanką, a Miłek siedział za nią nieco z tyłu. Gdy chciał wejść wprost na rampę na skróty, został ostro skarcony przez wojskowego, aby się tu nie pałętał. W tym momencie właściwie mógł sobie

odejść bez żadnych problemów, ale w tym stanie roztrzęsienia nerwowego matki zapewne nie brał pod uwagę takiej ewentualności i pozostał z nami. Do wagonu załadowano kilkanaście rodzin, wypełniając go ponad miarę bagażem i ludźmi. Wagonów było sporo - skompletowany na trasie transport liczył ich kilkadziesiąt. Nie byliśmy więc sami. Zapadły rygle; odtąd otwierano je tylko przy okazji zaopatrzenia w żywność, głównie zaś w kapiatok. Dzięki przezorności matki, która szanowała każdy skrawek chleba i doświadczyła podczas I wojny światowej, co znaczy głód, zabraliśmy ze sobą cały worek sucharów. Bezcenną wartość tego mieliśmy okazję weryfikować przez całą drogę, pokonując dystans ponad sześciu tysięcy kilometrów na wschód i tylko siedem godzin różnicy w czasie.

W nieznane

Transport ruszył w kierunku Baranowicz. W wagonie większość stanowiły kobiety, kilku starszych mężczyzn, trochę młodzieży i w różnym wieku dzieciarnia. Milek, jak zwykle ciekawy i czujny, był do dyspozycji w każdej chwili, gdy trzeba było iść po zaopatrzenie, na które najczęściej składał się chleb, kapiatok i czasami zupa. Po dwie osoby z każdego wagonu zbierano w grupy i eskortowano do punktu zaopatrzenia „pod sztykom”, jak groźnych przestępców. Niestety, okazji takich w okresie początkowym podróży nie było zbyt wiele. Przydziały żywności co prawda pozwalały przeżyć, były jednak stanowczo za nędzne, aby utrzymać odpowiednią kondycję.

Byliśmy całkowicie zdezorientowani co do kierunku jazdy, jak i miejsca przeznaczenia transportu. Zaryglowane od zewnątrz drzwi wagonu i zasuwki otworów okiennych uniemożliwiały obserwację trasy, a przez niewielkie szpary w drzwiach i ścianach nie można było odczytać mijanych miejscowości i nazw stacji, a jeżeli nawet udało się, nazwy te niewiele wyjaśniały. Jedynie postój na większych, bardziej znanych z podręczników geografii lub wydarzeń historycznych stacjach umożliwiał identyfikację, gdzie jesteśmy: Mińsk, Homel, Orzeł..., a więc chyba w kierunku Moskwy? W wielu przypadkach domysły okazywały się całkiem chybione. Oto po całonocnej jeździe okazuje się, że ponownie jesteśmy na stacji Orzeł. Widać decyzje podejmowano doraźnie i korygowano je w zależności od sytuacji. Dorośli prowadzili nieustanne dyskusje i namiętnie spekulowali, usiłując rozszyfrować okrutny los i odgadnąć przeznaczenie.

Po upływie około dwóch tygodni łaskawie odblokowano zaryglowane okna. Powstała zatem szansa na kontakty słowne i wizualne z przypadkowo „spotykanymi” w czasie postoju tubylcami. Pomimo umieszczonych wysoko pod dachem okien, a właściwie niewielkich otworów okiennych, podejmowano próby nawiązywania kontaktów i zdobycia chociażby szczątkowych informacji. Nie było to łatwe, gdyż tego rodzaju transporty ustawiano zazwyczaj na uboczu, pomiędzy składami towarowymi. Zdarzało się, że spotykały się obok siebie dwa transporty deportowanych Polaków z różnych stron. Jednak wojskowa eskorta transportu z reguły zabraniała bezpośrednich kontaktów ludności cywilnej z deportowanymi, grożąc niekiedy użyciem broni. Często więc padały ostre słowa: „ty kuda? Stój - strela! bud!” Taka perswazja zazwyczaj była skuteczna - przypadkowy przechodzień natychmiast zwracał z obranej drogi.

Sytuacja uległa pewnej poprawie dopiero gdy znaleźliśmy się na terytorium republiki tatarskiej. Tu w czasie postoju *eszelonu* dochodziło do bezpośrednich rozmów z tubylcami, a nawet i do transakcji handlowych. Przede wszystkim kupowano mleko i chleb za pieniądze lub na zasadzie wymiany. Po słodkim smaku mleka wnet zorientowano się, że nie jest to mleko krowie. Przewrażliwionym paniom w większości stawalo ono ością w gardle, ale dzieciaki nie wybrzydzały i piły raczej chętnie.

Wołgę przekroczyliśmy w malowniczej i pięknie wkomponowanej w niecodzienny krajobraz miejscowości Kazań. Wołga jest tu bardzo szeroka. Most kolejowy był zdecydowanie dłuższy od naszego *eszelonu*, dając skalę porównawczą wielkości rzeki. Z Kazania kierunek wprost na Świerdłowsk i dalej na Wschód. Osobiście w dalszym ciągu nie zdawałem sobie w pełni sprawy z powagi sytuacji i nie stawiałem sobie pytania co dalej. Wlokący się beznadziejnie czas w większości spędzaliśmy beztrudnie przebywając na środkowej pryczy poza zasięgiem wzroku dorosłych. Opowiadaliśmy sobie najprzeróżniejsze, prawdziwe lub zmyślane zdarzenia, anegdoty, bajki i brednie. Uczestniczyliśmy również w zbiorowych modłach i śpiewaniu pobożnych pieśni.

W dzień z pozycji leżącej lub kucnej przy oknie na górnej pryczy można było oglądać trasę przejazdu i przyległe do niej obszary. Wielkim przeżyciem było przekroczenie Uralu. Wręcz z zapartym tchem obserwowaliśmy napawające grozą przełęcze, nieprawdopodobnie ukształtowane skalne urwiska i krawędzie przepaści, na których z wielkim trudem pociąg pokonywał ekstremalne wzniesienia przy „zaprzęgu” trzech ciężkich parowozów. Taką operację pokonywania szczególnie trudnych odcinków górskich kolejarze określali jako jazdę „*dwojnoj tiagoj z tołkaczom*”. Zadaniem dwóch lokomotyw z przodu było forsowanie wzniesienia, w istocie zaś pokonywanie siły bezwładności masy pociągu, natomiast doczepionej z tyłu - jego ubezpieczanie na wypadek rozerwania pociągu oraz wspomaganie dwóch pozostałych w razie potrzeby. Tu na ostrych łukach widać było jak na dłoni cały bardzo długi skład pociągu.

Widoki miejscami były wspaniałe. Nigdy w życiu nie byłem w górach. Nie miałem absolutnie pojęcia o tym, że niekończący się korowód wyrastających spoza siebie, w przezroczysto-błękitnej bezkresnej otchłani nieba, nieprawdopodobnie ukształtowanych, a zarazem zdeformowanych, coraz to wyższych skał, może tak zauroczyć. Byłem oczarowany urodą zarówno tych nagich, jak i tych wysoko w górze pokrytych śniegiem, zasłaniających widok nieba szczytów. Chwilami przychodziło mi na myśl, że może warto tu było trafić chociażby po to, aby zobaczyć to wspaniałe dzieło natury. Jakże byłem jeszcze dziecinny i niefrasobliwy wobec

otaczających realiów i zgotowanego nam przez „wyzwolicieli” losu. Realiów tych w ogóle nie potrafiłem zrozumieć, losu zaś ani wyobrazić, ani przewidzieć.

Płynęły długie dni podróży, a rytm bytowania i wegetacji w bydlęcym, byle jak przystosowanym dla ludzi wagonie, poza incydentalnymi klótniami i sprzeczkami o kawałek chleba, kubek gorącej wody, pilne zwolnienie dziury w podłodze, o dzieci... powtarzał się cyklicznie. Rano śpiewano *Kiedy ranne wstają zorze*, wieczorem *Wszystkie nasze dzienne sprawy*, w ciągu dnia najczęściej *Serdeczna Matko* i *Boże, coś Polskę*, także inne pieśni oraz odmawiano wspólnie modlitwy i różaniec.

Za Uralem jeszcze bardziej złagodzone stosowane dotychczas ograniczenia, środki ostrożności i rygory. Zmniejszono ilość konwojentów, zezwolono na jazdę przy częściowo uchylonych drzwiach, na szerokość skrajnego występu rygla. W czasie dłuższego postoju można było palić ogniska i gotować strawę na zewnątrz wagonu - w miarę oddalania się od domu i Polski najwyraźniej stawali się bardziej nieszkodliwi. Tubylcy na widok transportu nie sprawiali wrażenia zaskoczonych, byli raczej obojętni. W Pietropawłowsku - stolicy *siewierokazachstanskoj oblasti* - na pytanie dokąd nas wiozą jeden z kolejarzy odpowiedział: *to już niedaleko!* Powiedział prawdę. Pięćdziesiąt kilometrów dalej to w stosunku do przebytej drogi rzeczywiście blisko, a zarazem jakże daleko...

Nowy byt

Na stacji docelowej Smirnowskij panował niesamowity rozgardiasz, któremu towarzyszyły dezorientacja, przerażenie i rozpacz. Opuszczając wagony niektórzy dopiero teraz spotykali swoich krewnych, rozpoznawali znajomych i bliskich towarzyszy niedoli. Nazwa stacji kolejowej nie dawała pełnej odpowiedzi na nurtujące wszystkich od dawna pytanie, gdzie jesteśmy, w jakie trafiliśmy środowisko i co dalej. Wiedzieliśmy już, że dzieli nas godzina jazdy pociągiem od Pietropawłowska - siedziby władz administracyjnych *siewierokazachstanskoj oblasti* w Kazachskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Tu rozpoczyna się drugi etap realizacji zbrodniczej decyzji o deportacji bezbronnych i niewinnych ludzi.

Przy ustawionych na dworze stołach w asyście funkcjonariuszy NKWD urzędowali miejscowi władcy, dokonując pseudodemokratycznego rozrządu tłumy, dając możliwość wyboru przyszłego miejsca pobytu. Związani wspólną niedolą i przebytą drogą tulacze, jakby skazani na siebie wyrokiem przeznaczenia, trzymali się jednak razem. Wybór mógł następować tylko w ciemno, nazwy miejscowości w istocie nic nie mówiły. Zdenerwowani i zdeorientowani ludzie przyjmowali więc propozycje tamtejszych władców bez zastrzeżeń. Matula odrzucała wszystkie nazwy obcojęzyczne typu *Arkałyk*, *Bejniętkor*, *Urnęk* itp., podejrzewając słusznie, że są to osiedla rdzennych tubylców - Kazachów. Wybór padł na wieś Borki, kolchoz *Nowyj byt*, odległy około trzydziestu kilometrów od miejsca rozładunku transportu. Do miejsca przeznaczenia zostaliśmy przewiezieni otwartymi samochodami ciężarowymi typu ZIS gaz-generator, napędzanymi gazem uzyskiwanym w procesie beztlenowego spalania drewna. Tam ulokowano nas z tobołami na placu przed siedzibą zarządu kolchozu, gdzie byliśmy przedmiotem dyskretnych i bezczelnych obserwacji, zaciekawienia, podziwu oraz drwin lokalnej inteligencji i pospólstwa. Między innymi można było usłyszeć uwagi typu: *smotry, smotry, przyjechali polskije pany*. Wypowiedzi te rozumiałem wprost. Przecież w świadomości tych ludzi - podobnie, jak to robiono z nami w *diesietiletce* - nie od dzisiaj kształtowany wypaczony obraz Polski i Polaków. Trudno się było zresztą temu dziwić, skoro w refrenie hymnu samouwielbienia *szli na Wilno, bili silno...* bisowano proroczo złowieszcze słowa: *pańskoj Polsce nie tu bolsze i nie budiet nikagda...* Wszak były to słowa sławiące sukcesy „bohaterskiej” Armii Czerwonej i wydarzenia zaledwie sprzed kilku miesięcy. Zapewne nie zapomniano tu jeszcze innej melodii i słów rewolucyjnej pieśni z drugiej dekady naszego stulecia *„pomniat polskije pany, pomniat psy i otomany bojowej wosiemnadcatyj god”*. Tak. To właśnie tu przyszło nam wegetować, tu spełniać los administracyjne zesłanych na katorżniczą pracę i poniewierkę oraz ponure posłannictwo na tej nieludzkiej ziemi. Tu trzeba będzie rozpoczynać wszystko od nowa.

W tym wielkim nieszczęściu autentycznym szczęściem było, że trafiliśmy do ruskiego kolchozu, gdzie można się było porozumieć, a ludzie wbrew oczekiwaniom byli w miarę życzliwi. Dobór gospodarzy, u których mieliśmy zamieszkać, był raczej przypadkowy. Trafiliśmy do rodziny Makarenków, zamieszkującej zwykłą drewnianą chałupę przy ulicy Oziernaja Nr 2. Gospodarze ulokowali nas w izbie, z której korzystali dotychczas raczej od święta, gdzie dwa drewniane łóżka z siennikami w porównaniu z wagonowymi pryzami stwarzały wręcz komfortowe warunki wypoczynku i do tego bania, prawdziwa ruska bania, z której skorzystaliśmy chętnie zaraz po przybyciu na miejsce. Gospodarze w zasadzie spalili w kuchni na piecu, czasami w pokoju na leżance-przypiecku. Było to urządzenie służące do ogrzewania chałupy, przystosowane do spalania kamyszu lub piolunu. Po drugiej stronie chałupy duży pokój był załadowany po same okna ziarnem pszenicy, stanowiącej ekwiwalent za kilka lat pracy w kolchozie. Na pierwszy rzut oka nie było więc najgorzej.

Borki - malowniczo położona miejscowość - otoczona z trzech stron - jak okiem sięgnąć - gołym stepem, przylegała do sporego słodkowodnego jeziora, co nadawało jej szczególny urok. Nieco dalej znajdowały się jeszcze dwa słone. Każdego tygodnia przyjeżdżali tu na polowania myśliwi z Pietropawłowska. Ich łupem padały głównie dzikie gęsi, kaczki i inne ptactwo. Było tu tego zatrzęsienie. Zdarzało się, że po całodziennym polowaniu z łodzi ładowano kilka trzytonowych ciężarówek dorodnej dziczyzny. Po każdym takim polowaniu i wyjeździe myśliwych, ryzykując nie tylko kąpiel, całą grupą podrostków plądrowaliśmy trzęsawiska i zawieszane na wodzie wieloletnie warstwy rozkładającego się kamyszu, odnajdując niekiedy świeżo postrzelone sztuki.

Na luksus, co prawda ograniczonej, swobody dysponowania czasem z całej rodziny mogłem sobie pozwolić w Borkach tylko ja - młokos; pozostali musieli pracować. Często przypominało nam tu o ustrojowej wręcz zasadzie stalinowskiego kultu pracy: *kto nie rabotajet, tot nie jest*. Matula chodziła więc do roboty w gospodarstwie kolchozowym przy produkcji zwierzęcej. Milek zaś, jak przystało na mężczyznę - chociaż czternastolatek - od pierwszych dni trafił na *posiewnuju*, co oznaczało ciężką pracę w systemie dwuzmianowym przy orce i siewach w charakterze *prycepszczyka*. Kampania siewna z konieczności trwa tu krótko, należy bowiem w możliwie najkrótszym czasie wykorzystać zasoby wiosennej wilgoci w glebie bezpośrednio po roztopach. Orki i siewy wykonywano więc dniem i nocą. Najwięcej zmartwienia i niepokoju ze względu na brak doświadczenia, przemęczenie - a zatem możliwość wypadku i kalectwa - sprawiała praca Milka na nocnej zmianie. Tak ciężkiej pracy młodocianych i dzieci nie akceptowała żadna matka, a cóż dopiero w nocy. Stąd też liczne skargi oraz interwencje kierowane na piśmie wprost do Stalina i Berii.

Pisanie dla matuli nie sprawiało najmniejszych trudności. Rosyjski znała perfektnie. Pisząc systematycznie skargi, matula naiwnie wierzyła, że ten cały haniebnny akt bezprawia i deportacji Polaków, a obecnie przymusu pracy nawet dzieci, jest dziełem kacyków niższej rangi, bez udziału i wiedzy Stalina. Dwa razy w tygodniu chodziłem na pocztę do odległego o trzy kilometry *sielsowietu*, aby osobiście nadać kolejną korespondencję kierowaną na ręce Josifa Wissarionowicza Stalina na adres: Moskwa - Kreml. Odpowiedzi oczywiście nigdy nie było, jednakże w związku z tym podobno ktoś przyjeżdżał z Pietropawłowska.

Mnie też przypadło w udziale pracować, chociaż nie była to praca zarobkowa ani zawodowa. Gospodarz i gospodyni we dwoje chodzili codziennie do pracy, ja zaś musiałem niańczyć ich małe dzieci. Koł w wieku zaledwie ponad dwu lat i jego 6-8 miesięczną siostrzyczkę. Nie miałem najmniejszego pojęcia jak się to robi, ale do końca życia nie zapomnę, że ta mała w zawieszonym pod belką kołysce ponad wszystko wołała gryźć kalosza, który stanowił swego rodzaju panaceum na wszelkie objawy manifestowanego niezadowolenia. Ona po prostu robiła to z uwielbieniem.

Zdarzało się niekiedy, że spędzając beztrudnie czas na zabawie lub przy dzieciach nie przygotowałem w porę posiłku dla powracających z pracy. Kiedyś dostałem za to ostrą reprymendę od braciśzka, który wrócił z nocnej zmiany. Nie wytrzymałem tego i wylałem mu na głowę rondel przygotowanej do odgrzania kawy. Tak się złożyło, że od wczesnego dzieciństwa pozostawaliśmy na stopie wojennej w stanie pozorowanego zawieszenia broni.

Tu w Borkach, w *Nowym Bycie*, nie było najgorzej. Z kolchozu matula przynosiła codziennie mleko, a chleba było pod dostatkiem. Początkowo trudno było się przyzwyczaić do gorzkiego smaku wspaniale wyrośniętego, pszennego chleba, a to z racji wszechobecnego piolunu, który w realnie panującym tu w tym czasie systemie gospodarki odlogowej wyrastał natychmiast po zasiewie i zbiorze pszenicy. Obok kamyszu i kiziaka w zimie piolun stanowił tu pełnowartościowy opał.

Stosunki z gospodarzami nie tylko z konieczności układały się poprawnie. Jedyne incydenty, jaki powstał z powodu kradzieży złotej obrączki i pierścionka przez niezamężną, młodszą siostrę gospodyni, która przyszła pobawić dziecko, stosunki te nieco pogorszył. Pod groźbą zgłoszenia kradzieży do NKWD w sytuacji, gdy poza sprawczynią nikogo obcego w domu nie było, a skradzione przedmioty leżały w pokoju na stoliku, dziewczyna się załamała, oddała obie błyskotki i ze łzami w oczach błagała o przebaczenie.

Do starych tradycji rosyjskich, kultywowanych przez gospodarzy, podobnie jak kiedyś przez zesłańców Polaków, należała tu kąpiel w ruskiej bani. W każdą sobotę z całą ceremonią organizowano w prymitywnie zbudowanej półziemiance saunę i pławienie się w niesamowicie gorącej, zapierającej dech parze, podtrzymywanej przez polewanie rozpalonych kamieni wodą aż do granic ludzkiej wytrzymałości. Przekonałem się później na własnej skórze, iż w takiej łaźni parowej człowiek całkowicie zatracą poczucie ciepła i zimna. W zimie dość nagminnie praktykuje się tu bez względu na temperatury syberyjski zwyczaj wybiegania z bani na golasa wprost na mróz i tarzania się w zaspach śniegu. Nie sprawia to żadnego wrażenia, jedynie poczucie ciągłości przebywania w potwornie wysokiej temperaturze parowej łaźni. Poza tym wirnik... Ten prymitywny, a zarazem wspaniały atrybut w postaci prymitywnej miotły, zrobionej z gałązek młodej liściastej brzozy, to w parowej łaźni prawdziwa rozkosz. Po kąpeli tradycyjnie organizowano gorącą herbatę lub ziołowy napar i do tego kielich okowity, którego z woli matki nie dostawałem.

W Borkach poznałem natomiast prawdziwy smak bólu zębów. Dentysty na miejscu nie było. Trzeba było więc chodzić do Biejnietkoru - siedziby rejonu, gdzie w charakterze dentysty przyjmował potomek zesłańca - autentyczny Turek. Te samotne spacerki po pustym stepie na odległość czternastu kilometrów w jedną stronę nie należały do przyjemności; czasami ktoś podwiózł. Była to jednak konieczna, chociaż bezowocna próba ratowania atakowanych przez próchnicę przednich siekaczy. Bezowocna, bo po długotrwałym leczeniu i założeniu plomb, w drodze powrotnej „wylizalem” je, powracając do domu ponownie z dziurami w zębach.

Wszyscy wywiezieni Polacy trzymali się razem i utrzymywali ze sobą stałe kontakty. Odwiedzali się nieraz nawet w odległych miejscowościach, odnajdując się wzajemnie między innymi w drodze korespondencji z Polską, bowiem po „rozśrodkowaniu” na stacji wylądowej nie zawsze było wiadomo, kto gdzie trafił. W niektórych miejscowościach, a szczególnie w kazachskich aulach, było znacznie gorzej. Adresu docelowego miejsca przeznaczenia na zesłaniu nie zapomnę chyba do końca życia: *Kazachskaja SRR, siewierokazachstanskaja oblast', smirnowskij rejon, iwankowskij sielsowiet, sieło Borki, kolchoz Nowyj Byt, ul. Oziernaja 2*.

Nie trafiliśmy tu jako pierwsi. Oznaczone na mapie miejscowości Ukraina - od Ukrainy, Poltawa - od Poltawy i inne stanowią niezbitą o rodowodzie ich mieszkańców.

Tymczasem jesienią 1940 roku rozeszła się wiadomość o likwidacji rejonu w Biejniętkorze i przeniesieniu go do miejscowości i stacji kolejowej Smirnowskij. Namietnie dyskutowano więc o ewentualnej możliwości wykorzystania przez Polaków zwalnianych ziemianek. Sublokatorskie warunki wegetacji w Borkach nie były zachęcające na dłuższą perspektywę. Poza tym bliżej kolei to bliżej świata! Zdawało się, że jest to niepowtarzalna okazja usamodzielnienia się i skupienia stosunkowo licznej grupy Polaków w siedzibie byłego rejonu, jakaś nadzieja na przyszłość i wiara w lepsze jutro. Ocena ewentualnych skutków takiej decyzji była jednak bardzo trudna, podobnie jak trudno było przewidzieć dalsze losy tych, którzy postanowili pozostać, jak i tych, którzy na własne ryzyko podjęli próbę zmiany przeznaczonego im miejsca pobytu na zesłaniu. Nie wiedziałem i do dzisiaj nie wiem, kto był inicjatorem zbiorowej decyzji o przeprowadzce. Problemem tym przez dłuższy czas żyli wszyscy. Ostateczne decyzje w rodzinach podejmowano indywidualnie i na własną odpowiedzialność, biorąc swój los we własne ręce.

Biejniętkor

Przeprowadzka stała się faktem. Cały dobytek przewieźliśmy na wypożyczonej od gospodarza *tielieżce*. Rejonowa śmietanka i urzędnicy pozbywali się swoich prymitywnych ziemianek za bezcen. Jako ekwiwalent w naturze przyjmowano chętnie pluszowe kapy, atlasowe tkaniny i odzież, kilimy, dywany, herbatę, tytoń itp. Pieniądze stanowiły jedynie uzupełniający element rozliczeniowy w transakcjach, które przeprowadzano wyłącznie „na gębę”.

Wraz z czteroosobową rodziną nauczycielską Bielskich staliśmy się współwłaścicielami ziemianki z sarajem obejmującej *de facto* jedną izbę przedzieloną w części glinianą ścianą z przypieckiem i kuchnią ze ślepym blatem. W pierwszej części pomieszczenia z glinianym klepiskiem zamiast podłogi mieliśmy wspólną kuchnię, natomiast w rzekomym pokoju na podwyższeniu około dwudziestu centymetrów nad ziemią była drewniana podłoga z niemalowanych desek. Jedyne umeblowanie stanowiły dwie zbite z desek prycze, na których koncentrowało się życie obu naszych rodzin.

Stosunkowo duże skupienie Polaków w Biejniętkorze sprzyjało rozwojowi życia towarzyskiego i wzajemnych kontaktów. Powstała jednak zgoła nieoczekiwana wręcz tragiczna sytuacja egzystencjalna i zrodziły się nowe problemy bytowe. W opustoszałym *aule* nie było Rosjan; stosunkowo nieliczna grupa Kazachów, którzy nie byli związani z funkcjonowaniem przeniesionego rejonu, praktycznie pozostawali bez kontaktu ze względu na bariery językowe. W okolicy nie uprawiano żadnych jarzyn, nie wypiekano normalnego chleba, nie było mleka. Krowy wykorzystywano tu jako siłę pociągową, podczas gdy kobyły pieczołowicie pielęgnowano wyłącznie dla kumysu.

Ci, do niedawna koczujący po stepie tubylcy, żyli własnym, prymitywnym życiem, odżywiając się, jak przystało na włóczęgów, głównie wypiekanymi w czugunnych, pozbawionych rękojeści tyglach (patelniach) zastępującymi chleb korzami, biszarmakiem, kurtem, gotowaną baraniną, wołowiną, koniną i kumysem. Spośród używanych napojów najwyższą ceniono herbatę.

Tu, w Biejniętkorze, nikt z miejscowych ani oficjalnych czynników nie troszczył się o pracę i byt tej bez mała polskiej sadyby. Ci, co mieli trochę smykalki, podejmowali chałupniczą działalność usługową w różnych branżach, podejmując się czynności, których nigdy przedtem nie wykonywali. Kobiety i dziewczęta najczęściej działały na drutach i szydełkowały. Pomagano też sobie nawzajem w opanowywaniu tych umiejętności. Między innymi przedzono watę, używając do tego celu prymitywnych ręcznych wrzecion.

Najwięcej niepokoju sprawiała myśl o zbliżającej się syberyjskiej zimie, która w nieznanych warunkach klimatycznych zapowiadała się szczególnie tajemniczo i groźnie. W wyludnionym *aule* pozostało niewiele bydła. Nie było zatem źródła podstawowego opału, jakim na stepie jest wyschnięte bydłce łajno – *kiziaka*. Nie było tu również pioletu, który po zbiorach ogarniał bujnie pozostawione ugory, ani obficie porastającego w Borkach kamyszu. O zdobyciu drewna opałowego w ogóle nie było mowy. Mimo to gromadzono na zimę wszystko, co się tylko dało. Sytuacja stawała się coraz bardziej nerwowa. Żywność z trudem udawało się zdobywać w odległych, zamieszkałych przez Rosjan kolchozach jedynie w handlu wymiennym za dobra materialne, których nikomu nie zbywało. Perspektywa egzystencji bez pracy, bez zarobków i bez zaopatrzenia w żywność była koszmarna.

Na skutki własnych decyzji nie trzeba było długo czekać. Z nadejściem zimy i nastaniem pierwszych mrozów okazało się, że w naszej chałupie temperatura utrzymuje się poniżej zera. Woda i artykuły żywnościowe zamarzają. Z trudem zdobyte w odległym kolchozie, zmarznęte na kość kartofle trzeba było obierać w rękawicach. W nocy temperatura spadała znacznie. Spaliśmy wszyscy troje pod jedną pierzyną – przysłowiową deską ratunku – i grubym kilimem, który spełniał tu zgoła odmienną funkcję niż w kraju. Każdego ranka zarówno kilim, pierzyna, jak i brwi były mocno oblodzone. Dla ogrzania tej potwornie przewiewnej chałupo-ziemianki potrzebne były ogromne ilości opału, którego nie było. Do tego prymitywnie zbudowany z gliny piec nie posiadał szyby. Przykrywanie komina z zewnątrz na dachu nie odnosiło żadnego odczuwalnego skutku. W pierwszej kolejności poszła więc faszyzna z saraju. Odsłonięcie wejścia do chałupy sytuację pogorszyło jeszcze bardziej. Życie stało się prawdziwym koszmarem.

Głód dokuczał coraz bardziej. Zbiorowe wędrówki Polaków z saneczkami do odległych kolchozów po żywność stały się zarówno niebezpieczne ze względu na burze śnieżne i niesamowite mrozy, jak i mało skuteczne ze względu na ograniczone zasoby materialne.

Dotychczas układne współzycie dwóch, w zasadzie przypadkowo połączonych jedynie wspólnym

dachem rodzin, zaczęło napotykać na obiektywne trudności. Nie było co gotować, ale i nie było na czym gotować. W takiej oto wręcz tragicznej sytuacji jako jedyne słuszne rozwiązanie przyjęto zgodnie przeprowadzkę do domów innych polskich rodzin i przeznaczenie na opał uzyskanego z rozbiórki domu drewna. Nie było tego wiele, ale w tej sytuacji zawsze coś: belka stropowa, krokwie, legary, podłoga, faszyzna itp.

Korzystając z altruistycznej życzliwości i zgody zamieszkaliśmy wspólnie z siedmioosobową rodziną Guzowskich i Stalewskich. Zbudowana z darniny chałupa, w której mieszkali, miała dwie spore izby, kuchnię, sieni i stosunkowo duży saraj. Była lepiej zabezpieczona przed zimą i zdecydowanie cieplejsza. Od strony nawietrznej opodal rosła spora kępa brzoźowych drzew, co w znacznym stopniu chroniło chałupę przed naporem wiatru i dawało możliwość nielegalnego pozyskiwania opału. Tu przyszło nam wspólnie walczyć o przetrwanie surowej zimy.

Z czasem brzoźowy lasek został całkowicie zasypany śniegiem po same wierzchołki drzew. Wspólnie z Reńkiem zbudowaliśmy w nim system tuneli, wywołując saneczkami na zewnątrz olbrzymie ilości śniegu. Była to poniekąd wspaniała zimowa zabawa w labirynt, który między innymi zapewniał dostęp do dolnych gałęzi zasypanych brzoź.

Dla zabezpieczenia chałupy przed zawiewaniem zbudowaliśmy wokół wysoki, ażurowy śnieżny parkan, w wyniku czego przestrzeń między parkanem a chałupą była wymiatana przez wiatr do samej ziemi. Gdyby nie głodowa egzystencja i towarzyszące jej niespodzianki, zimę w Biejnietkorze można by przyjąć jako nieoczekiwane romantyczne przeżycie. Dla mnie jedną z takich niespodzianek był „ponos” - biegunka. Ta niesamowicie dokuczliwa i doszczętnie wyniszczająca organizm choroba była moją osobistą klęską. Jedynym lekarstwem, jakie przyjmowałem przez ponad trzy tygodnie, był wywar z piołunu, który jednocześnie stanowił moje główne pożywienie. Byłem chudy jak szczapa. Pamiętam sytuacje zarówno w dzień, jak i w nocy, kiedy brakło ulamka sekundy, aby zdążyć „na dwór” i te jakże przykre tego skutki. Przeżywałem to bardzo, bo wstyd mi było przed Janką i Zulą. Fajtlapa i tyle...

W czasie gdy uporczywie mordowała mnie choroba, domownicy wspólnie całym kahałem oszczędnie dzielili ograniczone do wymuszonego minimum racje niby-chleba, pieczonego z mieszaniny otrąb, mąki i plewy. Był to niesamowicie upstrzony żdźbłami owsianej plewy konglomerat czarnego zakalca, ale łaknąłem go ponad wszystko. Byłem autentycznie opętany pożądaniem, zazdrosny i gotowy naruszyć bezwzględny zakaz. Z drugiej strony zdawałem sobie sprawę z tego, że matula życzy mi dobrze i bardziej świadomie niż ja z determinacją walczy o moje życie. Jak zwykle i tym razem miała rację. Kiedy wszystko wskazywało na to, że jest już lepiej, dostałem wreszcie mały skrawek upragnionego chleba i natychmiast wszystko zaczęło się od początku. Na szczęście nie było problemu ze zdobyciem piołunu. Dzisiaj, ilekroć mam w ręku kielich aromatycznego wermutu, staje mi w oczach obraz tamtych koszmarnych dni i czuję smak gorzkości zielska, które - jak sądzę - uratowało mi życie.

Tę zimę, pierwszą syberyjską w Biejnietkorze, udało nam się przeżyć zapewne dzięki pomocy rodziny i przyjaciół z Polski. Niestety, wbrew oczekiwaniom starszy brat ojca, Aleksander, który po pierwszej wojnie światowej pozostał na stałe w Rosji i mieszkał w Borysoglebsku, z wielkim żalem odmówił interwencji w naszej sprawie i pomocy, prosząc szczerze, aby mu to wybaczyć ze względu na bezpieczeństwo jego rodziny i nieuniknione represje. Według zaś relacji ojca brat Aleksander (Olutek) zawsze był bardzo życzliwym i dobrym człowiekiem. Dużo pomagał braciom, Michałowi (mojemu ojcu) i Konstantemu, gdy w latach 1917-1918 pobierali nauki w seminarium nauczycielskim w Smoleńsku. Po otrzymaniu odpowiedzi matula więcej tam nie pisała.

Na nasze szczęście otrzymaliśmy pomoc bezpośrednio z Polski. Ryzykując wiele, stryj Konstanty, zamieszkały w Narojkach, nadał przesyłkę kolejową, która zawierała stosunkowo duże ilości tytoniu, papierosów, herbaty, mąki, kaszy, grochu, fasoli, słoniny oraz inne drobiazgi. Było to potężne wsparcie. Herbata, papierosy i tytoń spełniały tu rolę twardej waluty, za którą można było zdobyć inne poszukiwane produkty lub przedmioty. Paczka ważyła prawie czterdzieści kilogramów. Trzeba było iść po nią do stacji Smirnowskij. Po rozbiciu skrzyni zawartość podzieliłiśmy z Miłkiem po połowie przewieszając słodki ciężar przez ramię równomiernie na przód i tył. Cieszyliśmy się bardzo, jednakże po kilku przebytych kilometrach багаż tak mocno przygniatał, że trzeba było co jakiś czas odpoczywać, ale to nie miało żadnego znaczenia - ważniejsza była szansa na przeżycie. Paczkę żywnościową od koleżanek i kolegów z gimnazjum otrzymał również Milek; były to wspaniałe dowody pamięci i bezinteresownej pomocy.

Każda eskapada po żywność, a także kilkunastokilometrowy spacer po odbiór przesyłki na stacji kolejowej Smirnowskij w czasie zimy zawsze stwarzały realne niebezpieczeństwo, a w razie nagłej zmiany pogody lub spotkania z watahą wilków nawet zagrożenie dla życia. Według oficjalnego komunikatu podczas *burianu* - trwającej przez pięć dni burzy śnieżnej - w smirnowskim rejonie zginęło bądź zamarzło 117 osób. Zdarzyło się również, że zaskoczone w drodze powrotnej ze stacji Smirnowskij siostry Radwańskie, które wiozły saneczkami paczkę, odnaleziono w stanie skrajnego wyczerpania zaledwie dwieście metrów od domu. Tylko szczęśliwy przypadek zdecydował, że zostały uratowane.

Sytuacja materialna zdanych na własne siły Polaków w Biejnietkorze była katastrofalna. Nie wszystkim jednak było jednakowo źle. Byli i tacy, którzy mogli sobie pozwolić nawet na kupno wieprzowiny. W przeddzień Bożego Narodzenia u mieszkających w sąsiedztwie rodzin pies przybłąda porwał i pożarł zawieszoną na belce w saraju wędzoną szynkę. Również nasza rodzina była stale pod pręgierzem opinii zawistnych Polaków, uchodząc za sknerów skrupulatnie ukrywających swoje bogactwo. Mówiono zazdrośnie: *Dawdziukowa to dopiero ma...* Chodziło głównie o zamknięty na kłódkę wiklinowy kosz do bielizny, w którym

oczekiwały na lepsze czasy - tu bezwartościowe i wręcz niebezpieczne - cenne dzieła polskiej literatury.

W Biejniotkorze nadal nie było pracy ani zarobków. Nie było również możliwości uczęszczania do szkoły ze względu na kazachski język nauczania.

Matula z właściwą sobie konsekwencją nadal pisała do Stalina obszerne memorialy, oskarżając Berię i NKWD o popełnienie na Polakach zbrodni, z żądaniem zbadania na miejscu niehumanitarnych warunków egzystencji, humanitarnego rozwiązania problemu i umożliwienie powrotu do domu. Przed wysłaniem listy te czytała na głos w gronie przyjaciół, oczekując niejako społecznej aprobaty. Przypuszczam, że następstwem między innymi tych interwencji był przyjazd wysłannika z Pietropawłowska oraz propozycja zmiany miejsca pobytu i zatrudnienia przy budowie Stalino-Magnitogorskiej Magistrali tj. odcinka linii kolejowej Akmołińsk-Kartaly, łączącej karagandzińskie zagłębie węglowe z Magnitogorskiem.

W tym czasie nikt nawet nie przypuszczał, że niebawem nastąpi zbrojna napaść hitlerowskich Niemiec na Rosję.

Wyjemka

Po koszarnej zimie nadeszła wspaniała wiosna, a wraz z nią nadzieja i perspektywa lepszej sytuacji na przyszłość. To przykre, ale jechaliśmy dalej na południowy wschód. Podróż w otwartych wagonach, regularne przydziały chleba i suchy prowiant napawały optymizmem. Ustępowało widmo głodu. Uważano, że kolej to kontakt z cywilizowanym światem i być może jakaś szansa. Nieoczekiwane zaskoczenie i rozczarowanie sprawił przyjazd na miejsce przeznaczenia. Rozładunek transportu nastąpił w błyskawicznym tempie przy zastosowaniu przez miejscowych organizatorów wszelkich możliwych środków dopingu. Należało natychmiast zwolnić zablokowany tor na trasie Akmołińsk-Kartaly.

Wylądowaliśmy na bogato urzeźbionym wzniesieniu nazywanym potocznie Wyjemką. Wyjemka to kilkukilometrowy wykop kolejowy w skalistym gruncie i zapewne stąd ta nazwa. Oczekiwały nas tutaj wyposażone w żelazne łóżka duże namioty. W każdym namiocie ulokowano po kilka rodzin, zależnie od ilości osób w rodzinie.

Na Wyjemce centralnym i najważniejszym obiektem była wieża ciśnień (wodokaczka), która, jak się później okazało, była jedynym w promieniu ponad stu kilometrów ujęciem słodkiej wody dla potrzeb kolejowej trakcji parowej. Zatrzymywały się tutaj wszystkie pociągi. Poza tym był tu drewniany prowizoryczny barak, w którym mieściła się całkiem znośna stolówka, kancelaria oraz w pewnym odstępie zбитy z desek, podwójny szalet oraz otaczająca wokół pustka - kamienne pustkowia i step.

Tu mieliśmy teraz żyć i pracować. W drewnianym baraku obok stolówki zorganizowano w ciągu kilku dni lokalny sklepik, przeznaczony wyłącznie dla pracowników, w którym można było bez ograniczeń kupować groch, soczewicę, kaszę jaglaną, ryż i cukier, a czasami nawet dostarczany w beczkach kawior. Okazjonalnie sprzedawano również wspaniałe arbuzy, osiągające wagę nawet do trzydziestu kilogramów.

Pomimo trudnych warunków bytowania w namiotach - w stosunku do Biejniotkoru - był tu prawdziwy raj. W dni upalne dzieciaki polewały namioty wodą, łagodząc chwilowo trudny do zniesienia zaduch. Pierwsze wrażenia były jednak pozytywne.

Niestety, jak się okazało, czekała tu wszystkich katorżnicza praca fizyczna. Do pracy chodzili wszyscy, dorośli i młodzież. Decydowały przede wszystkim względy ekonomiczne. Trzeba było zdobywać pieniądze na zakupy towarów spożywczych, na korzystanie ze stolówki i kupno dostarczanych okresowo wyrobów tekstylnych. Niebawem nastąpił całkowity krach. Od lipca, bezpośrednio po hitlerowskiej agresji na Rosję, sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. Wprowadzono kartki na chleb, tłuszcz, mąkę i kaszę. Dzienna racja chleba (*pajok*) w początkowym okresie wojny wynosiła osiemset gramów na pracującego i czterysta dla osób na utrzymaniu. Stało się to w niespełna dwa miesiące od naszego przyjazdu na Wyjemkę. Bez kartek nie było nic.

Praca stała się dla wszystkich podstawą bytu. Mężczyźni tyrali przy kopaniu, często wykuwaniu w skalistym gruncie rowów odwadniających po obu stronach wykopu. Natomiast kobiety kopaly głębokie, poniżej poziomu zamarzania, kanały przeznaczone do założenia wodociągu z Wyjemki do odległej o osiem kilometrów stacji kolejowej Żaltyr. Kopano również głębokie otwory przeznaczone do budowy zapór przeciwnieźnych. Dołów takich trzeba było wykopać tysiące, gdyż w odstępach zaledwie siedmiu metrów ustawiano słupy oporowe jak słupy telefoniczne, które „ryglowano” dwoma skośnymi podporami. Na jeden słup przypadały więc trzy doły. Prace te wykonywano przy pomocy specjalnie hartowanych stalowych łomów, kilofów i łopat. Kilofy i łomy były konieczne ze względu na charakter i strukturę geologiczną utworów skalnych o skośnie lub pionowo zalegających na całej głębokości płytach o grubości do dziesięciu centymetrów. Czasami można było również trafić na litą skalę.

Praca była bardzo ciężka, a normy dzienne wysokie. Matkom z reguły pomagały dzieci, wydobywając z większych głębokości rozdrobniony łomem urobek. Robilem to również ja, zważywszy na stan zdrowia matuli i całkowitą niezdolność do fizycznej pracy.

Milek wraz z mężczyznami tyrał przy kopaniu rowów odwadniających, których głębokość nierzadko przekraczała dwa metry. Uwzględniając skarpy, urobek trzeba było odrzucać co najmniej na odległość trzech metrów. Nie przychodziło to wcale łatwo, Milek ukończył zaledwie piętnaście lat. Nic dziwnego, że kilkakrotnie trafiał do szpitala w Żaltyrze, gdzie przy okazji można było trochę odpocząć i się odżywić. Podejrzewam, że to właśnie tu, na Wyjemce, Milek postanowił szukać innego rozwiązania na przyszłość niż bezwolne wykonywanie

katorzniczej pracy.

Na Wyjemce, i nie tylko tutaj, zdarzały się różnego rodzaju incydenty w kontaktach z personelem nadzoru, w tym również scenki humorystyczne na tle językowym. Oto pewnego razu *strojmastier*, pochylając się nad zgiętą w dole kobietą, niefortunnie zapytał: *a ty czewo tam zastriała* (ugrzechła)? W odpowiedzi usłyszał po polsku: *ty byś się też tam zesrał*. Podobne scenki zdarzały się dość często.

Było bardzo ciężko, ale życie toczyło się dalej. W pobliżu namiotów jak grzyby po deszczu wyrastały z płytek skalnych połowe kuchnie. Lepiono je za pomocą gliny. Po pracy gotowano na nich posiłki w asyście dzieciarni, wykorzystując poczynione wcześniej zapasy aprowizacyjne. Osobiście należałem do tych, co budowali wymyślne w kształtach kuchnie i uczyłem się gotować posiłki według wskazań matuli. Nie zapomnę nigdy przygody z grochówką, która pomimo ciągłego dolewania wody i wielokrotnego usuwania nadmiaru grochu była ciągle gęsta. W końcu przywarła do dna i trzeba było ratować rondel. Za sprawą grochówki wiem, co znaczy słowo proporcja.

Moja funkcja kucharza nie trwała długo. Po prostu musiałem zastępować matulę w ciężkiej pracy fizycznej, na co bezpośredni nadzór patrzył przez palce. Jako trzynastolatek z malpim sprytem radziłam sobie w pracach ziemnych i przy budowie zapór przeciwnieźnych. Ta ostatnia praca polegała głównie na przybijaniu desek do słupów oporowych od dołu do góry.

Z nastaniem lata pojawiły się jednak nowe problemy. Wysokie temperatury w dzień, chłodne noce i plaga komarów w warunkach obozowej egzystencji ujawniły zgola inne, nieoczekiwane zagrożenie. W namiotach pojawiła się malaria. Godny współczucia to obraz, gdy w upalne południe trzęsie człowiekiem febra, a widok rozdygotanego w gorączce uzębienia zaprzecza zdrowemu rozsądkowi i logice. Często trzeba było przytrzymywać łóżko, aby nie „chodziło” po namiocie w czasie ataku. Przeszedłem tę chorobę podobnie jak wielu innych Polaków i wiem, jak wyczerpuje, jak osłabia cały organizm. Ten cholerny „patatacz” niejednemu dał się we znaki, ale najbrudniejszy okres choroby trzeba było przetrwać „w domu” - w rozpalonym do granic wytrzymałości namiocie. Chorych na malarię do szpitala nie kierowano. Na szczęście nie brakowało chininy i była szansa na skuteczne leczenie. Malaria była jednak bardzo niebezpieczna dla ludzi starych i schorowanych. Między innymi w czasie pobytu na Wyjemce zmarła lubiana przez wszystkich babcia Majewska. Na tej obcej ziemi każdy przypadek zejścia był smutnym wstrząsem dla całej zgrupowanej na Wyjemce zbiorowości Polaków.

Trwała wojna. Meldunki z frontu przynosiły coraz to groźniejsze wiadomości. Zbliżała się kolejna zima, typowa dla klimatu kontynentalnego, surowa syberyjska zima. Jej „uroki” poznaliśmy w Biejniotkorze. Pytanie, co dalej z nami, było pełne niepokoju o byt i troski o przetrwanie. Na froncie giną ludzie, czy ktoś zatroszczy się o nas? Pozostawienie nas tu w namiotach to niechybnie tragiczny koniec.

Żaltyr

Przed nastaniem zimy przemieszczono nas do położonej w pobliżu Wyjemki stacji kolejowej Żaltyr. Tu zostaliśmy rozlokowani w kolosalnych rozmiarów barako-ziemniakach, rozdzielonych ścianami działowymi i dwoma wspólnymi wejściami na trzy odrębne *obszczeżytia*, w których znalazły schronienie dziesiątki rodzin, po kilkanaście w każdym. W pomieszczeniach znajdowały się dwie pokryte ślepymi blatami kuchnie, na których w uzgodnionej kolejności gotowano posiłki od świtu do późnej nocy. Prawie płaski dach, z odpowiednio ułożonej na faszynie i oblepionej gliną darni, wsparty był na kilkunastu pionowych drewnianych słupach, które niejako same przez się dzieliły pomieszczenia na segmenty czy też sektory.

Byliśmy z matulą szczęśliwi, że udało się nam zdobyć na trzy osoby dwa żelazne łóżka i miejsce w samym rogu przy wewnętrznej ścianie działowej. To było ważne! Nikt tu nie będzie się płać bez ważnej przyczyny. W takim zbiorowisku to tak, jakby na swoim. Z czasem się jednak okazało, że nie był to problem najważniejszy.

W tym samym czasie zaczęły do nas docierać niesprawdzone wiadomości o tworzeniu przez gen. Sikorskiego polskiego wojska. Milek po katorzniczej pracy na Wyjemce i kilkakrotnym pobycie w szpitalu w tajemnicy przed matką prowadził na własną rękę rozeznanie tego bardzo interesującego wszystkich tematu. Trudno go było posądzać o osobiste zainteresowanie wojskiem, miał dopiero piętnaście lat. A jednak! Zaraz po przeprowadzce do Żaltyru oznajmił matuli, że ma zamiar wstąpić do Armii Andersa i nikt mu w tym nie zdola przeszkodzić. Woli gdziekolwiek zginąć z honorem niż zdychać tu pokornie z wyczerpania. Wiadomość ta była tym bardziej bulwersująca, gdyż nikt z przebywających w Żaltyrze Polaków nigdzie się nie wybiera i nie konkretnego na temat naboru do wojska nie wie.

Obaj z Milkiem nie mieliśmy żadnego dokumentu tożsamości. Byliśmy wpisani do paszportu matki. Mimo to Milek na własną rękę zdobył zastępczy dokument - potwierdzający tożsamość, datę i miejsce urodzenia - w postaci zaświadczenia wystawionego w Akmołińsku przez wojewódzką instancję NKWD z Pietropawłowska. To wystarczyło, aby ruszyć w nieznane z nieprzejednaną wolą wstąpienia do tworzącej się Armii Andersa. Wszelkie próby i perswazje matki trafiały w próżnię. Przed wyjazdem Milek sprzedał swój pamiątkowy szwajcarski zegarek Omega, który dostał w prezencie od ojca w 1938 roku po zdaniu wstępnego egzaminu do gimnazjum. Był do niego bardzo przywiązany. Zapewne przeżył tę stratę bardzo boleśnie, jednakże wola ucieczki z piekła - tak to określał - i wstąpienia do wojska była silniejsza.

Pożegnanie starszego syna w danej sytuacji było dla matki wielkim ciosem. Przecież nie musiał, był jeszcze dzieckiem... Tu zapewne miał szansę przetrwania. Nie było innej rady. Pozostaliśmy we dwójkę sami.

ciężko chora matka i ja. Tu, w nowym miejscu pobytu, czekały nas bardzo trudne warunki egzystencji, ciężka harówka i wojenny rytm pracy. Zaostrzono dyscyplinę, systematycznie zwiększano wymagania. Rodziły się nowe określenia *woskreśnik*, czyli praca w niedzielę i nowe hasła: *wsio dla fronta, wsio dla победы* itp.

Nadeszła zima, a wraz z nią odśnieżanie głównej trasy przelotowej i torowisk stacyjnych, w tym także nocą. Budowano depo, rozbudowywano stację, zaplecze obsługi technicznej oraz zabezpieczenia ruchu i eksploatacji. Realizowano więc rozległy wachlarz robót ziemnych i budowlanych. Surowa zima, wyczerpująca fizyczna praca i terror nie zapowiadały niczego dobrego.

Początki samodzielnej pracy

Po wyjeździe Milka, w sytuacji pogarszającego się z dnia dzień zdrowia matuli, należało rozstrzygnąć kwestię dalszej pracy. W każdej rodzinie musi ktoś pracować. Dalsza pomoc czy też zastępowanie matuli przy ciężkich pracach ziemnych nie rozwiązywało sprawy i nie mogło wchodzić w rachubę. Trzeba było zdecydować, kto jest pracownikiem, a kto pozostaje na utrzymaniu.

Podając oficjalnie pracę, jako nieletni zostałem skierowany do pracy w koniuszni, gdzie wykonywane czynności nie były nazbyt ciężkie, a zakres wymaganych umiejętności stosunkowo niewielki. Konie, woły i wielbłądy były wykorzystywane jako siła pociągowa w gospodarstwie pomocniczym *strojuczastka*, głównie przy lokalnym transporcie materiałów budowlanych.

Po krótkim okresie adaptacji przy obrządku zwierząt powierzano mi również inne obowiązki, w tym także powożenia zaprzęgiem i wykonywania usług przewozowych. Do koni mnie nie dopuszczano. W pracy bywało różnie - czasami padałem ofiarą żartów współpracowników starszej generacji (staryków), którzy wykorzystywali moją naiwność i brak elementarnych wiadomości w obchodzeniu się ze zwierzętami. Np. kiedy posłano mnie, aby przyprowadzić z pobliskiego wybiegu wielbłąda, nie mogłem sobie poradzić z wykonaniem zadania, bo bydlę to, ilekroć się zbliżałem, uciekało klusem lub galopem, a zaś gdy usiłowałem podejść wprost z garścią trawy na przynętę, ten wyniosły król stepu przeżuwał ze stoickim spokojem pokarm z odległości ponad trzech metrów splunął mi prosto w oczy zieloną miazgą, oślepiając niemal całkowicie. Wesolość prymitywnego otoczenia była powszechna, ja natomiast nie wiedziałem, co począć dalej. Z czasem dowiedziałem się, że wystarczy jedynie z pewnej odległości zarzucić wielbłądowi na szyję lejce lub zwykły sznur, aby następnie podejść doń bez trudu.

Z wołami było znacznie gorzej. Woły trzeba było prowadzić na postronku albo sterować jazdą za pomocą dyspozycji słownych *CeBe* i *COB*, które nakazywały skręt w prawo lub w lewo. Niedożywione i przemęczone woły - jak sądzę - były zmanierowane i w ogóle nienawidziły pracy, gdyż nie chciały w jarzmie chodzić, a tym bardziej ciągnąć naładowanego wozu lub sań. Z literatury dziecięcej wiedziałem, że do zwierząt upartych należą osły i barany, woły, natomiast, to pracowite i posłuszne zwierzęta. Niestety, te tutaj w ogóle nie reagowały na moje zawołania i wrzaski, a nawet wymierzane ze złością razy. Gdy zaległy w zaprzęgu, nie było sposobu, aby je podnieść na nogi. Byłem bezradny, czasami wręcz zrozpaczony, a nawet bezgranicznie wściekły. Stawiałem się jednocześnie przedmiotem niewybrednych dowcipów i pośmiewiska.

Nie wiedziałem i nawet nie mogłem przypuszczać, że te zmaltretowane do ostateczności bydlaki reagowały wyłącznie na odżywki typu *...twoju mat* oraz inne przekleństwa i umiejętnie wykonywane przy pomocy rzemieennego knuta strzały w bezpośrednim sąsiedztwie głowy. A ja, bezgraniczny głupiec, zamiast sięgnąć do zasobu potocznych przekleństw i batoga, płakałem ze złości.

Opanowanie tej elementarnej wiedzy z zakresu miejscowego furmańskiego folkloru w zasadzie nie sprawiało mi specjalnych trudności, jednakże matula z przerażeniem rozpytywała, co jest ze mną, bo po nocach wrzeszczę *CeBe* - *COB* i przeklinam jak zwykły furman. Coś w tym powiedzeniu zapewne jest, bo w istocie byłem furmanem. Powożenie wołami nie było łatwe, bo krnąbrne bydlaki jak na złość zawsze manifestowały swój negatywny stosunek do pracy. Ktoś z miejscowych pewnego razu beztrosko zażartował sobie ze mnie, gdy żaliłem się na woły, pouczając na serio, że nie ma lepszego sposobu, aby poderwać je z miejsca, jak założenie pod ogon wiechcia, słomy lub papieru i podpalenie. Pewnego razu zrobiłem to w warunkach skrajnej bezradności. Poskutkowało! Woły ruszyły z miejsca na oślep galopem wraz z jarzmem, dyszlem i przednią kolasą. Reszta wozu z ładunkiem pozostała na miejscu. Mogło dojść nawet do tragedii, bo woły popędziły wprost do stajni, ale na szczęście wrota przed nimi zostały zamknięte. Była to z mojej strony ostatnia próba nawiązania porozumienia z powierzoną mi parą wołów i zarazem ostatni dzień pracy w koniuszni. W sumie wyszło mi to na dobre.

Następnego dnia zostałem skierowany do miejscowego elewatora zbożowego, gdzie przechowywano ziarno pszenicy z jesiennych zbiorów. Cóż to był za elewator? Mianem elewatora nazywano tu zwykły, zimny hangar z glinianym klepiskiem, na którym składowano pszenicę w pryzmach kilkumetrowej wysokości. Był z tym problem, bo temperatura pszenicy pomimo chłódów szybko wzrastała, grożąc samozapłonem. Szczytem stosowanej tu techniki przewietrzania ziarna byli uzbrojeni w łopaty ludzie, których zadaniem było przerzucanie pszenicy z jednej pryzmy na drugą. Zabieg ten, aby działał skutecznie, wymagał ciągłego powtarzania. Osobiście byłem z tej pracy zadowolony, bo pszenica nie jest tak ciężka jak ziemia lub żwir i szuflowanie mi odpowiadało. Nie byłem zresztą sam. Pracowali tu również inni Polacy, w tym przede wszystkim kobiety. Przy okazji można było zjeść, jeśli ktoś chciał, trochę ziarna, a co najważniejsze trochę wynieść na zewnątrz. Nie było to łatwe, bo przy wyjściu obmacywano każdego od stóp do głowy i sprawdzano kieszenie. Ja za każdym razem wynosiłem trochę ziarna w dolnej części wojskoków. Nie było to proste, bo po przejściu kilkudziesięciu kroków

ziarno osuwało się ku dołowi uciskając niesamowicie stopy. Niekiedy ból był trudny do zniesienia, jednakże świadomość celu i bezkompromisowa wola walki o przetrwanie robiły swoje.

Z pszenicą miałem do czynienia po raz drugi w dwa lata później, kiedy to zostałem na okres tygodnia skierowany do pomocy przy załadunku wagonów. Przy bocznicy kolejowej na stacji Żałytr gromadzono w tym czasie dostarczane samochodami zboże z okolicznych kolchozów i sowchozów, magazynując go wprost pod gołym niebem na rozestawianym brezencie. Na szczęście w czasie *uborocznoj* (zbiorów) nie było opadów i pszenica była sucha. Pracowaliśmy systemem trójkowym, tzn. dwóch przytrzymywało worek, trzeci nasypywał szuflą pszenicę. Temu, który nasypywał, podawano na ramię, w pozycji stojącej, worek. Należało go wnieść po trapie do wagonu - zazwyczaj otwartej węglarki - i wysypać zawartość, przytrzymując ręką róg worka. Zmiana tragarzy następowała cyklicznie w przyjętej kolejności. Jak na moje możliwości i siły praca ta była wyjątkowo ciężka. Gdy pierwszy raz zadano mi worek na ramię, poczułem jak uginają mi się nogi. Z trudem pokonałem na chwiejącym się trapie ponadmetrową wysokość wagonu. Pierwszy dzień tej morderczej pracy odczułem szczególnie dotkliwie - po nocy z trudem mogłem poruszać nogami bez jakiegokolwiek obciążenia. Ale to nie był powód do pieszczot. Kolejne dni załadunku z dolegliwości tych wyleczyły całkowicie. Każda trójka ładowała dziennie sześćdziesięcotonowy wagon zboża. Taka była dzienna norma. Dzisiaj z trudem znoszę do piwnicy półmetrowy worek kartofli. To coś wręcz nieprawdopodobnego...

Czas upływał bardzo wolno. Ja codziennie chodziłem do pracy, a Matuła z wielką troską i niepokojem za każdym razem oczekiwała na mój powrót. Nie mogła pogodzić się z faktem, że jako dziecko muszę tak ciężko pracować.

Oczekiwała również z niepokojem na wiadomości od Milka. Pierwsze listy nie wróżyły niczego dobrego. W Taszkencie, gdzie miała tworzyć się Armia Andersa, nie wiadano nic. Przybywającym z różnych stron *sojuza* ochotnikom proponowano podejmowanie pracy w miejscowych kolchozach przy zbiorze bawełny. Oferty takiej jednak nie traktowano poważnie. Po długiej przerwie w korespondencji nadszedł wreszcie oczekiwany list polecony z Siemipalańska. Na odwrocie koperty poczyniony przy zwrotnym adresie dopisek „fikcja” wyjaśniał ponad wszelką wątpliwość, że nie jest to miejsce pobytu nadawcy. Z listu wynikało, że Armia Andersa powstaje w europejskiej części Rosji i Milek zmierza tam jechać. Po liście tym nastąpiła kolejna długa przerwa w korespondencji. W Żałytrze krążyły różne plotki na temat armii, ale nikt się do niej nie wybierał.

Miejscowy *rajwojenkomat* nie potrafił udzielić żadnej wiążącej wiadomości na ten temat. Matuła bardzo przeżywała brak wiadomości od Milka, podejrzewając najgorsze. Milczenie trwało ponad trzy miesiące. Można było przypuszczać, że nasz niedoszły żołnierz zaginął bez wieści.

Nieoczekiwanie nadeszła depesza: *żyw, zdrow, armia Tockoje, Misza*. Radość była wielka. Poprawiło się samopoczucie matuli i otaczająca nas atmosfera, jednakże szczęście nie było pełne. Dlaczego depeszę podpisał Misza? Przekonany wewnętrznie usiłowałem matuli wyjaśnić, że jest to zwykłe przekłamanie, zamiast Milek nadano Misza, bo to dla tubylców zrozumiałe i oczywiste.

Wątpliwości wyjaśnił dopiero list, w którym Milek informował, że przed przybyciem do miejscowości Tockoje przez długi czas przebywał w szpitalu, że ciężka przechorował tyfus i sam ledwo uwierzył, że żyje. Zapewniał przy tym, że nic już mu nie grozi, chociaż warunki są ciężkie. Jest prawdziwym żołnierzem i prosi o przyjęcie do wiadomości i zapamiętanie, iż urodził się w dniu 28 lutego 1923 roku w Zimnej Wodzie koło Lwowa. Z dalszych informacji wynikało, że Milek we własnym zakresie na zaświadczeniu wystawionym przez NKWD w dacie urodzenia z szóstki zrobił trójkę, „dopisując sobie” w ten sposób trzy lata, aby dostać się do wojska i grupy Orląt Lwowskich. W kolejnym liście nadeszło miniaturowe zdjęcie Milka w mundurze i furażerze, które przyjęliśmy jako świadectwo skrajnego wyczerpania. Tej zimy w Tocku żołnierze Armii Andersa, przebywali w namiotach, egzystując w wyjątkowo trudnych warunkach. Najlepiej oddali to dwaj naoczni świadkowie, dorośli bracia Mieczysław i Czesław Bańkowscy, którzy dotarli tam i wrócili z powrotem do Żałytru, kwitując sprawę „*nie ma głupich, tu jest prawdziwy raj*”.

Wiosną skierowano mnie do pracy w charakterze plotnika przy obudowie zapór śnieżnych. Ten charakter pracy odpowiadał mi w zupełności, bo z łatwością dawałem sobie radę na wysokości i robiłem to już na Wyjemce. Niestety, prace te zmierzały ku końcowi.

Niebawem dostałem przydział do męskiej brygady Zawiałowa. Był to tęgiej budowy mężczyzna, zdyscyplinowany, obowiązkowy i bardzo wymagający Kazach. Poza tym był to człowiek ambitny, przodownik pracy i zapalony uczestnik *socsorewnowanija* (socjalistycznego współzawodnictwa pracy). Traktowano mnie tu na równi z innymi. Układaliśmy i regulowaliśmy tory, budowaliśmy rozjazdy, skrzyżowania i całą infrastrukturę techniczną depo oraz wykonywaliśmy inne, zazwyczaj trudne i prestiżowe zadania.

Zdarzało się, że przy załadunku szyn kolejowych na wagony stosowano wprost samobójcze metody pracy. Nie bacząc na własne bezpieczeństwo i groźbę śmiertelnego przygniecenia, zazwyczaj szesnastoosobowy zespół ludzi, działając w zgodnym rytmie na komendę, podejmował z ziemi ciężką szynę i zarzucał na wagon. Miały miejsce upadki szyn i tragiczne tego skutki, jednakże nikt do tego nie przywiązywał większej wagi. Również przy regulacji torów czynności wykonywano na komendę „zapiewajły”, który, dysponując niewyczerpanym repertuarem i niezniszczalnym gardłem, *zawodził* zazwyczaj bardziej wulgarne teksty od cytowanego niżej:

„*Jubka krasna,
z poło sami.
P... da ryża,
z wołosami*”.

Wykonywany po każdym wierszu zgodny ruch (wysiłek) zazwyczaj przynosił oczekiwane rezultaty.

W brygadzie Zawiałowa dostałem szkołę jak nigdy. O lata nikt mnie tu nie pytał, każde polecenie było święte. W tej brygadzie innych Polaków nie było. Sam nie wiem, jak to się stało, że znalazłem się w całkowitej izolacji. Było mi naprawdę ciężko.

W tym samym czasie docierały do nas wiadomości, że generał Anders wraz z armią zamierza udać się na Bliski Wschód. Mówiono o sprowadzaniu rodzin wojskowych na południe ZSRR. Dostaliśmy wiadomości od Miłka z Samarkandy, a następnie z miejscowości Szachrisabz. Rodziła się szansa wyjazdu do Iranu lub Palestyny. Starania, aby wyrwać nas z Kazachstanu, poczynił również Milek. Potwierdzenie tego dostaliśmy od specjalnego wysłannika w stopniu podoficera, który, przejeżdżając przez Żaltyr, spotkał się z matulą i poinformował, że ma ze sobą dla nas dokumenty na wyjazd i należy się do tego przygotować. Na razie jedźcie dalej na wschód po inne rodziny i zabierze nas w drodze powrotnej.

Niestety! Facet nigdy więcej w Żaltyrze się nie pokazał. Na naszych papierach wyjechał ktoś inny. Zostaliśmy po prostu wykiwani. Nie jest to przypuszczenie. Fakt ewakuowania mnie i matki na Bliski Wschód potwierdza oficjalne zawiadomienie Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie, skierowane w dniu 29 marca 1944 roku do przebywającego w niemieckiej niewoli ojca. Co za perfidne oszustwo. Nie miałem o nim najmniejszego pojęcia. Podczas gdy ja musiałem ciężko harować w brygadzie Zawiałowa, ktoś korzystał z moich uprawnień. Na domiar złego nadeszła kolejna ciężka zima.

Przy spadku temperatury zaczęły dokuczać zaniedbane zęby. Zdarzało się, że po przyjeździe na posilek wprost z mrozu gorąca zupa powodowała natychmiast ostry ból. Stawałem niejednokrotnie wobec konieczności wyboru jeść czy też nie jeść. Przez pewien okres stosowałem wręcz makabryczną metodę jedzenia gorącego i zapijania zimną wodą. To pomagało, ale tylko na chwilę.

W zimie do pracy wychodziło się i powracało po ciemku. Dzień był krótki, a praca trwała dziesięć, a w miarę upływu czasu nawet dwanaście godzin. W czasie burzy śnieżnej, co zdarzało dość często, do odśnieżania budzono również w nocy. Najłatwiej było poderwać Polaków, bo wszyscy trzymali się razem. Takie nocne wypadki na odkopywanie torów były bardzo niebezpieczne, gdyż można było z łatwością zagubić się w czasie szalejącej śnieżycy lub nie uskoczyć na czas z odśnieżanego torowiska. Na zagrożony odcinek prowadzano nas przy linie, często w warunkach braku jakiegokolwiek widoczności. Światło było dostrzegalne z odległości zaledwie kilku metrów. W czasie pracy byliśmy uczeplieni liny, ale trzeba było odchyłać kolnierze i odsłaniać uszy, żeby usłyszeć ostrzegawczy gwizd lokomotywy. Zwykle pociąg przelatywał tuż obok nas jak koszarne widmo, podczas gdy my zalegaliśmy w kotłownianinie śniegu na skarpie wykopu. Zbudowane wzdłuż torów potężne zapory przeciwnieźne - jak się okazało - nie zawsze były skuteczne. Dużo zależało od kierunku i siły wiatru.

Nocne wypadki na odśnieżanie nie naruszały normalnego rytmu i czasu pracy. Czasami zasypywało całkowicie nasze baraki i trzeba było czekać na pomoc z zewnątrz. Zwały śniegu były tak wielkie, że otwierając drzwi do środka nie było szansy na odkopanie wyjścia. Absolutna ciemność w takiej sytuacji całkowicie pozbawiała orientacji w czasie. Ku naszemu zadowoleniu pomoc nadchodziła zazwyczaj z dużym opóźnieniem.

Tej zimy zdarzył się po sąsiedzku tragiczny wypadek. Zginął bardzo młody człowiek, syn miejscowego naczelnika stacji. Podobnie jak inni, w tym Polacy, „wyskoczył” on samotnie po południu na nartach po *siemeczki* (pestki słonecznika) na odległe o kilka kilometrów kolchozowe pole. Wczesna zima najwyraźniej zaskoczyła kolchoźników i setki hektarów kolchozowego słonecznika pozostało na polu. Zbiór był prosty. Wystarczyło nałożyć worek na czapkę słonecznika lub rozścielić na ziemi płachtę i uderzyć czapką, ręką lub kijem. Zmarznięte i zarazem wysuszone nasiona wysypywały się za pierwszym uderzeniem. Wyprawy po pestki pociągały za sobą pewne ryzyko, gdyż można było trafić na patrol kolchozowy i odpowiadać za kradzież, mimo to ludzie ryzykowali.

Tego dnia popołudniowe słońce nie było dość jaskrawe, raczej otoczone mglistą aureolą, która powiększała jego gabaryty do niemal nienaturalnych rozmiarów. Była to zapowiedź zmiany pogody i zawieruchy. Nadchodził zmierzch. Wraz z nasilającym się wiatrem, jak okiem sięgnąć, ruszyły smugi śniegu. W ciągu niespełna godziny zrobiło ciemno, a huraganowy wiatr porywał zwały śniegu i, unosząc go wysokość kilku metrów, przemieszczał z miejsca na miejsce kotłując nim w niesamowity sposób. Widoczność w takich warunkach w najlepszym razie sięga zaledwie kilku metrów. Taki *burian* oznacza niechybną śmierć dla każdego, kogo zastanie w otwartym stepie, chyba że przez przypadek trafi na stertę siana lub słomy albo wprost na zabudowanie.

Rodzice Wołodi i ich znajomi, nie bacząc na koszmarną pogodę, całą noc trwali na płaskim dachu chałupy, w której mieszkali, unosząc w górę zapalone lampy z nadzieją na ocalenie. Niestety, Wołodę odnaleziono w tydzień później w odległości ponad dwudziestu kilometrów w zupełnie innym kierunku od domu niż należało się tego spodziewać. Po drodze pozbywał się zbędnego balastu, porzucając zewnętrzną odzież, a w końcu i narty.

Była to jedna z wielu ludzkich tragedii, jaka spotkać tu może każdego, kto nie jest zbyt przezorny. Dotyczy to również tych, którzy nawet przy pięknej pogodzie znajdują się na stepie o zmierzchu lub w nocy. Zimą w pobliżu osad ludzkich grasują całe watahy zgłodniałych wilków. W takiej sytuacji bezbronny piechur nie ma żadnej szansy.

Kolargol

Ciężka fizyczna praca, kompletny brak tłuszczu i witamin oraz prawie głodowe racje dla młodego organizmu z czasem zrobiły swoje. Zimą 1943 roku trafiłem do szpitala za sprawą ogólnego wyczerpania i czyraków, które owładnęły mną bez reszty. Były one wyjątkowo bolesne i dokuczliwe w każdej pozycji i przy każdym ruchu. Można z nich było wyciskać zgęstniałą ropę, jak z tuby pastę do zębów lub biały krem. W takiej sytuacji o pracy nie mogło być mowy.

Przeciągający się pobyt w szpitalu nie przynosił jednak oczekiwanej poprawy. Mówiono wprost, że to egzema. Nie byłem dostatecznie zorientowany co to oznacza, domyślałem się wszakże, że jest ze mną źle. Leczone mnie głównie zwykłym tranem. Świeży tran piliem trzy razy dziennie, natomiast starym smarowano całe moje ciało z wyjątkiem twarzy. Praktycznie owijano mnie namoczoną w tranie prześcieradłem i kazano leżeć. Prawdziwa makabra!

Z czasem doszły jeszcze inne dolegliwości - ostre zapalenie oczu i spojówek. Białkówki obu gałek ocznych zrobiły się wręcz purpurowe, a światło raziło tak dotkliwie, że oczy zamykały się odruchowo same. Czulem się bardziej obolałym i cierpiącym manekinem czy nawet mumią, niż człowiekiem. Gorączka dopełniała reszty. Zdawałem sobie sprawę, że jest ze mną źle. Leżałem odizolowany od innych chorych, w pojedynkę, w bezpośrednim zasięgu widoczności dyżurnej pielęgniarki. Widoczność była wzajemna, jednakże światłowstręt i nieznosne dokuczliwe światło nie zachęcały do obserwacji. Nie myślałem ani o wojnie, ani o przyszłości. Ogarnęła mnie wszechwładna apatia.

Życie w żaltyrskim szpitalu toczyło się jednak całkiem normalnie. Wojna była daleko, a na „froncie pracy” odległego zaplecza poza normalnymi obowiązkami znajdowano czas również na przyjemności. Pewnego niedzielnego popołudnia sympatyczna pielęgniarka pełniąc dyżur spędzała beztrosko wolne chwile w towarzystwie młodego mężczyzny, naruszając zapewne obowiązujący regulamin. Była cudownie rozbawiona i rozkoszna, sprawiała wrażenia dziewczyny namiętnie zakochanej. Nie zwracali na mnie uwagi w przekonaniu, że mam zamknięte oczy i nic nie widzę. Obserwacja dwojga zakochanych w codziennej szpitalnej monotonii była jednak na tyle interesująca, że trudno było się oprzeć pokusie. Przyszedł niebawem czas na aplikację przypisanych leków. Między innymi ja miałem przypisane krople do oczu *kalergol* - kolargol. Rozkojarzona pielęgniarka chwyciła beztrosko z podręcznej serwantki ciemnoblondą buteleczkę i nachylając się życzliwie wpuściła mi do prawego oka zaledwie jedną jedyną kropelkę. Nie umiem ocenić, jak głośno wrzasnąłem z bólu, ale wiem, że dosłownie w kilka sekund u drzwi mego pokoju stało kilku chorych z sąsiednich pomieszczeń. Z pozycji leżącej, jak za pociągnięciem czarodziejskiej różdżki, uniosłem się do pozycji siedzącej, wytrącając zdezorientowanej pielęgniarki otwartą buteleczkę jodyny.

Popłynął strumień łez, cała Niagara łez. Miałem wrażenie, że potraktowano mnie rozpalonym żelazem. Nie miałem odwagi otworzyć oka. Przerażona pielęgniarka, nie bacząc, że jest obserwowana, całowała mnie po całej twarzy, błagając ze łzami w oczach, abym nie mówił nic lekarzowi. Przypuszczam, że bała się skierowania na front. Ja nie byłem w stanie wykrztusić z siebie chociażby jednego słowa. Siedziałem milcząco, a łzy z porażonego jodyną oka spływały strumieniem. Skąd ich aż tyle? Wreszcie pielęgniarka odzyskała refleks. Nawilżonym tamponem zaczęła przemywać oko, prosząc błagalnie, abym go otworzył. Tak! Zrobiłem to po pewnym czasie, gdy ustąpił piekielny ból i to z wielkim strachem. Poprosiłem o lusterko. Stwierdziłem, że obie gałki oczne są jak poprzednio identycznie purpurowe i widzę tak, jak przedtem. Jedynie bardziej zaczerwieniły się i obrzękły powieki pechowego oka. A więc chyba nic się nie stało? Pielęgniarka tego dnia asystowała mi do końca dyżuru. Zmieniono zaplamioną jodyną pościel. Przeżywszy ten przykry incydent serdecznie jej współczułem. W jej oczach zobaczyłem jak wygląda prawdziwy strach.

Po kilka tygodniach kuracji poczułem się znacznie lepiej, a gorączka ustąpiła całkowicie i czyraki zaczęły się stopniowo goić i ustępować. Nie przybywało nowych. Ustąpiły dolegliwości i objawy choroby oczu. Cieszyłem się na powrót do domu i czekałem tego dnia jak zbawienia. Niestety! Można sobie wyobrazić, jakie było moje rozczarowanie, gdy po wyjściu ze szpitala, zanim dotarłem do domu, ponownie porażone blaskiem słońca i przeraźliwą śnieżną bielą oczy odzyskały kolor purpury. Następnego dnia znalazłem się ponownie w szpitalu.

Było mi bardzo przykro, ale nie żałowałem tego, bo w szpitalu miałem w miarę znośne wyżywienie i szansę na przetrwanie chociaż części surowej zimy. Popularne powiedzenie „aby do wiosny” miało tu szczególną wymowę i znaczenie. W warunkach klimatycznych Kazachstanu zazwyczaj nagle wiosna niosła dla nas nie tylko nadzieję, ale i prawdziwie nowe życie.

Makabryczna wiosna

Po wyjątkowo mroźnej i śnieżnej zimie służby eksploatacyjne kolei oczekiwały wiosny z dużym niepokojem, bowiem w przypadku nagłego ocieplenia groziła powódź. Newralgicznym odcinkiem w zasięgu naszego *strojuczastka* był most kolejowy na rzece Iszym. Dolina tej rzeki obejmowała przestrzennie olbrzymią zlewnię. Spływu kry spodziewano się od południa. Kierownictwo i stałe służby tego odcinka były w pełni świadome zagrożenia. Opowiadano pokątnie, że projektant jako rozwiązanie optymalne przewidywał trasę okrężną wykorzystując lokalne zniesienia od strony północnej. Linie przeprowadzono jednak prosto, przecinając nasypem dolinę rzeki na przestrzeni około trzydziestu kilometrów. Wynikały z tego między innymi dodatkowe utrudnienia eksploatacyjne - trzeba było pokonywać znaczne odcinki skłonu z góry i pod górę. W sytuacji

powodziowej powstawało realne zagrożenie o trudnych do przewidzenia skutkach.

Brygadę Zawiałowa skierowano do ochrony wspaniałego mostu o stalowej konstrukcji w miejscowości Koluton, położonej w odległości czterdziestu kilometrów od naszego stałego miejsca pobytu – stacji kolejowej Żaltyr. Odkomenderowano tu bardzo dużo ludzi. Obok Rosjan, Kazachów, Polaków i różnej narodowości *trudarmiejców*, którzy zastępczo odbywali służbę wojskową na strategicznie ważnych odcinkach pracy, byli również jeńcy wojenni – Niemcy.

Warunki zakwaterowania były tu wręcz tragiczne. Barako-ziemianki wyposażono po obu stronach w trzypoziomowe, zaścielone słomą nary, pośrodku zaś umieszczono prymitywne piece ze ślepymi żelaznymi blatami. Fatalna pogoda, w tym burze śnieżne nocą i opady deszczu lub deszczu ze śniegiem w dzień, przy dwunastogodzinnym ponadludzkim wysiłku fizycznym sprawiały jednak, że to barakowe piekło stawało się rajem. O warunkach sanitarno-epidemiologicznych i przeciwpożarowych lepiej w ogóle nie wspominać.

Wśród Kazachów byli tacy, co wszy wyluskiwali własnymi zębami. Inni po prostu wytrząchali koszule nad rozpalonymi do czerwoności blatami. Odgłosy pryskających iskrami insektów potwierdzały skuteczność przeprowadzanego zabiegu. Tkwiłem w tym piekle po same uszy. Wszy gryzły bez litości w dzień i w nocy. Jedynym skutecznym działaniem wbrew wszelkiej logice było zaniechanie zmiany bielizny...

Moje wyobrażenia nie sięgały jednak tak dalece, aby zrozumieć grozę sytuacji i zakres oczekujących nas tu zadań. Dostarczane kolejną sosnowe bele zbijał się ze sobą równolegle po trzy, aby łączyć je grubymi łańcuchami w zwarty, a zarazem elastyczny ciąg wzdłuż nasypu. Miały spełniać rolę pływającego falochronu zabezpieczającego nasyp. Skąd niby miałem wiedzieć, że ten piękny, o krystalicznie czystej wodzie Iszym, ze spokojnej rzeki przestoczy się w bezkresne morze.

Zanim do tego doszło dniem i nocą umacniano południową skarpe nasypu kolejowego grubą warstwą obornika i kamieniami, pomimo że skarpa wcześniej była już zabrukowana. Zabieg ten, jak się okazało, był absolutnie konieczny. Praca była bardzo ciężka, przychodziły chwile całkowitego załamania. Niektóre glazy były nie do pokonania, szczególnie na skarpie. Na pomoc nie zawsze można było liczyć. W piekielnych warunkach marcowej bryzy po dwunastu godzinach pracy uświadamiałem sobie własną nicość. Przecież miałem niespełna szesnaście lat i wcale nie byłem przekonany, że ten twardy człowiek Zawiałow o tym wie. Jakże to zresztą mogło mieć znaczenie? Przecież zostałem przydzielony dla wzmocnienia tej przodującej brygady. Podczas pracy na ogół nie rozmawiano, jedynie od czasu do czasu, gdy ktoś przyciął sobie rękę albo boleśnie przygniótł nogę, padało parszywe przekleństwo *akisyнаузесыгин*.

Od pewnego czasu nie miałem kontaktu z matulą, chociaż wiedziałem, że martwi się o mnie bardzo i przeżywa moją nieobecność. Hasło *wodobarba* było jednoznaczne i przesądzało o wszystkim. Chodziło o bezwzględne utrzymanie ciągłości dostaw strategicznego surowca jakim był węgiel. Wiadomo było wszystkim, że Karaganda po unieruchomieniu Donbasu i innych zagłębi węglowych w europejskiej części ZSRR jest jedynym źródłem zaopatrzenia pracującego na rzecz frontu przemysłu zbrojeniowego w Czelabińsku, Magnitogorsku, Orsku oraz innych ośrodkach metalurgicznych. Wśród mieszaniny narodowości nie było żadnych protestów ani narzekań. „*Wsio dla fronta, wsio dla pobiedy*”, „*Wrag budiet razbit, pobieda budiet za nami*” – to tylko niektóre hasła niejako zniewalające wszystkich do nadludzkiego wysiłku. Propaganda dopingowała i dodawała otuchy.

A na froncie jeszcze gorzej. Żołnierze często nie śpią i nie dojadają, a jednak walczą. Docierały pierwsze pocieszające wieści spod Stalingradu. Ja, pomimo marnego losu i niedoli na Syberii, miałem zdecydowanie więcej nienawiści do Niemców niż do Sowietów. Do dzisiaj nie wiem dlaczego w sposób szczególny reagowałem wtedy na monstrualny i pełny dostojnej grozy głos spikera moskiewskiego radia, przekazującego komunikaty *informbiura*. Po prostu ścisnęło mnie coś za gardło i po ciele przechodziły ciarki.

Tak. Nie było żadnych wątpliwości, że może być jeszcze gorzej. I widać nie było aż tak źle, skoro w czasie odpoczynku zmęczeni ludzie na sprośne kawały reagowali spontanicznie śmiechem. To prawda, człowiek jest niewiarogodnie silny i wytrzymały. Komunikaty meteorologiczne nakazywały pośpiech. Na południu ruszyły lody. Kolutonie, chociaż nie było widać jeszcze żadnych symptomów pęknięcia lodowej pokrywy, to jednak z niepokojem oczekiwano pierwszej fali. Nie trwało to długo. Najpierw docierał odgłos pęknięcia zalewanych wodą lodów w korycie rzeki. Potem stało się to, czego obawiano się najbardziej – autentyczne zagrożenie powodziowe – prawdziwe piekło. W ciągu niespełna doby poziom napierającej wody podniósł się w dolinie rzeki o kilka metrów.

Leżące dotychczas na ziemi kłody drewna uniosły się i skutecznie chroniły nasyp przed nieustannymi atakami narastającej fali. Kanonada pękających lodów nasilała się z godziny na godzinę. Ruszyła ławą i zatorami kra. Grupa minerska rozbijała napierające zwaly lodów przy pomocy kilkukilogramowych ładunków *amonalu*. Mimo to powstające w sąsiedztwie mostu zatory stwarzały coraz to większe zagrożenie dla niego samego i ludzi. Poziom wody ciągle wzrastał, a zwalów kry było coraz więcej. Grubość jednej sięgała półtora metra. Ładunki wybuchowe zrzucano wprost z mostu, którego stalowa konstrukcja stanowiła jedyną ochronę dla ludzi. Różnica poziomu wody po obu stronach nasypu w okolicy mostu dochodziła do dziesięciu metrów. Most obciążono wyladowanym kamieniem pociągami. Po obu stronach mostu podstawiono wagony z obornikiem na wypadek przesiąkania nasypu. Zarządzono stan alarmowy i dyżury non stop. Na jednego robotnika przypadało około dziesięciu metrów nasypu. Każdy przeciek należało natychmiast zaczipować obornikiem i umocnić kamieniami, zachować szczególną czujność i zawiadomić brygadzystę.

Niestety! W tej jakże trudnej sytuacji nie było ani helikoptera, ani samolotu. Walka z napierającym lodem stawała się coraz bardziej beznadziejna. Poziom wody sięgał już wysokości zaledwie pięćdziesięciu

centymetrów poniżej dolnej krawędzi stalowej konstrukcji mostu. Nikt nie znał ekstremum kulminacyjnej fali i spiętrzana napierającej wody.

Tej krytycznej nocy siarczyście smagał zimny wiatr, a obficie padający śnieg utrudniał obserwację. Ludzie przemoknięci do ostatniej nitki dzwonili z zimna zębami jak dzieci po zbyt długiej kąpieli w chłodnej wodzie. Na nasyp dostarczono pojemniki ze spirytusem. Chętnych do wypitki jednak nie było, tyle co na rozgrzewkę. Wszyscy byli świadomi, że sytuacja jest wręcz tragiczna. Na cud nikt nie liczył, ale mostu nie wolno było stracić. Grupa minerska wprost szalala nie szczędząc ani swego zdrowia, ani życia. Kanonada wybuchów, fontanny tryskającej wody i lodu w nocnych ciemnościach stwarzały niesamowitą scenę walki ludzi z rozszałym żywiołem na śmierć i życie. To, co działo się pod mostem, być może przypominało Niagarę. Tutaj w otchłani spienionej wody przetaczały się olbrzymie zwały kry i lodu.

O świcie, gdy zatory lodowe zaczęły atakować stalowe przesła mostu podjęto słuszną, choć tragiczną w skutkach decyzję. Zdecydowano wysadzić w powietrze boczne obwałowanie rzeki w odległości około pięciuset metrów od mostu, kierując spiętrzoną wodę i zwały lodu w kierunku zachodnim. Wystarczyło zaledwie kilka wybuchów, aby pieczołowicie zabezpieczony dotąd wał ochronny w mgnieniu oka uległ całkowitemu zniszczeniu.

Nie byłem świadkiem tego, co stało się opodal w odległości kilkunastu kilometrów. Zderzenie tak potężnej fali czołowej z żelazobetonowym monolitem dwuprzęsłowego mostu spowodowało, że został wyrwany wraz z ławą fundamentową i całkowicie rozbity. Porozrzucone i odrzucone na boki szyny kolejowe, rozmyte na odcinku kilometra nasyp to potworny obraz zniszczenia i poniesionej w walce z żywiołem porażki. Most żelazny na Iszymie został jednak uratowany. Walka z żywiołem trwała jeszcze przez kilka dni. Ludzie wyczerpani do ostateczności zasypiali stojąc. Ale to nie było jeszcze najgorsze.

Szczytem tragedii stał się pożar, który nieoczekiwanie wybuchł nocą w baraku, gdzie stacjonowali wzięci do niewoli Niemcy. Zasłane słomą nary w mgnieniu oka stanęły w płomieniach. Na domiar złego zaledwie pięćdziesięciocentymetrowej wysokości okna przy panicznej ucieczce nie dawały szansy nikomu. Uratowało się zaledwie kilkanaście osób. Zginęło około sto pięćdziesiąt. Nie było żadnej możliwości udzielenia pomocy z zewnątrz. Pogorzelisko wyglądało potwornie. Byliśmy wszyscy wstrząśnięci. To przecież mogło spotkać każdego z nas. Prawdziwe piekło.

Po kilku dniach wody zaczęły opadać. Życie stopniowo wracało do normy. Na dwie zmiany dniem i nocą budowano objazd i prowizoryczny drewniany most. Skutki powodzi były jednak zbyt poważne, aby mogły przejść bez echa. Na wizytację obiektu przyjechał sam Łazarz M. Kaganowicz – Minister Komunikacji i Łączności. Widziałem go i pamiętam, jak w pokraczny sposób schodził po drabinie na dół w pozycji odwrotnej – plecami do drabiny – co spotkało się raczej z powszechną dezaprobatą robotniczej braci. Mimo szacunku dla wysokiej władzy, prywatne komentarze na ten temat były wręcz ironiczne.

Pociągi w tym czasie nie kursowały, nie miałem więc kontaktu z domem. Na domiar złego zostałem bez pieniędzy. Stwierdziłem to pewnego dnia stojąc w kolejce po *rosolnik*. *Rosolnikiem* nazywano tu gorący płyn okraszony łyżeczką surowego oleju z kawałkiem zielonego kiszzonego pomidora i śladami jaglanej kaszy. Za ten wodnisty płyn wycinano z kartki odcinki na tłuszcz i kaszę. Byłem zrozpaczony. Bez piętnastu kopiejek nie da rady. Zagadnąłem więc stojącego w kolejce młodego człowieka, czy nie zechce mi pomóc w potrzebie? Osobnik tan był ubrany w standardową kufajkę i watowane spodnie, które przypominały bardziej zwisające na nitkach strzępy waty niż dolną część męskiej garderoby. Zagadnięty możliwości takiej nie zaprzeczył. Z pełnym przekonaniem skonstatował jednak: *tak tyż nie oddasz. Nu kakże, abiazatielno oddam* – odpowiedziałem pośpiesznie i niejako dla potwierdzenia tego zamiaru spytałem: *a tiebia kak zowut? Ogurcow* – odparł zdawkowo, pozostając zapewne w przekonaniu, że dając jałmużnę robi dobry uczynek. Nazwisko to utkwiło w mojej pamięci na zawsze. Do dzisiaj mam świadomość bezinteresownej pomocy i niespłaconego długu.

Po wykonaniu zadania ja i cała brygada Zawiałowa powróciliśmy do stałego miejsca pobytu. Fala wiosennego ciepła przywróciła wiarę w życie. W Kolutonie kontynuowano prace porządkowo-zabezpieczające i likwidowano resztki powstałych szkód. Pracowały tam również kobiety.

Pewnej nocy w baraku powstało zamieszanie. Po obudzeniu zorientowałem się, że stało się coś niezwykłego, bo kilka starszych pań z dużymżywieniem w sposób tajemniczy wymieniało szeptem poglądy. Niebawem wiedziałem już, że jednej z naszych *bene nati* dorodnych panierek wpadł do głowy pomysł skorzystania z okazynego powrotu do domu samochodem. Spotkała ją, delikatnie mówiąc, przykróść. Rozważano, czy zaistniały przypadek gwałtu zgłosić miejscowym władzom, czy też zaniechać jakiegokolwiek interwencji. Dziewczyna była autentycznie przerażona, wypytywano ją o ostatni okres i zastanawiano się nad ewentualnymi skutkami tego zdarzenia. Po koszmarnych przeżyciach w Kolutonie byłem jednak zbyt wyczerpany, aby śledzić przebieg tej nocnej debaty. Wbrew oczekiwaniom ten pozornie fascynujący podrostka temat nie zadziałał na moje zmysły, usnąłem w przekonaniu, że i moje przejścia podczas *wodobarby* na Iszymie były równie potworne.

Dzisiaj po wielu latach, na kanwie wspomnień, nie mogę oprzeć się refleksji, że w pośpiesznej realizacji „*socjalistycznej strojki*” przy budowie Stalino-Magnitogorskiej Magistrali Akmolińsk-Kartaly popełniono szereg elementarnych błędów technicznych. Przypominam sobie, że latem 1942 roku na kilkanaście dni zostałem oddelegowany do dyspozycji geodety, który na odcinku kolejowym Akmolińsk-Koluton w sposób uproszczony, przy pomocy prymitywnej, osadzonej na okutym drzewcu busoli pudełkowej dokonywał pomiaru sytuacyjnego wodociągów oraz ich niwelacji. Fakt, że pomiar ten był dokonywany po zbudowaniu nasypu, mostów i przepustów wydaje się potwierdzać odwrócenie kolejności prac przygotowawczych i opracowanie

projektu transy w oparciu o niezbyt dokładne mapy drobnoskalowe. Moja obecna wiedza w tym zakresie pozwala sądzić, że przy właściwym wykonaniu wszystkich czynności inżynierskich oraz uwzględnieniu uwarunkowań terenowych i klimatycznych katastrofalnego zdarzenia w Kołutonie można było uniknąć.

Brygadzysta

Na froncie toczyły się walki. Przelamanie blokady Stalingradu co prawda napawało optymizmem, ale to był dopiero początek. Zwycięstwo wymagało ogromnego wysiłku całego narodu i wielu wyrzeczeń. W dalekim Kazachstanie w wyniku deportacji ludności rosyjskiej pojawiły się liczne zgromadzenia Czechenów, Inguszków i innych narodowości z Kaukazu oraz więźni do niewoli niemieccy żołnierze. W rekordowych terminach uruchamiano ewakuowane zakłady przemysłowe, a do służby wojskowej powoływano coraz to nowe roczniki, co pogłębiało społeczną depresję.

15 kwietnia 1943 roku zostaje wydana rygorystyczna ustawa o socjalistycznej dyscyplinie pracy, którą potocznie nazywano *stalinskij ukaz o socjalistycznej dyscyplinie truda*. Ustawa ta w warunkach wojny wprowadzała daleko idące sankcje nawet za drobne przewinienia. Przykładowo za *chalatnoje odnoszenije k kazionnomu imuszczestwu*, tj. za lekceważący stosunek do mienia państwowego orzekano karę trzech miesięcy przymusowej, czyli robót przymusowych. Taka sama kara groziła za *proguł* – zwykle spóźnienie do pracy i znacznie dłuższa za nieusprawiedliwioną nieobecność jednego dnia pracy. Sytuacja stawała się coraz groźniejsza. Podejmowano „zupelnie dobrowolnie” pracę w niedziele organizując tzw. *woskresniki*. Czas pracy zostaje „entuzjastycznie” wydłużony do dwunastu godzin na dobę. Sprawy takie załatwiano na doraźnie organizowanych masówkach bezpośrednio po zakończeniu pracy. Na zapytanie „*kto protiv*” odpowiedzią było powszechne milczenie.

W takich to warunkach męska grupa Polaków w Żaltyrze wpadła na wręcz genialny pomysł asekuracji przed ewentualną odpowiedzialnością. Drakońska ustawa z pewnością nie traktuje na równi małoląt z dorosłymi. Kandydata nie trzeba było szukać daleko, pomyślano więc o mnie. W istocie spełniałem wszystkie warunki robotnika młodocianego – nie ukończyłem jeszcze szesnastu lat i miałem za sobą odpowiedni staż w brygadzie Zawiałowa. W zespole Polaków dotychczas jeszcze nie pracowałem; w środowisku tym traktowano mnie jako smarkacza i zwykłego gówniarza. Teraz mogłem się na coś przydać, mogłem poniekąd bezkarnie kryć dorosłych.

Pomysł powołania mnie na brygadzystą polskiej brygady w samym zamyśle był zarówno perfidny, co i racjonalny. Nie byłem świadomy ani podtekstów gry, jaką mi zaproponowano, ani konsekwencji. Przedkładane mi argumenty „za”, to: głęboka więź narodowa Polaków i patriotyzm, poczucie przynależności do tej samej grupy społecznej deportowanych, to wspólna walka o byt i przetrwanie, to wreszcie konieczność obrony starszych przed groźbą odpowiedzialności w warunkach zaostrzonej dyscypliny. Z drugiej strony po makabrycznych przejściach w Kołutonie byłem wewnętrznie przekonany, że dalej w brygadzie Zawiałowa nie wytrzymam. Nie dopatrując się podstępu przystałem na propozycję.

Niebawem zostałem demokratycznie wybrany na brygadzystę polskiej brygady, liczącej ponad trzydziestu mężczyzn w wieku od szesnastu do – bez mała – siedemdziesięciu lat, o różnych kwalifikacjach, w tym trzech policjantów. Od tej pory w dokumentach sprawozdawczych, na tablicach ogłoszeń i tablicy *socsorewnowanija* figurowała *brygada Dawidiuka*. Brygada wykonywała głównie roboty ziemne oraz czynności pomocnicze przy rozbudowie torowisk, w tym torów dojazdowych i manewrowych w DEPO, a także szereg innych doraźnie powierzanych do wykonania prac fizycznych.

Wpadłem! Fatalnie wpadłem. Każdego dnia po pracy, gdy inni szli do domu, ja musiałem uczestniczyć w *planiorkach*, czyli naradach poświęconych ustalaniu zadań i koordynacji robót, na których rozliczano z wykonanej pracy w danym dniu i przydzielano konkretne zadania na dzień następny. Do pracy musiałem przychodzić pierwszy, aby ją zorganizować. Nie miałem prawa – pomimo formalnego obowiązku brygadzysty – informować kogokolwiek o spóźnieniach, które były nagminne. Musiałem kłamać jak najęty, aby wytłumaczyć chociażby chwilową nieobecność członka brygady na stanowisku pracy.

Brygada miewała zarówno sukcesy, jak i wpadki. *Gławinż strojuczastka*, niejaki Skopcow, potocznie nazywany „*trubka*”, jako że palił fajkę i zawsze ją trzymał w ustach, zazwyczaj odręcznie robił na blonie filmowej satyryczne kreskówki, które pokazywano przed filmem. Pewnego razu zobaczyłem na ekranie godny politowania obrazek koślawych, opartych beczynniami na łopatach i leżących ludzi z napisem: „*Brygada Dawidiuka - robota nie wolk, w les nie ubiżył*”. Bywały też wyróżnienia i pochwały, głównie gdy udało się wykołować przy obmiarze robót. Najczęściej jednak obrywałem za siebie i za wszystkich. Przeżywałem przy tym poważne rozterki i to nie tylko z tego powodu – czulem się oszukany, terroryzowany i szantażowany przez swoich, a gdy próbowałem obrony, serwowano mi wprost: *to ty jesteś taki Polak?*

Tak! Właśnie taki – odpowiadałem sobie w duchu – i wcale nie taki głupi, jak myślicie. Oni wszystko mieli w nosie, a ja musiałem codziennie się gimnastykować przed władzami oraz kryć całą brygadę i każdego z osobna. W istocie byłem jednak przekonany, że w tak okrutnej rzeczywistości i tak parszywej sytuacji innego wyjścia nie ma. Trzeba było trzymać się razem, wzajemnie sobie pomagać i ochraniać. Życie i dalsze zdarzenia niebawem potwierdziły trafność wyboru nieleta na brygadzystę.

Mijały tygodnie upalnego lata. Wraz z nimi kurczył się front robót w rejonie stacji kolejowej Żaltyr, miejsca naszego stałego pobytu. Całą brygadę skierowano więc do pracy przy rozbudowie odległej o ponad sto kilometrów stacji kolejowej Akmolińsk. Była to siedziba władz *akmolińskiej oblasti* i zarazem ważny węzeł

kolejowy. To pseudo-miasto, a w istocie duży aul o zaledwie kilku piętrowych, skleczanych z glinianego *samanu* budynkach, nie posiadało żadnej utwardzonej ulicy. Przy większym podmuchu wiatru unosiły się tumany kurzu. Prowadzono tu rozbudowę stacji, przystosowując ją do nowej funkcji, jaka wynikała z rozbudowy *Karagandzińskiego Zagłębia Węglowego* i oddania do eksploatacji strategicznej linii kolejowej Akmolińsk-Kartaly.

Oddelegowano tu głównie osoby samotne i niesprawujące opieki nad dziećmi. Ja byłem traktowany jako *odinokij*, a na dodatek, choć niepełnoletni, opłacałem *bykowe* jako bezdzietny. Zakwaterowanie dostaliśmy w barakach po byłej cegielni w *kirpicznym zawodie*, gdzie na wzór baraków w Kolutonie po obu stronach stały masywne konstrukcje piętrowych drewnianych nar, które stanowiły jedyne miejsce rozrywki, snu i wypoczynku po dwunastogodzinnym dniu pracy. Było tu również pełno *trudarmiejców*, głównie Kazachów, którzy być może nie tylko ze względów religijnych i stanu zdrowia zostali zmobilizowani do pracy. Poza tym była spora grupa recydywistów zwolnionych przed terminem i skierowanych na *pierewospitanije*, czyli resocjalizację przez pracę, a także sporo Polaków.

Grupa *lagiernych prydurow*, w istocie zatwardziały kryminalistów, sprawowała tu niepodzielną władzę i uprawiała bezkarnie terror. Obowiązywało prawo pięści, kto zaś usiłował donieść oficjalnym władzom o kradzieży lub pobiciu, dostawał lekcję na całe życie. Pomimo zakazu uprawiania handlu potrafili oni na bazarze wielokrotnie sprzedawać te same kradzione przedmioty. Zazwyczaj jeden z paczki konfidencjonalnie oferował kupno towaru po atrakcyjnej cenie, a gdy dochodziło do transakcji finalizowanej uregulowaniem należności, do akcji brutalnie wkraczał wspólnik podnosząc larum, że sprzedano skradzioną mu przed chwilą własność, grożąc milicją. W tym czasie trzeci ostrzegawczo obwieszczał *milicja* i wszyscy natychmiast przyskakiwali. Milicji oczywiście nie było, natomiast poszkodowany o incydencie i poniesionej stracie zazwyczaj nie meldował. Pewnej zimowej nocy milicjanci zatrzymali dwóch oprychów, którzy prowadzili z *aulu* na *kirpawod* skradzioną krowę obutą w kradzione *wojłoki*. Kradzieże takie nie były trudne, bo tubylcy byli bardzo zabobonni i gdy ktoś grasował po saraju nie mieli zwyczaju i zapewne odwagi wychodzić z domu. Ta zgraja oprychów wyjątkowo nie czepiała się Polaków, którzy unikali z nimi zwady nie tylko ze strachu, ale i autentycznego instynktu samoobrony.

W baraku niepodzielną panował brud, smród i ubóstwo. Wszędzie było pełno prusaków, karaluchów, pluskiew i wszy. Ze zrozumiałych względów nikt publicznie nie chępił się posiadaniem wszy łonowych - *mendoweszek*. Te wredne pasożyty zewnętrzne człowieka uwielbiały najbardziej intymne zakątki ciała dając się we znaki szczególnie nocą. Osobiście doświadczyłem na sobie skutków działania tego robactwa, jednakże w tych warunkach wszyscy byli bezsilni. Czasami dla dodania sobie otuchy nuciłem w myślach zasłyszaną kiedyś przypadkowo na rynku rysztołową piosenkę:

„Najlepszy środek na mendi
Szara, maść, szara maść, szara maść,
Bo mendi giną, w te pędy,
Szara maść, szara maść, szara maść”

To była śpiewana reklama sprzedawcy.

Niestety, nie tylko szare mydło i szara maść pozostawały tu jedynie w zasięgu marzeń - nie było żadnych środków higieny osobistej. Pluralistyczny odór z suszonych onuc dominował nad innymi zapachami i odurzał. Obowiązkowa co tydzień kąpiel w publicznej łaźni oraz przeprowadzana w temperaturze ponad stu stopni Celsjusza dezynfekcja odzieży nie przynosiły oczekiwanych rezultatów. Ilekroć wpadałem na kilka godzin do domu, zawsze usiłowałem przekonać matulę, aby nie dawała mi czystej bielizny, bo jak magnes z całego otoczenia przyciągała wszystkie insekty. Najlepiej radzili sobie z nimi tubylcy - zmuszeni do osiadłego życia Kazachowie - przeczesując, podobnie jak w Kolutonie, szwy koszul zębami. Obserwacje z Kolutonu nie były więc rzeczą przypadku, po prostu szanowano własną krew.

Makabryczne warunki pracy, zakwaterowania i wyżywienia dobijały psychicznie każdego. Komunikaty z frontu i brak widoków na szybkie zakończenie wojny przygniatały do reszty. Rysowała się przerażająca wizja głodu i wyniszczenia. W takich warunkach do rozmiarów szczęścia urasta każda chwila nieoczekiwanego wypoczynku, chwila upragnionego snu.

Pewnego dnia w drodze do pracy zatrzymał nas, Polaków z mojej brygady, wojskowy patrol celem sprawdzenia dokumentów. W tym czasie coraz częściej dochodziło do świadomej dezercji bądź uchylania się od obowiązku służby wojskowej lub pracy. Do tej pory w ogóle nie zdawałem sobie sprawy z konsekwencji, jakie mogą wynikać z braku posiadania dowodu tożsamości. Okazało się, że wszyscy, z którymi maszerowałem do pracy, odpowiednie dokumenty posiadali. Ja miałem jedynie *komandirowocnoje udostawierenije*. Na wezwanie: *wasz paszport?* odpowiedziałem zgodnie z prawdą: *nie imieju. Wojenskiy bilet?* - *Toż nie imieju, mnie wsdiwo szesnadcat god.* W odpowiedzi usłyszałem cyniczną uwagę: *Eto oczeń intieresno, zuby potieral a gawarit molokosos. Pajdiosz s nami, tam rozbierut.*

Na nic się zdały argumenty kolegów z brygady ani okazana *komandirowka*. Poprowadzono mnie jak zwykłego kryminalistę lub dezertera *pod sztykom* - czyli pod eskortą dwóch żołnierzy z karabinami w pozycji gotowej do interwencji w każdej chwili. Dopiero teraz zacząłem sobie użysławiać, że przecież ja naprawdę mam żadnego dokumentu, że figuruję, i to bez zdjęcia, w paszporcie matki jako dziecko. Ogarnął mnie autentyczny strach, gdy fakt ten skojarzyłem z cyniczną uwagą dowódcy patrolu na katastrofalnego stanu mego uzębienia. To było groźne. Mogłem z marszu trafić do Karagandy, do kopalni i katorżniczej pracy przy wydobyciu węgla jako anonim, po prostu nikt!

W obszernym korytarzu siedziby akmolińskiego NKWD grupa doprowadzanych do wyjaśnienia osób nieustannie rosła. Zrozumiałem, że tego dnia przeprowadzono powszechną obławę na wszelkiego rodzaju włóczęgów i dezertków. Czekalem z niepokojem śledząc bacznie co się dzieje. Wbrew oczekiwaniom nie działo się nic szczególnego. Od czasu do czasu wyczytywano nazwiska osób, które nie posiadały kompletnych dokumentów. Zorientowałem się prawie natychmiast, że nikt mnie nie wywoła. Ulokowałem się więc w odległym kącie i zwinięty w kłębek niebawem usnąłem. Obudziłem się po upływie ponad 24 godzin, ale na mnie nie przyszedł jeszcze czas. Byłem piekielnie głodny, ale tu można było jedynie napić się wody. Gdy doszło do rozmowy, moje wyjaśnienia były proste. Podalem kim jestem, gdzie pracuję i co robię w Akmolińsku. Uratowała mnie *komandirowka*. Był to jedyny dowód na uwiarygodnienie przedstawionej przeze mnie wersji. Sprawę wyjaśniono telefonicznie w kierownictwie strojuczastka, to uratowało mnie przed Karagandą. Przy okazji dostałem z NKWD odpowiednie zaświadczenie, które pozwoliło mi na legalny przejazd do Żaltyru po dokumenty. W miejscu pracy, a następnie w rejonie wydano mi stosowne *udostawierienije*. Poczulem, że mam tożsamość i tym samym zostałem dowartościowany. Odwiedziłem matulę i znajomych, także trochę wypocząłem, zaoszczędzając pająk chleba na całe trzy dni.

Dezercja

W codziennym trudzie i zmęczeniu, tyrając ciężko z dala od rodzin, nie oczekiwaliśmy niczego dobrego. Sytuacja na froncie wymagała zwiększonych dostaw sprzętu bojowego i broni oraz wzmożonego wsparcia całego zaplecza. Świadomość trudnej sytuacji była powszechna, jednakże nikt z nas nie przypuszczał, że zgotowano nam jeszcze gorsze.

Pewnego jesiennego popołudnia przed zakończeniem pracy zostaliśmy poinformowani o przesunięciu nas na inny, strategicznie bardzo ważny odcinek pracy. Takie dyspozycje nie były nam obce. Tym razem kazano jednak zabrać ze sobą wszystkie pozostawione w barakach rzeczy osobiste. Do transportu podstawiono specjalnie przygotowany *esalon* z wagonami towarowymi, przystosowanymi do przewozu ludzi.

Nie było żadnych przecieków ani możliwości uzyskania rzeczowej informacji o co właściwie chodzi, nikt nie umiał wyjaśnić dokąd mamy jechać. Nadszedł wieczór, ale lokomotywy nie doczepiono. Rósł niepokój i poczucie realnego zagrożenia. Coś knują. Na pewno knują coś perfidnego, ale co? Przez całą noc trwały rozmowy i spekulacje, rozważaliśmy najprzeróżniejsze wersje możliwych zdarzeń. Nikt z nas nie wpadł jednak na trop wcześniej już podjętej decyzji. Czas oczekiwania przedłużał się. Do transportu dołączano nowe wagony i ściągano nowych ludzi. Upředziano, aby nie oddalać się od pociągu, bo niebawem odjeżdżamy. Niepokój nasz narastał z godziny na godzinę. Wszystkich dręczyło pozostające bez odpowiedzi pytanie, dlaczego nie pozwolono nam odwiedzić swoich najbliższych? Rosło przeświadczenie, że nie chodzi tu o jakieś doraźne zadanie w zasięgu kilkuset kilometrów. Doraźna „rada seniorów” wysunęła koncepcję ewentualnej dezercji, czyli zwykłej ucieczki z pociągu na trasie, jeżeli nie zostaniemy poinformowani dokąd mamy jechać.

W rachubę wchodziły trzy kierunki: kierunek wschodni do Karagandy; kierunek północno-zachodni do Pietropawłowska i dalej na Swierdłowski lub Omsk i Nowosybirsk oraz kierunek zachodni – Magnitogorsk. Nocą ruszyliśmy na zachód przez Żaltyr, gdzie przebywały nasze rodziny. Tam wszyscy członkowie brygad solidarnie opuścili transport i skrycie udali się do swoich rodzin. Wcześniej ustaliliśmy, że następnego dnia rano wszyscy dorośli udadzą się do odległej o trzysta kilometrów Astrachani – siedziby rejonu – celem dopełnienia obowiązku meldunkowego w związku z nakazem opuszczenia stałego miejsca pobytu i wyjazdu w nieznane, ja natomiast zamelduję naczelnikowi *III-go Strojuczastka* Budowy Linii Akmolińsk-Kartaly, że członkowie brygady opuścili transport, aby dopełnić obowiązku wymeldowania i załatwienia niezbędnych formalności w *rajwojenkomacie*.

Przypadł mi w udziale niezwykle niewdzięczny, a zarazem odpowiedzialny obowiązek doniesienia przełożonym o popełnieniu wykroczenia, a właściwie dezercji całej brygady z frontu pracy. Byłem jednak świadomy swego bezpieczeństwa wobec prawa jako nieletni, co ułatwiało mi przykrą konfrontację.

W pierwszej chwili reakcja zaskoczonego *naczalstwa* wbrew oczekiwaniom była spokojna. Zostałem wyproszony z gabinetu z poleceniem oczekiwania na dalsze dyspozycje. Niebawem w oczach przełożonych zauważyłem autentyczny strach. Moje odczucie, że oni się boją bardziej niż ja, nie rokowało niczego dobrego. Tego dnia kilkakrotnie stawałem przed obliczem naczelnego i *proizwoditiela rabot*. Relacjonowałem jak na spowiedzi uzgodniony przebieg zdarzeń motywując, że wcześniej wielokrotnie ostrzegano nas o zakazie samowolnej zmiany miejsca pobytu bez zgody władz i dopełnienia obowiązku meldunkowego w *rajwojenkomacie*, że skłonił nas do tego absolutny brak informacji co do nowego miejsca pobytu i oczywista potrzeba kontaktu z rodzinami. Nie były to rozmowy przyjemne. Przez trzy dni nie było żadnej dyspozycji w sprawie pracy i dalszych losów brygady. Do pracy nie dopuszczano - jak sądzę - aby nie akceptować karygodnej samowoli, nie było też dyspozycji wyjazdu do miejsca przeznaczenia opuszczonego transportu. Po trzech dniach sprawa najwidoczniej się wyjaśniła. Do karnej deportacji dezertków do miejsca przeznaczenia nie doszło. Humory *komsostawa* wyraźnie się poprawiły. Zapewne uwolniono ich od winy i - być może - oczekiwanej kary.

Z korespondencji, jaka niebawem nadeszła od osób, głównie kobiet, które w spisku nie uczestniczyły i wyjechały, dowiedzieliśmy się, że transport skierowano na Ural, zatrudniając ludzi w kopalniach rudy ołowiu i cynku. Był to surowiec o szczególnym znaczeniu strategicznym. Dalsze korespondencje oraz wiadomości o sytuacji bytowej, chorobach i kalectwach były przerażające i wręcz tragiczne.

Krąbna brygada została rozwiązana. Jej członkowie zostali rozproszeni po różnych odcinkach pracy. Zostałem przydzielony do zmechanizowanej kolumny Diergaczowa, która wraz z kompletnym wyposażeniem w maszyny i urządzenia do układania torów oraz wagony mieszkalne została skierowana na „stodieszatuju strojku Dżekaz-gan” - kierunek Bajkonur.

Tu, w pustynnej scenerii, gdzie podstawowym problemem było zdobycie wody, miałem możliwość przekonać się naocznie o potędze islamu. Pierwsza dostawa wody gospodarczej, stwarzając możliwość dopełnienia rytualnego obowiązku zmycia stóp przed modlitwą, ujawniła prawdziwą hierarchię obowiązków w indywidualnej ocenie wiernych. W promieniach piekącego słońca w czasie pracy ubrani często w kożuszone portki tubylcy odwróceniem na wschód pokornie bili pokłony, zanosząc do Allacha błagalne modły w zrozumiałym tylko przez siebie języku.

Nie. To nie była miejsce dla mnie. W kolumnie Diergaczowa nie byłem znany. Uznałem to za mój atut. Uciekłem więc przy pierwszej okazji dostawczym pociągiem. Ryzykując wiele - miałem tylko dokument zastępczy - dotarłem szczęśliwie do Karagandy i do Akmolińska, gdzie udając głupca, jak gdyby nigdy nie zgłosiłem się do pracy. Nie miałem odwagi wrócić do Żaltyru. Tym samym moje drogi rozeszły się na zawsze z grupą Polaków deportowanych z Bielska Podlaskiego i jego okolic.

Nadeszła zima. Zostałem okresowo skierowany do pracy w Zagotsieno w miejscowości i stacji kolejowej Karadyr, a w dalszej kolejności przeniesiony na rozjazd pomiędzy Akmolińskiem i stacją Wiszniowka na trasie kolejowej do Karagandy.

Tu przebywaliśmy z matulą i Danusią Nieścior, osieroconą córką kierownika Szkoły Powszechnej Nr 2 w Bielsku Podlaskim, straconego w obozie dla internowanych oficerów w Starobielsku. Zanim doszło do przeprowadzki i połączenia rodziny musiałem nielegalnie jeździć do Żaltyru, aby utrzymywać w miarę stały kontakt z matulą, która bardzo przeżywała moją nieobecność i bolała nad moim losem.

Zakazane podróże

Komandirowka, czyli oddelegowanie do pracy na czas nieokreślony, w praktyce oznaczała brak możliwości legalnego powrotu do miejsca zamieszkania przed zakończeniem zadania. W czasie wojennym jazda pociągami towarowymi była zakazana i surowo karana, a na stacjach niemal wszystkie pociągi penetrowały patrole wojskowe lub kolejowe ekipy NKWD. Ryzykując jazdę można było zarobić kilka latek *prynudilówki*. Mimo to kontakt z domem i matulą był konieczny. W okresie letnim i jesienią niebezpieczne sytuacje można było przetrwać przysypując się węglem lub wyskakując z pociągu w biegu. Problemy powstawały z nadejściem zimy. Oczekiwanie w bezruchu na odjazd pociągu w otwartej węglarce lub na węglu przy kilkudziesięciostopniowym mrozie było szaleństwem. Takie ryzykowne rajdy do Żaltyru z Akmolińska lub Karadyru z konieczności musiałem ograniczać do koniecznego minimum.

Na szczęście przez przypadek zorientowałem się, że problem względnie bezpiecznej jazdy zimą można rozwiązać w zaskakująco prosty sposób. Oto parowozy typu *Siergo Ordzonikidze* są specjalnie przystosowane do eksploatacji w warunkach stepowych i na obszarach ubogich w wodę. Posiadają one specjalne urządzenia, służące do schładzania wykorzystanej pary i jej skraplania. Boczne ściany tendra tego parowozu skonstruowane z odpowiednio dużej ilości płaskich rurek, ochładzających parę silnym strumieniem wymuszonej przez turbiny cyrkulacji powietrza. Wydalane na zewnątrz przez trzy turbiny powietrze nawet przy najsilniejszych mrozach jest ciepłe, a nawet gorące. Wystarczyło zatem tylnymi drzwiczkami wejść do wnętrza tendra, gdzie temperatura sięgała do +50°C, albo skrycie ulokować się na zewnętrznej osłonie turbiny, którą stanowiły stalowe siatki ochraniające i pokonywać trasę w warunkach wręcz komfortowych.

Było to odkrycie na swój sposób epokowe. Należy tu podkreślić, że w obu przypadkach groziła wpadka na patrol lub na obsługę parowozu. Innej możliwości podróży w zimie jednak nie było. Trzeba było ryzykować. Matula oczekiwała mnie o każdej porze zawsze niespokojna, czy nie spotkało mnie coś złego. Do pociągu zazwyczaj wskakiwało się w biegu. Tak było najbezpieczniej. Życie nie było jednak zbyt łaskawe i nie oszczędziło niespodzianek.

Pewnej nocy na stacji Żaltyr wyjątkowo bezpiecznie wlałem do tendra parowozu, lokując się wygodnie pod tylną turbiną, z przeświadczeniem, że czeka mnie wygodna jazda do samego Akmolińska. Rozczarowanie nastąpiło z chwilą, gdy ruszył pociąg. Okazało się, że system chłodniczy nie jest szczelny i wraz z zasysanym przez turbiny powietrzem do wnętrza przedostawała się gorąca para. Po kilku minutach byłem cały spocony, przesiąknięty wilgocią i pozbawiony powietrza.

Ogarnął mnie paraliżujący strach. Zdawałem sobie sprawę, że około trzech godzin jazdy do Akmolińska w takich warunkach nie wytrzymam. Trzeba było szukać jakiegoś ratunku. Wirujące nad głową na pełnych obrotach turbiny ograniczały swobodę manewru. Metalowe drzwiczki, przez które dostałem się do środka nie ustępowały. Czyżby je ktoś zaryglował od zewnątrz? To oznaczało tragiczny koniec. Strach przeradzał się w przerażenie, ograniczając zdobności do rzeczowej analizy i oceny sytuacji. Przecież nikt do tylnej ściany tendra nie podchodził. Każdy krok na zewnątrz w czasie postoju było doskonale słychać. Należało więc wnosić, że drzwiczki blokujące dostęp do świeżego powietrza nie mogą być zaryglowane. Należy je za wszelką cenę chociaż trochę otworzyć. Wspierając się nogami w pozycji półleżącej stwierdziłem, że pod silnym naciskiem drzwiczki ustępują. Zrozumiałem, że siła ssąca turbin jest tak znaczna, że pokonanie jej nie będzie łatwe. Uwierzyłem jednak, że mi się to uda. Pozostał zatem problem, jak zablokować uchyloną klapę, aby zapewnić ciągły dopływ życiodajnego powietrza. Udało się to przez wciśnięcie między drzwiczki i tylną ścianę

tendra skrawka rękawicy. Byłem u kresu sił. Przywarłszy twarzą do wąziutkiej szczeliny, oddychałem całą piersią jak wyjęta z wody ryba. Zanim dojechałem do Akmołińska na kolnierzu, brwiach, a nawet rzęsach ukształtowały się spore nawisy lodu.

Z wyjściem na zewnątrz nie miałem już żadnego problemu. Przed semaforem pociąg toczył się własnym rozpędem. Turbiny jak ruletka leniwie wytrącały obroty, aby następnie zatrzymać się w bezruchu. Kilka rutynowych kroków na zderzak, szczeble bocznej drabinki i skok. Technikę wskakiwania i wyskakiwania z pociągu miałem opanowaną do perfekcji. Wysiadka w odległości około kilometra od stacyjnych torowisk była stosunkowo bezpieczna. Tu zazwyczaj patroli nie było.

Aby dotrzeć do baraku na *kirpicznij*, trzeba było pokonać jeszcze prawie dwa kilometry. Bezchmurne, gwiazdzone niebo i ostre, wciąż lodowate powietrze po przebytej łaźni przypominało, że jest prawdziwa zima. Byłem cały spocony, a odzież całkowicie przemoczona. Różnica temperatur, w jakiej przebywałem przed chwilą, wynosiła co najmniej 70 stopni Celsjusza. Samotny spacer w nocy nie należał do przyjemności - po kilku minutach marszu cała zewnętrzna odzież zeszywniała i zamarzła na kość. Na miejscu w baraku stwierdziłem, że podczas tego marszu „połamaly” mi się pod kolanami spodnie i trzeba je zaszyć przed wyjściem do pracy.

Od tej pory starałem się unikać tego rodzaju przykrych niespodzianek. Nieszczelną armaturę układu chłodniczego w *Siergo Ordżonikidze* rozpoznawałem węchem natychmiast po otwarciu drzwiczek tendra. Jakby nie było, pomimo przykrych niespodzianek i zdarzeń, w zimie parowóz ten stanowił najbardziej komfortowy i stosunkowo bezpieczny środek lokomocji w warunkach bezwzględnej zakazu podróży.

Nocny koncert w Karadyrze

W styczniu 1944 roku na kilka tygodni zostałem skierowany do pracy w *zagoisieno* przy brykietowaniu przeznaczonego do transportu kolejowego siana. Na obszarze kilkunastu hektarów w okresie letnim zgromadzono je tu i uformowano w olbrzymie stogi duże ilości. Miało to miejsce w bezpośrednim sąsiedztwie stacji kolejowej Karadyr. Z Polaków byłem tu sam. Podobno korzystałem z przywileju lżejszej pracy.

Do obowiązków kilkunastoosobowej załogi, złożonej głównie z tubylców i trzech osobników oddelegowanych z zewnątrz, należało mechaniczne brykietowanie siana, transport wołami na rampę i załadunek na wagony. Były one przedmiotem naszej szczególnej troski i odpowiedzialności o każdej porze dnia i nocy, a jednocześnie naszymi współlokatorami za sprawą wspólnego saraju, przez który trzeba było przechodzić do izby. Nie było to zadanie łatwe w zimie ze względu na brak wody i niesamowite mrozy.

Monotonia pracy, poza nocnymi zmaganiem z plagą myszy, które atakowały wszystko, co nadawało się do jedzenia, oraz wypadami na przejeżdżające pociągi po węgiel, nie stwarzała jakichkolwiek szans na godziwą rozrywkę. Po pierwszej nocy stwierdziłam z przerażeniem, że myszy zjadły w całości trzydniowy przydział chleba, pomimo że skrzętnie schowałam go pod poduszkę. Trzeba więc było radzić sobie gotując z mąki popularną *lemioszkę*. Przy pierwszej okazji myszy same wskazały drogę do własnej zagłady. Właziły do płaskiego garnka, by się pożywić resztkami *lemioszki* i trzeba było tylko przesunąć drewnianą pokrywkę, aby je uwięzić. Dalej wystarczyło postawić nad otwartą fajerką garnek odwrócony do góry dnem i wyciągnąć pokrywę. Tylko raz udało się dwóm myszom wyślizgnąć z zasadzki, wskoczyć na ramię i uciec. W taki sposób skończył się raj dla znienawidzonych myszy. Były na tyle bezczelne, że podczas snu atakowały palce rąk i nóg. Spanie w grubych skarpetach lub obuwiu było tu zwyczajem.

Nastaly *kreszczenskiye morozy* – dni słoneczne i mroźne. Po obu stronach słońca pojawiły się pionowe, lśniąco-przeźroczyste słupy. Temperatura spadała poniżej minus 50°C. Przy takim mrozie ślina zamarza w locie zanim dotrze do buta, a zamknięcie oczu powoduje przemarzanie powiek. To znak, że wychodząc z pomieszczenia należy chronić nie tylko uszy, ale całą twarz. Rażące promienie słońca na tle śnieżnej bieli skutecznie atakowały swym blaskiem oczy, wywołując za sprawą siennego kurzu dokuczliwe zapalenie spojówek. W takie dni i lśniąco gwiazdami nocne mroź daje znać o sobie nie tylko ludziom. Jego skutki odczuwa wszystko, co żyje, a odgłosy swoistej kanonady pękającego drewna potwierdzają, że w tym oślepiającym, białym piekle istnieje życie również poza naszą sadybą.

W takiej scenerii, daleko od swoich, przychodzą do głowy różne myśli, trudno jednak oderwać się od ponurej rzeczywistości. Ta rzeczywistość to lodowa pustynia i grasujące watahy wygłodzonych wilków. W skleconej z brykietów prasowanego siana ziemiance czuliśmy się w miarę bezpieczni. Kradzionego z pociągów węgla mieliśmy pod dostatkiem. W ziemiance było ciepło. Jedynie nocne eskapady i od czasu do czasu jej blokada przez wilki nie należały do przyjemności. Meldowaliśmy o tym wielokrotnie, ale najprawdopodobniej nie dawano temu wiary. Ilekroć organizowano zbiorowe oblawy i zasadzki, stosując nawet przynęty w postaci baraniny a nawet żywych owiec, nie odstrzelono ani jednego wilka. Myśliwi stosowali najbardziej wymyślne sztuczki, kryjąc się na stogach siana lub w ich wnętrzu - i nic. Mówiło się, że wilki na znaczną odległość nawet pod wiatr wyczuwają myśliwych i proch.

Pewnej nocy nieoczekiwanie najedliśmy się strachu jak nigdy. Wilki podjęły prawdziwy szturm na naszą sadybę. Szaleńcze ataki wygłodzonych i rozwścieczonych, prowokowanych zapewne obecnością i zapachem rogacizny bestii, obleganie oświetlonego kagańcem, umieszczonego na równi z ziemią okienka, niesamowite zachowanie i przeraźliwy ryk wołów wywołały odczucie prawdziwego strachu i grozy. Nie byliśmy w stanie przewidzieć, do czego w takiej sytuacji zdolne są woły. W każdej chwili mogły się urwać i sforsować

wrota do saraju. Staraliśmy się je utrzymać na uwięzi i uspokoić. Samo przebywanie w saraju można było przypłacić życiem. Jeden z nas z lomem w rękę asekurował okno. Zdawało się, że wilki zdają sobie sprawę, że okno to najkrótsza droga do szalejącego z przerażenia bydła. Wskazywały na to beczelnie lśniące wilcze ślepie. Być może poczucie bezsilności rozwścieczonej watahy nie wiedzieć kiedy, równie nieoczekiwanie jak atak, nagle zmieniło zachowanie wilczego stada. Rozległo się tragicznie wymowne i żalosne wycie jednego wilka. Czyżby przywódca stada? Zaskoczeni nagłą zmianą sytuacji, nadal podszyci strachem, słuchaliśmy tego przedziwnego solo z ciarkami i uczuciem dreszczy na całym ciele. Milczeliśmy jak zahipnotyzowani. Przez fragment odmrożonego okna na tle płynącej z okragłej tarczy księżyca poświaty, w otoczeniu stada na tylnych łapach, siedział z majestatycznie wyciągniętą w kierunku księżyca szyją basior, zanosząc do nieba... przedziwne modły? I stało się coś wyjątkowego, wręcz nieprawdopodobnego. Oto zaczęło wycić całe stado wilków. Różnorodność tonacji, barwy i natężenia głosu w swoisty sposób łagodziła niesamowicie żalosną i przerażającą arię prowadzyciela, nadając tej wilczej symfonii swoisty rytm i charakter niepowtarzalnego i trudnego do opisu koncertu. Nieco odprężeni i uspokojeni słuchaliśmy tej muzyki urzeczeni i oczarowani. Zaczynało świtać. Wataha wilków z zadziwiającą zręcznością i spokojem rozplynęła się wśród zarysowujących się na horyzoncie stogów siana.

Niebawem mieliśmy tam podjąć codzienny trud brykietowania, załadunku i transportu siana. Pozostało niezapomniane przeżycie i wspomnienie.

Na rozjeździe

Niesubordynacja i dwukrotna ucieczka z miejsca przymuszonej pracy najwyraźniej nie znajdowały zrozumienia i aprobaty kierownictwa dobiegającej końca budowy. Nie pojechałem na Ural, musiałem jechać gdzieś indziej. Tym razem z Karadyru skierowano mnie do pracy w bazie materiałów pędnych przy MTS na rozjeździe kolejowym pomiędzy Akmolińskiem i stacją kolejową Wiszniówka. Przy tak znacznej odległości od stałego miejsca pobytu i utrudnieniach komunikacyjnych, trudno było utrzymać ciągłość kontaktów z domem. Nie bez trudności udało mi się jednak uzyskać zakwaterowanie w wydzielonej części ziemianki w nowym miejscu pracy. Stworzyło to realne możliwości ściągnięcia matuli i wspólnego zamieszkania. Niestety, rozwiązanie to oznaczało zerwanie dotychczasowych więzi z pozostałą grupą deportowanych z Bielska Podlaskiego Polaków i niemal całkowitą izolację od tego środowiska. Innego rozsądnego wyjścia jednak nie było.

W odróżnieniu od Biejnietkoru ziemianka tutejsza była znacznie cieplejsza, a z opalem w zasadzie problemu nie było. Wystarczyło wieczorem lub w nocy wskoczyć do stojącego przed semaforem lub jadącego pociągu z węglem, zrzucić ile trzeba i przytaskać do chałupy. Co prawda za kradzież węgla także można było zainkasować niezły wyrok, ale dla rutyniarzy nie było problemu. Po prostu trzeba było to robić, gdy padał śnieg lub podczas zamieci, aby nie pozostawić na ziemi widocznych śladów. Tubylcy robili to samo i nikt na nikogo nie donosił. Trudne czasy w stosunkowo nielicznym środowisku odizolowanej od świata społeczności sprzyjały nawiązywaniu trwałych i przyjaznych więzi.

Ziemianka, w której przyszło nam mieszkać ponad pół roku, obejmowała kwadratowe pomieszczenie mieszkalne i wydłużoną sień, oddzielającą część mieszkalną od bezpośredniego kontaktu z mrozem. Sień stanowiła ponadto zaplecze gospodarcze. Tu wegetowaliśmy we troje z matulą i Danusią Nieścior, która po śmierci jej matki i wstąpieniu brata Zygmunta do Szkoły Oficerskiej WP w Riazaniu znalazła opiekę w naszej rodzinie. Jako jeden z całej trójki *trudosposobny*, czyli zdolny do pracy, znalazłem się w towarzystwie deportowanych z Kaukazu Czeczenów i Ingusów oraz nielicznej grupy tubylców różnego pochodzenia, wyznania i narodowości.

Praca przy zaopatrywaniu lokalnych odbiorców w materiały pędne jak benzyna, olej napędowy, oleje silnikowe i smary stała się trudna, ciężka i brudna. *Pietisotki*, czyli pięćsetlitrowe żelazne beki, trzeba było wtaczać i wytaczać po oblodzonej pochylni do wykopanego w ziemi lochu oraz ładować na środki transportu i wyładowywać, co wymagało zarówno siły jak i zręczności. Osobiście miałem trudności na każdym kroku, szczególnie w okresie początkowym podczas zimy. Brak niezbędnego doświadczenia życiowego i wiedzy w tej branży, a także siły dawały o sobie znać na każdym kroku.

Pewnego bardzo mroźnego poranka, przelewając z beczki do wiadra benzynę, nieopatrznie oblałem sobie prymitywne *wojtoki* i - nie zdając wcale sprawy z niebezpieczeństwa - tylko przez przypadek nie odmroziłem sobie nóg. Nie wiedziałem, że filce z łatwością wchłaniają benzynę o bardzo niskiej temperaturze zamarzania. Niebawem w tych normalnie bardzo ciepłych wojskowych temperaturach spadła poniżej zera. Na szczęście byłem zaledwie o sto metrów od domu. Później dowiedziałem się od znawców problemu, że przy niskich temperaturach wychodząc z domu należy pimy najzwyczajniej oblać wodą, a gdy ta zamarznie, ani benzyna, ani inne produkty naftowe nie będą miały styczności z obuwem. Jakież to zaskakująco proste?

Tu, na podrzędnym rozjeździe kolejowym, gdzie pociągi załadowane węglem z Karagandy zazwyczaj przyhamowywały przed semaforem, aby następnie wymienić na stacji w biegu żezło - urządzenie blokujące system zabezpieczenia ruchu pociągów - przeżyłem aż dwa przykre, godne odnotowania zdarzenia.

Rejon magazynu materiałów pędnych dniem i nocą na zmiany był strzeżony przez dozorców. Jednym z nich był deportowany po agresji hitlerowskiej na Sowiety, godnego wzrostu, silnie zbudowany Ingusz. W chwilach wolnych, a niekiedy i po pracy, prowadziłem z nim ciekawe dyskusje. Łączył nas wspólny los i wspólna bieda. Jego całą rodzinę wywieziono do Kazachstanu bez odpowiedniej odzieży, obuwia

i przedmiotów codziennego użytku. Żona i dzieci musiały siedzieć w domu, bo nie było się w co ubrać, a wspaniałe, zrobione z ornamentowanej skóry góralskie kierzce dobre były do chodzenia tylko po domu. Wiele dowiedziałem się od niego o surowych zwyczajach ludzi zamieszkujących Kaukaz, poznałem ich bezwzględne obyczaje moralne, zwyczajowe prawo dominacji mężczyzn nad kobietami, umowny kodeks honorowego rozstrzygania sporów między mężczyznami, w tym o kobiety – słowem coś z folkloru naszych górali.

Ten Ingusz uśmieł się serdecznie, gdy opowiedziałem mu znaną anegdotę, jak na Podhalu sędzili górala za zabójstwo:

Na postawiony przez sędziego zarzut, że zabił człowieka góral odparł: *Nie proszę wysokiego sądu, jom go nie zabił.*

- *No, ale żeście go uderzyli – kontynuuje sędzia.*

- *Ano, uderzyć tom go uderzył.*

- *Przecież ten człowiek więcej nie wstał – skonstatował sędzia.*

- *Nie miał prawa proszę wysokiego sądu – rzekł oskarżony.*

Nie przypuszczałem w tym czasie, że ten żart może kiedykolwiek znaleźć realną replikę tutaj, z dala od gór. A jednak. Pewnego przedwiosennego poranka, gdy przyszedłem jak zwykle do roboty, podszedł do mnie kończący nocną zmianę Ingusz z zapytaniem, czy przypadkiem nie zrobiłem mu kawału i nie schowałem służbowego *tulupa* - długiego do samej ziemi kożucha z ogromnym kołnierzem, którym można było opatulić całą głowę i który chronił zmieniających się stróżów przed zimnem. Tego ranka, nie wiedząc czemu, wpadło Inguszowi do głowy, aby przed końcem zmiany wpaść na chwilę do domu. Odległość była niewielka, prawie w zasięgu wzroku. Zdjął więc kożuch i położył przy wejściu do piwnicy. Niestety, po powrocie kożucha już nie było. Gdy odpowiedziałem, że jestem daleki od takich żartów, spokojnie, lecz stanowczo, kalecząc jak zwykle rosyjski orzekł: „*Uboju swoloc. Pajmaju, morda swiniam gawnam smieszaju!*”. W tym momencie wykonał znamieny ruch okutą w stalową rękojeść góralską ciupagą, z którą nigdy się nie rozstawał. Przez dwa dni nie było żadnych informacji. Kożucha jak nie było, tak nie było.

Z relacji naocznych świadków dowiedziałem się, że trzeciego dnia rano stróż zdobył informację, że *tulup* zabrał naczelnik MTS (*maszyno-trektornej stacji*) i schował w swoim gabinecie. Wiadomość ta przesądziła sprawę. Urażony ambicjonalnie i żądny zemsty Ingusz wtargnął do gabinetu naczelnika, wrzasnął co sił: *ty swoloc zwarował moja tulup* i z całej siły wymierzył cios stalowym ostrzem ciupagi w środek czoła. Nie uciekał. Spokojnie poszedł od domu. Niebawem go zabrano. Pozostawił na łaskę losu żonę i dwoje małych dzieci.

Życie na rozjeździe obfitowało w różne niespodzianki. Po zakupy trzeba było jeździć na gapę do Akmolińska albo do Wiszniowki. Karaganda nie wchodziła w rachubę ze względu na zaostrome rygory, patrole i nieustanne penetrowanie terenu przez NKWD. Mimo to, wbrew surowym zakazom, jeździło się pociągami towarowymi, lekceważąc wszelkie zagrożenia.

Pewnej nocy zimowej, wracając do domu na rozjazd, ulokowałem się wygodnie na tylnej siatce turbiny parowozu *Siergo Ordżonikidze*. Z prawdziwą rozkoszą plawiłem się w przyjemnym powiewie gorącego powietrza i marzyłem o sobotniej kolacji oraz niedzielnym wypoczynku, jako że tu niedziele miałem wolne. Z trudem pokonywałem senność, aby nie przegapić semafora docelowego rozjazdu. Wyskakiwanie w nocy zawsze niosło ze sobą pewne zagrożenie, dlatego też w zimie bezpieczniej było wyskakiwać z bocznych schodków tendra, wykorzystywanych przez obsługę parowozu przy nabieraniu wody.

Nie przeczuwając niczego złego, zbliżając się do celu podróży, jak zwykle wstałem i w pozycji stojącej zacząłem po ciemku kroczyć do przodu w kierunku bocznego zejścia. Gdy stąpiłem na drugą połówkę siatki ochraniającej środkową turbinę, krok okazał się tragiczny. Jedynie przez ułamek sekundy zdołałem zauważyć strumień sypiących się z turbiny iskier i przerażony, niemal nieprzytomny wylądowałem na siatce przedniej turbiny. Po chwili oszołomienia zorientowałem się, że na środkowej turbinie nie było całej połówki siatki ochronnej, w ciemności nie mogłem zauważyć. Zrobiłem więc krok wprost na wirującą turbinę. Strach i przerażenie nie pozwalały jednak na rzeczową ocenę sytuacji. Dopiero potem uświadomiłem sobie, że miałem wyjątkowe szczęście. Rzuciło mnie w kierunku marszu. Upadek na lewo lub prawo oznaczał upadek z dużej wysokości wprost na skarpe nasypu i niechybną śmierć lub kalectwo. Leżałem nad kolejną wirującą turbiną sam, sparaliżowany strachem i niezdolny do podjęcia jakiejkolwiek decyzji. W ostateczności mogłem ryzykować pomoc obsługi parowozu. Słyszałem jednak opowieści, że były przypadki wrzucania do paleniska parowozu przygodnych pasażerów, w tym również powoływanych do wojska rekrutów li tylko dlatego, aby zdobyć prowiant lub po prostu kartki na chleb. Wariant taki odpadał.

Zacząłem obmacywać nogę. Odbierane po ciemku bodźce czuciowe nie wyjaśniały sprawy do końca. Nie potrafiłem skonstatować, czy dotykam całą nogę bosą, czy też jej kikut? Przecież przed chwilą byłem w skórzanych trzewikach... Czasu nie było wiele. Za chwilę przed semaforem, *vis a vis* chaty, trzeba wyskoczyć z pociągu. Stąd jest najbliżej, niespełna sto metrów od toru. Widać już zarys oświetlonego okna. Tu zawsze z niepokojem oczekiwała matka. I tym razem czekać będzie tak długo, aż wrócę. Wiedziała, że na pewno wracam dzisiaj.

Nie miałem wyboru. Bez względu na to, co z nogą, posługując się kolanem przesuwam się do bocznego zejścia i pokonuję szczeble bocznej drabinki, aby wykonać skok, a właściwie świadomy upadek na ośnieżoną skarpe. Jak zwykle przed semaforem pociąg nieco zwolnił. Wiedziałem, że odbicie sprawną nogą od dolnego szczebla drabinki i lądowanie całym ciałem na bark jest ryzykowne, ale w tej sytuacji równie ryzykowny był skok na nogi. Po dwukrotnym kozłowaniu wylądowałem bez dodatkowych obrażeń. Teraz

miałem czas na rozważania. Siedziałem więc na śniegu i w śniegowej poświacie bezksiężycowej nocy stwierdziłem, że noga jest cała i nawet nie krwawi, ale z buta zostały tylko cholewki. To ogromna strata! Gdzie tu w tych warunkach zdobyć nowe buty? Co powiem matuli, gdy zapyta, co się stało? Po głowie pływały różne myśli... Nie. W takim stanie i z takim opóźnieniem od przejazdu pociągu nie wolno mi iść do domu. Trzeba odczekać, aż nadejdzie kolejny pociąg, w przeciwnym razie grozi podejrzenie, że coś jest nie tak, jak trzeba.

Wciąż nurtowało mnie pytanie, dlaczego turbina nie ucięła mi nogi? Odpowiedź stała się prosta, gdy odtworzyłem sobie wzajemny układ płatów wirnika turbiny, która zasysa powietrze ze środka i tłoczy na zewnątrz, ku górze. Przy takiej szybkości turbiny noga nie mogła wpaść między płaty wirnika, mogła jedynie ślizgać się z płata na płat. Wyrzut na przednią turbinę był więc ocaleniem. Czyżby przeznaczenie? W głowie huczało. Myśli błądziły chaotycznie, podejmując kolejne próby oceny zdarzenia i powstałej sytuacji. Jak rozegrać scenariusz powrotu do domu? Co powiedzieć matuli?

Gwiżdżąc przeciągle przed semaforem z hukiem przetoczył się kolejny pociąg z węglem. Tak. To już pora. Za chwilę wszedłem do domu jak gdyby nigdy nic. Słaby płomień naftowego kaganka tym razem był moim sprzymierzeńcem. Intuicja i spostrzegawczość matki okazały się jednak niezawodne. Na zapytanie, co się stało? odpowiedziałem spokojnie, absolutnie nic, mamu.

Jesteś taki błądy...

Tak, mamu, jestem bardzo zmęczony i jedynie czego pragnę, to snu. Nie, nie jestem głodny. Idę spać. Tak będzie chyba lepiej, pomyślałem sobie w duchu. Rano będzie łatwiej wszystko wyjaśnić. Tak też się stało. Gdy nazajutrz opowiedziałem matuli, co zaszło, usłyszałem głębokie westchnienie i słowa wyrozumiałej otuchy, dzięki Bogu żyjesz. Uważaj synku, życie masz tylko jedno.

Nie było to życie łatwe. Pomyślne wiadomości z frontu i zapowiedź ewakuacji rodzin wojskowych (Kościszczowców) na zachód napawały jednak optymizmem. Rysowała się nadzieja i realna perspektywa powrotu do wyzwolonej Polski. Wkrótce marzenia zaczęły się przeistaczać w rzeczywistość. Staraniem Zygmunta Nieściora, absolwenta *riazańskiej szkoły*, zostaliśmy zakwalifikowani do grupy rodzin wojskowych. Stało się to za sprawą Danki Nieścior, siostry Zygmunta. Umieszczono nas na liście rodzin do reewakuacji. We wrześniu 1944 roku, gdy wyzwolono Chelm, Lublin i Białystok, rozpoczęliśmy równie uciążliwą, co i radosną podróż na zachód w kierunku Polski. Tym razem było ciepło i bez konwojentów. Można było swobodnie opuszczać wagony w czasie postoju. Załadunek wagonów nastąpił w Akmołińsku, który żegnałem bez odrobiny sentymentu. Danusia zostawiła tu na zawsze pogrzebaną matkę, nie wiedząc nawet, gdzie jest jej grób. W czasie pogrzebu przebywała w Żaltyrze. Matka zmarła w szpitalu w Akmołińsku. Na pogrzebie był tylko brat Zygmunt.

Przejeżdżając w drodze powrotnej przez Żaltyr, byłem autentycznie szczęśliwy. Oby nigdy więcej. Tu przyszło mi utracić szczęśliwą i przeżyć koszmarną młodość.

Pozostając w tym przekonaniu, nie miałem jednak pełnej wyobraźni i nie pomyślałem o tym, że inni w tym samym czasie musieli przejść jeszcze gorsze piekło. Uświadomiłem to sobie dopiero, gdy oczekiwaliśmy na przeprawę przez drewniany most kolejowy na rzece Dniepr w miejscowości Kremieńczug.

Tu mieliśmy zapowiedziany całodzienny postój. W doszczętnie zrujnowanym i porytym transejami mieście sterczały kikuty walących się ścian całkowicie zniszczonych domów. Bezludne gruzowisko praktycznie uniemożliwiało rozpoznanie, któredy przebiegały ulice, a wygłodniałe i żałośnie miauczące koty uzupełniały tragiczny obraz doszczętnie zburzonego miasta. Tak, tu musiało być prawdziwe piekło. W tym koszmarnym rumowisku nie było żywego ducha, natomiast widoczne w rowach strzeleckich, wypłukane do białości szczątki ludzkich kończyn dopełniały grozy. I oto tuż obok wspaniały, urwisty brzeg spływającej beztrudno z hukiem rzeki, która zapewne broczyła krwią na całej swej długości i ten misternie, choć naprędce zbudowany przez saperów most drewniany, przez który w żółtym tempie przejeżdżają na front transporty. Widok z góry, z wysokości kilkunastu metrów na spienione wody żywiołowego Dniepru przyprawiał o zawroty głowy i skłaniał do głębokich refleksji. Przez tę niesamowitą w swej wymowie, konstrukcji i widokowej scenerii przeprawę pociąg przeprowadzał specjalny maszynista – pilot. Zdawało się, że za chwilę cała konstrukcja mostu runie w spienioną otchłań Dniepru.

W czasie transportu na zachód, który trwał prawie sześć tygodni, czasu na rozmyślanie było dużo. Zdarzały się także tragedie. Oto na podrzędnej stacji kolejowej opodal Złamienni podczas postoju rozpalono ogniska, aby ugotować strawę. Nagle przerażający huk odwrócił uwagę wszystkich na sąsiedni tor, na którym stał transport załadowany zniszczonym sprzętem wojskowym i trofejnym złomem. Widok był przerażający. Dwóch chłopców z naszego transportu na jednej z platform znalazło granaty ręczne, które usiłovali rozbić na szynie. Eksplozja zrobiła swoje. Poszarpane ręce, pokaleczone szyje, pokrwawione twarze i ten niesamowity krzyk poszkodowanych, zaraz potem przerażający wrzask zrozpaczonych matek - to obraz, który pozostanie na długo w pamięci wszystkich świadków tej tragedii. Dzieciaki natychmiast odwieziono do szpitala, natomiast pozostali członkowie rodzin opuścili transport. Przeznaczenie czy dalsze ofiary wojny na odległym zapleczu frontu?

Wreszcie dotarliśmy do kolejnego etapu naszej tułaczki. Stacja Potasz w kijowskim okręgu Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, a stąd do miejscowości Iwańki w makowskim rejonie. Pytanie, dlaczego nie dowieziono nas na tereny już wyzwolonej Polski, niestety pozostało bez odpowiedzi. Wśród licznej grupy Polaków, która tu przybyła, nie było nikogo z Żaltyru ani spośród deportowanych w 1940 roku z Bielska Podlaskiego i jego okolic.

Iwański

Ta malowniczo położona nad pięknym, przedzielonym na dwie części przez tor kolejowy jeziorem miejscowość spośród innych wyróżniała się tym, że istniała tu zbudowana przez Polaka w 1886 roku cukrownia i zbudowany później potężny spirtzawod, obejmujący gorzelnię i zakład rektyfikacji spirytusu.

Obie te fabryki, pomimo ciężkich walk i kilkakrotnego przechodzenia tej miejscowości z rąk do rąk, nie zostały zburzone. Uruchomiono je zaraz po przejściu linii frontu na zachód i podjęto kampanię cukrowniczą już jesienią 1944 roku.

Ludność była zdziesiątkowana, z przewagą kobiet, starców i osieroconych dzieci. Potrzebni byli do pracy nowi ludzie. Niestety, zaopatrzenie w żywność wbrew oczekiwaniom fatalne. Od prawdziwego głodu ratowały buraki cukrowe, których tu do czasu zakończenia kampanii cukrowej było dużo, jednakże jedynym sposobem na ich zdobycie była kradzież. Miejscowi radzili sobie nieco lepiej, bo posiadali skromne zapasy ziemniaków, warzyw i owoców z własnych upraw. Niektórzy posiadali nawet własne krowy i mleko. Powszechnie brakowało chleba.

Większość Polaków zakwaterowano w obrębie ogrodzonego parkanem terenu cukrowni w dwóch jednopiętrowych blokach. W stosunkowo dużych pomieszczeniach, przeznaczonych zapewne na cele użyteczności publicznej, rozlokowano po kilka lub kilkanaście przypadkowo dobranych rodzin. Zagęszczenie było tu szczególnie duże. Część przybyłych ulokowano w domach prywatnych jako lokatorów w drodze dokwaterowania. My znaleźliśmy zakwaterowanie u samotnej staruszki, której mały domek znajdował się na zewnątrz zamkniętego obszaru cukrowni w bezpośrednim sąsiedztwie bramy głównej z torem kolejki dojazdowej.

Pracy tu nie brakowało. Główne zajęcie stanowił rozładunek buraków cukrowych, czynności związane z obsługą transportu buraków ze składowisk do fabryki oraz praca w samej cukrowni.

Zdecydowałem się podjąć pracę na stanowisku *ochrannika pożarno-storożowej ochrony*, czyli strażnika i strażaka. Liczyłem, że tu będzie cokolwiek lżej niż przy burakach. Istotnie, praca w systemie zmianowym po 12 godzin na dobę nie była zbyt ciężka, ale i nie dawała żadnej szansy na zdobycie dodatkowych profitów. Jedyne, co przyniosło pewną korzyść, to nieograniczona możliwość polowania na gawrony, których jesienią porą i na wiosnę było tu pełno. Niekiedy tysiącami oblegały olbrzymie topole, tak że przy odrobinie szczęścia można było „zdjąć” trzy sztuki za jednym strzałem z karabinu. Do własnej dyspozycji miałem bardzo udany, celny egzemplarz trofejnego mauzera. Z nabojami nie było żadnego problemu. Było ich pełno w okolicznych lasach. Niemcy w ostatniej bitwie po obfitych opadach deszczu stracili tu olbrzymie ilości czołgów, opancerzonych transporterów i innego sprzętu zmechanizowanego, a także duże ilości innej broni i amunicji. Pokonanie zabagnionych i grzęzkich terenów okazało się w praktyce niemożliwe, natomiast jedyna droga ucieczki nasypem kolejowym została zablokowana przez wysadzenie mostu. Niemcy oblewali benzyną i palili wszystko, co się dało i uciekali jak komu wypadło.

Gawrony były całkiem smaczne, pomimo braku tłuszczu i przypraw. Głódowa egzystencja robiła swoje. Jako strażnik miałem baczenie na wszystko, co się dzieje. Wielokrotnie ujawniałem próby wynoszenia poza bramę zakładu kradzionego cukru, buraków lub melasy. Robili to również Polacy. Za każdym razem, a w szczególności gdy wychodziła nocna zmiana, stawiałem wobec konieczności wyboru, zdemaskować i pozbawić pracy czy też puścić?

Przymykanie oczu oznaczało współudział w kradzieży i tolerowanie przestępstwa. Z drugiej strony dla wielu ludzi był to jedyny sposób na przetrwanie. Nie znoszę hipokryzji. Nie w moim charakterze jest również rozdwojenie jaźni i postępowanie wbrew prawu. Nie byłem w stanie dźwigać na sobie tak znacznego obciążenia psychicznego. Zdecydowałem się więc na zmianę pracy, tym bardziej, że namawiano mnie, abym przeszedł na parowóz jako pomocnik maszynisty.

Wyższa szkoła charakteru i deprawacji

Po tygodniowym przeszkoleniu praktycznym zasiadłem po lewej stronie kotła, spoglądając na otoczenie z góry dumnie i pogardliwie. Osobom obcym wstęp na parowóz był surowo wzbroniony. Czasy wcale nie były bezpieczne. Na znacznych obszarach wyzwolonej Ukrainy grasowały zorganizowane bandy oraz zwykli rabusie i złodzieje. O zgrupowaniu Banderowców i ich zbrodniczej działalności krążyły niesamowite opowieści. Ludzie bali się ich jak zarazy.

Na parowozie mieliśmy niemieckie mauzery, szybkostrzelne pepesze i na wszelki wypadek po kilka granatów. Praca na dwie zmiany. Zmiana trwała całą dobę, po czym następna doba była przeznaczona na wypoczynek. Najtrudniej było o świecie pod koniec zmiany, kiedy senność skutecznie ograniczała czujność i zniewalała cały organizm. Do tego ten podły węgiel. Każdego dnia inny. Od czasu do czasu trafiał się antracyt, częściej niskokaloryczny z dużą zawartością ilu i kamienia sztyb, czasami karagandzińskie „fiodorowski płast”, a niekiedy wręcz fantastyczny węgiel koksujący. Utrzymanie wymaganego ciśnienia w doszczętnie wyeksploatowanym parowozie nie było rzeczą łatwą, jednakże prawdziwa trudność polegała na sprawnym czyszczeniu paleniska przy zachowaniu pełnej sprawności kotła i podstawowych jego parametrów.

Antracyt potrafił topić ruszty i łatwo je było uszkodzić przy odrywaniu żuźla stalową piką. Całe płyty tego rozżarzonego stopu trzeba było wyciągać przez drzwiczki, wdychając jednocześnie znaczące dawki trującego tlenku węgla.

Ze sztybem bywało znacznie gorzej. W czasie czyszczenia rusztów ogień wygasal całkowicie i szybko spadała temperatura, co przy odpowiednio wysokim ciśnieniu powodowało przecieki z siatki czołowej kotła. Na domiar złego rury żarowe, tzw. płomieniówki, były z innego materiału niż siatka czołowa. Różne współczynniki rozszerzalności materiału powodowały, że przy nagłej zmianie temperatury powstawały szczeliny i tryskała woda. Aby nie dopuścić do tragicznego w skutkach wygaszenia paleniska, trzeba było na własną rękę kombinować mazut dla okresowego podtrzymania ognia lub kraść podkłady kolejowe.

W czasie jazdy pod górę przy znacznym obciążeniu często trzeba było ryzykować utrzymywanie niskiego poziomu wody w kotle, aby nie obniżyć nadto ciśnienia, ryzykując możliwość wytopienia umieszczonych w sklepieniu paleniska bezpieczników. Wystarczyła chwila nieuwagi, aby wytopiony ołów spowodował natychmiastowe zalanie i wygaszenie ognia. Wycofanie z eksploatacji parowozu w czasie wojny na zapleczu frontu oznaczało wyłącznie sabotaż i pociągało za sobą surowe konsekwencje.

Praca na parowozie była ciężka, nerwowa i niebezpieczna. W tym czasie celem napadów rabunkowych na pociągi było zdobycie spirytusu, żywności i artykułów spożywczych, w tym głównie zboża. Osobiście nie przeżyłem autentycznego napadu rabunkowego na pociąg przez zorganizowaną bandę, jak to przedstawiają westerny, niemniej jednak przeżyłem atmosferę groźby takiego napadu.

Pewnej nocy, pokonując nie bez problemów wzniesienie z pełnym obciążeniem, po prawej stronie toru w lesie dostrzegliśmy czerwone światło. W tym – raczej nieuczyszczanym – miejscu należało się liczyć z próbą zatrzymania pociągu w celach rabunkowych. Trzeba było natychmiast coś postanowić. Decyzja należała do maszynisty. O zatrzymaniu pociągu nie było mowy, chociaż należało brać również pod uwagę prawdziwe ostrzeżenie o uszkodzeniu toru lub innym niebezpieczeństwie. Na wszelki wypadek maszynista ograniczył szybkość pociągu do szybkości względnie bezpiecznej. Sami w pozycji leżącej zalegliśmy w środkowej części węglarki, co w pewnym stopniu chroniło nas od ewentualnych strzałów z boku, zapewniając jednocześnie możliwość obserwacji z góry kabiny maszynisty i obrony przed atakiem z tyłu. Mieliśmy przy sobie pepesze i granaty. Z tej pozycji nie mieliśmy jednak możliwości obserwacji trasy. Psychicznie przygotowani na najgorsze czekaliśmy na atak. Ataku jednak nie było. Z uczuciem prawdziwej ulgi stwierdziliśmy, że czerwone światło pochodziło z tylnego oświetlenia samochodu, który utknął w kałuży tuż przy samym torze. Na szczęście dla nich i dla nas awaria samochodu nie nastąpiła na samym przejeździe. Zderzenie czołowe z samochodem ciężarowym to pewna katastrofa, której w normalnych warunkach można było uniknąć. Niestety, podobno strach ma zawsze wielkie oczy.

Na parowozie od pierwszych dni przyszło mi stanąć oko w oko z ponurą rzeczywistością przestępczego świata. Tego się nie spodziewałem i nigdy dotąd nie przypuszczałem, że jest on tak zakłamanym, obłudnym, perfidnym i zdeprawowanym. Ludzie, z którymi przyszło mi teraz razem pracować, manifestując uczciwość i oddanie dla wyzwolonego kraju, najzwyczajniej kradli wszystko, co się tylko dało. Z czasem przekonałem się, że w zasięgu mego bytu istnieje i bezkarnie funkcjonuje zorganizowane przestępcze podziemie, którego nici prowadziły do wysoko postawionych w hierarchii społecznej osobistości. Cechowała je nie tylko chęć przetrwania i absolutnej solidarności, lecz także przemożna żądza posiadania.

Fakt mojej pracy na parowozie najwidoczniej sam przez się stanowił dowód wiarygodności i zaufania do mnie. Przy pierwszej okazji transportowania spirytusu dostałem od maszynisty przykaz, aby w czasie jazdy pociągu przejść na brek cysterny, gdzie spotkam pojedynkowo mastiera, czyli pracownika obsługi technicznej pociągu. Zadaniem moim będzie przeniesienie na parowóz kilku kanistrów spirytusu.

Technika kradzieży spirytusu z zaplombowanych cystern była nadzwyczaj prosta. Wystarczyło trochę odkręcić tkwiącą w ścianie cysterny śrubę, a przez wyżłobiony wzdłuż korpusu otwór pod dużym ciśnieniem tryskał spirytus. Należało jedynie uważać na oczy, aby ich nie opryskać.

Kiedy po wykonaniu zadania zagadnąłem maszynistę, że jest to całkiem niezły sposób, ten poinformował mnie bez najmniejszej żenady, że w okolicy nie ma ani jednej cysterny, która by nie była przestrzelona i nie miała takiego „korka”. Gdyby się jednak taka trafiła, to przy pierwszej okazji ktoś z obsługi pociągu ją przestrzeli i skieruje do naprawy. W miejscowym depu wiedzieli dobrze, jak to robić. Nie nakładano „lat” przy wykorzystaniu techniki spawalniczej ponoć ze względu na pośpiech i groźbę wybuchu alkoholowego gazu lecz gwintowano otwór. „glusząc” go specjalnie spreparowaną śrubą. Jest rzeczą oczywistą, że wiedzieć o tym musieli zarówno pracownicy obsługi pociągów, mechanicy i ślusarze w depu, jak i całe naczalstwo. Z kradzieży praktycznie korzystali wszyscy. Nie wiem jednak do dzisiaj, czy działalność ta była kontynuacją sabotażu z okresu okupacji, czy też zrodziła się po wyzwoleniu na zdeorganizowanym zapleczu?

Zupełnie inną technikę stosowano przy kradzieży melasy, która stanowiła bardzo poszukiwany towar, jako doskonały surowiec do pędzenia bimbru. Dostarczając cysterny z melasą do *spirtzawodu*, zazwyczaj oczekiwaliśmy na ich opróżnienie, chociaż nie należało to do naszego obowiązku. W interesie pracowników fabrycznej obsługi leżało możliwie szybkie zlanie melasy, aby uniknąć ręcznego przetaczania cystern. Obsługa parowozu zaś nigdy nie dysponowała czasem. Grawitacyjny spływ gęstej cieczy w końcowej fazie zazwyczaj przedłużał się w nieskończoność. Wystarczyło zatem zamknąć zawór i podstawić następną cysternę. Na wewnętrznych ścianach cystern zawsze pozostawało „trochę” melasy. Po przetoczeniu opróżnionego transportu chociażby na odległość kilkuset metrów i otwarciu zaworu można było utoczyć sto do trzystu litrów melasy z każdej cysterny.

Nie na każdej zmianie nadarzała się taka okazja. Na parowozie „posudy” było zawsze skolko ugodo. Na spirytus najlepsze były poniemieckie kanistry, na melasę zaś metalowe, hermetycznie zamykane, trofejne pojemniki po minach i skrzynie po amunicji. Rzadziej wykorzystywano mosiężne łuski ładunków artyleryjskich

kalibru 303 mm, do których wchodziło ponad dwa pudły melasy. Jediną wadą tych pojemników był brak hermetycznego zamknięcia, dlatego wykorzystywano je zazwyczaj w domu.

Zarówno pojemniki puste, jak i wypełnione towarami lokowano na parowozie odpowiednio maskując w węglu. Pełne kanistry ze spirytusem najczęściej umieszczano w kabinie obsługi parowozu. Zależało to od maszynisty. W rygorystycznych warunkach stanu wojny parowóz był miejscem całkowicie bezpiecznym. Nikt nie miał prawa wstępu pod groźbą użycia broni. Maszynista lub jego pomocnik pozwalał na zbliżenie jedynie tym, co przychodzili po towar lub należą im doń.

Przedmiotem szczególnego zainteresowania tej wyrafinowanej, funkcjonującej bezkarnie złodziejskiej służby żelaznodrożników było zboże. Transporty ze zbożem trafiały się jednak rzadko. Ze względu na ciągłe kradzieże nie puszczano pojedynczych wagonów, lecz kompletowano całe zestawy. Jak się zorientowałem już w początkowym okresie pracy na parowozie, wszelkie próby przeciwdziałania kradzieży zboża nie przynosiły żadnych rezultatów. Dla ochrony każdego wagonu przydzielano specjalnego dozorcę. Były to zazwyczaj dziewczyny, potocznie nazywane prowadnicami, które miały obowiązek pilotowania wagonu do miejsca przeznaczenia. Pomimo to, za każdym razem z transportu coś tam skradziono.

Technikę tej kradzieży poznałem dokładnie, kiedy przyszło mi w niej uczestniczyć bezpośrednio. Pewnego dnia przed świtem, gdy pokonywaliśmy spore wzniesienie, maszynista po włączeniu bocznych „kranów” celem przedmuchania cylindrów stworzył wręcz ogłuszającą osłonę akustyczną, symulując niejako szczególnie trudny podjazd pod górę przy ograniczeniu szybkości pociągu do zwolnionego spaceru. Bez uprzedzenia i jakichkolwiek wyjaśnień maszynista polecił mi wyskoczyć i przejść na brak trzeciego wagonu. Tu oczekiwał na mnie pojezdny master. Z tej strony pociągu drzwi wagonów były pozamykane. Dostałem dyspozycję ubezpieczenia go, podczas gdy on ze sprytem małpy w mgnieniu oka zawisł u drzwi wagonu, umocował pasem do rygla i przy pomocy drewnianych kleszczy spokojnie odblokował ołowianą plombę. Po chwili drzwi wagonu były otwarte. Szedłem tuż przy otwartych drzwiach wagonu. W kilkanaście sekund pojezdny spuszczał mi na plecy worek pszenicy. Było tego zapewne z osiemnastu kilogramów, bo poczułem jak miękną mi nogi. A może to był zwykły strach? Pociąg przez cały czas niemiłosiernie sycząc i plując na boki parą sunął wolno do przodu, podczas gdy ja stałem w miejscu.

Sławko! Ty... twoją matę um potierał? Aluzja maszynisty była jednoznaczna. To nie były żarty. Ruszyłem więc klusem w kierunku parowozu. Maszynista był w zdecydowanie lepszej kondycji niż ja. Stojąc na stopniu chwycił worek jak torbę z obrokiem i wrzasnął, dawaj jeszcze! W sumie do parowozu trafiły cztery worki pszenicy. Drzwi wagonu zostały ponownie zaryglowane. Plomba wróciła na swoje miejsce bez skazy. Z sąsiedniego wagonu, jak gdyby nic, dochodziły słowa sentymentalnej piosenki:

*„Kasieńka, Katusza
Kupieckeskaja docz,
Gdzie ty progulała
Wsiu tiomnuju nocz?”*

Teraz już wiedziałem kto jaką tu spełniał rolę. Zaplombowane drzwi wagonów z jednej strony pociągu sprawiały poczucie absolutnego bezpieczeństwa. Chwostowej, czyli pracownik obsługi pociągu, zobowiązany do nadzoru składu i przebywania na breku ostatniego wagonu, zwabił wszystkie dziewczyny do jednego wagonu. Można tu sobie było pożartować i pośpiewać, mając poniekąd na oku wszystkie wagony. O głupia naiwności! Przecież żadna z tych rozbawionych dziewcząt nie przypuszczała, że w tym czasie może się cokolwiek wydarzyć.

W Iwańkach kończyliśmy zmianę. Wagony pojadą dalej bez nas. Zapewne dlatego w odległości kilku kilometrów od stacji maszynista uświadomił mi, że dojeżdżając do zarośli pozbędziemy się pszenicy, a moim zadaniem będzie zamaskować worki i oczekiwać w ukryciu odbiorców towaru na skraju zarośli od strony stacji. Odniosłem wrażenie, że scenariusz ten już wcześniej był doskonale przećwiczony. W niespełna godzinę nadeszła opisana przez maszynistę kobieta, a nieco później jeszcze sześć. Podział łupu był sprawiedliwy, po pół worka na głowę. Mnie przypadła połówka z workiem. Rozeszliśmy się pojedynczo w pewnych odstępach czasu i różnych kierunkach. Dowiedziałem się później, że miałem okoliczność spotkać żony zarówno znaczących pracowników dyrekcji Iwańkowskich Żelaznodrożnych Odjezdnych Putiej, jak i członków zespołu obsługi składu pociągu. Skąd właśnie taki podział zdobyczy nie dowiedziałem się nigdy i nigdy o to nie zabiegałem.

W swoim życiu przedtem ani po powrocie do kraju nigdy nie kradłem. Byłem świadomy odpowiedzialności karnej za tego rodzaju czyny. Trzeba było jednak jakoś żyć i zapewnić byt rodzinie, ja zaś ciągle jeszcze nie miałem osiemnastu lat.

Z czasem, gdy zaczęła napływać pomoc z UNRY, zmieniłem pracę. Z jednej strony nie mogłem grzeznąć w tym przestępczym bagnie, z drugiej zaś zmuszały do tego wręcz makabryczne warunki higieniczne. Nie było ani mydła, ani proszków. Kradzież przydzielanej w ograniczonych ilościach do zapobiegania tworzeniu się kamienia wapiennego w kotle sody kaustycznej nie rozwiązywała sprawy. Po ukończonej zmianie nie można się było domyć. Ręce, a nawet twarz, trzeba było nawilżać mazutem i wycierać zwykłą miękką gliną. Był to w zasadzie jedyny a zarazem skuteczny sposób, aby domyć ciało, ale nie było sposobu na utrzymanie czystości bielizny i odzieży.

Chrzest bojowy w C₂H₅OH

Po przyjeździe do Iwanie, już jako pomocnik maszynisty, poznałem Jurka Knobelzdorfa. Był on

garderoby. Czulem się jak w kadzi po spirytusie. Teraz dopiero zaczynałem rozumieć istotę koszmarnych opowieści naczelnika pożarno-storożewej ochrony, Irko, o tym, co się działo przy okazji wielokrotnego przechodzenia z rąk do rąk Iwanie w spirtzawodzie i skalę ludzkich ofiar – cywilów i wojskowych. Za cenę zdobycia spirytusu rażeni jego oparami ludzie, tracąc równowagę wpadali do zakopanych w ziemi pojemników ponosząc śmierć w najbardziej nieoczekiwanym momencie. No i te makabryczne prace przy wydobywaniu trupów i oczyszczaniu zbiorników...

Z trudem dotarliśmy do swoich. Myślę, że było wesoło. Ja niestety, byłem nasiąknięty spirytusem jak gąbka i raczej nieobecny. Epilogu tego dnia nie zarejestrowałem, prologu zaś nie zapomnę do końca życia.

Wspominki

Prawosławne święta wielkanocne zgromadziły na miejscowym cmentarzu prawie całą społeczność Iwanie. Było to tradycyjne, a zarazem wyjątkowo przygnębiające widowisko obrzędu duchowej więzi żywych z tymi, co odeszli na zawsze, oraz okazja do konstatacji skutków dobiegającej końca wojny. Wśród mężczyzn dominowali starcy, inwalidzi i osoby kalekie. Kobiety rozpaczały po stracie ojców, mężów, synów, rodzeństwa i przyjaciół.

Były to pierwsze święta po wyzwoleniu spod hitlerowskiej okupacji w bardzo trudnych warunkach ekonomicznych oraz uwikłanych układach społecznych, lecz w wolnym, choć wewnętrznie rozbitym środowisku.

Tej wiosny w Iwańkach i okolicach szerzył się tyfus. Nie szczędził on również Polaków, którzy w większości byli stłoczeni w obszernej obszczyty, gdzie zakażenie następowało wprost przez bezpośrednie kontakty między sobą. My mieszkaliśmy poza murami cukrowni i być może to nas uchroniło. Tak więc obok bilansu strat spowodowanych wojną na grobach zanoszono modły o zdrowie dla tych, którzy na groby przyjść nie mogli. Nie znając miejscowych tradycji, nie wybierałem się na cmentarz, ale namówił mnie do tego mój poprzedni przełożony Irko.

Zachęcając twierdził, że jest to wyborna okazja, aby dobrze zjeść i wypić. W mniemaniu tego człowieka tylko te cele usprawiedliwiały sens życia.

Istotnie. Na grobach zasłanych obrusami albo dużymi ręcznie haftowanymi ręcznikami obok chleba, ciasta, pierogów i innych specjalów tu i ówdzie można było zobaczyć wysoloną słoninę, drób, potrawy z mięsa, dania z ryb oraz duże ilości alkoholu, głównie bimbru. Odmowę poczęstunku i wypicia za zmarłych, których wymieniano z imienia, traktowano wręcz jako nieżyczliwość i obrazę. Każdy, kto przechodził obok mogiły, był zapraszany do przycupnięcia i spełnienia toastu za... Przy każdym grobie można było poznać w dużym skrócie tragiczne losy rodziny i ogrom poniesionych w czasie wojny strat. Współczucie i litość były powszechne, ale należało to potwierdzić spełnieniem toastu i spożyciem zdobytego z wielkim trudem jadła.

Tak. Irko miał absolutną rację. Rezygnacja z obejrzenia tego, być może jedynego w swoim rodzaju zdarzenia i ze względu na wyzwolenie wyjątkowego, a zarazem folklorystycznego obrzędu ludowo-religijnego oraz degustacji wyrobów lokalnej gastronomii, byłaby zwykłym brakiem zdrowego rozsądku. Nie miałem tu na cmentarzu nikogo, ale serdecznie współczulem wszystkim, którzy opłakiwali zabitych, zaginionych i pomordowanych lub błagali Boga o powrót mężów i synów z wojny.

Czas i alkohol robiły jednak swoje. To prawda, że jedni upijają się na wesoło, inni na smutno. Alkohol potrafi również wyzwalać agresję nawet w najmniej stosownych okolicznościach. Tu, na cmentarzu, obok łez, cichego szlochania, słychać było odgłosy spazmów, tragiczne zawodzenie, okrzyki rozpacz, ale i wesołe żołnierskie piosenki. Tu i ówdzie dochodziły odgłosy żartobliwych i tragicomicznych czastuszek. Niektóre wręcz przewrotnie przedstawiały tragedię jako szczęście:

„Charaszo tomu żywiotsa
U kowo odna noga
I sztany jemu nie rwutsa
I nie nada sapoga”.

Obok znanych pieśni ludowych jak *Rewe taj stohne Dniepr szyroki* lub romantycznych dumeck typu *Oczy wy oczy, oczy diwoczy, deż wy nawczyłyś zwody ludej...* można było słyszeć skoczną, a zarazem beztroską piosenkę:

„Oj sad winograd, kuczerawa wiszenia,
Stoit chlopec pid wiknom, szto dziuczyna wyszła”.

Były również solowe tańce w wykonaniu przerośniętych panienek oraz nie zawsze przyzwyczajone przyspiewki, potwierdzające nieprzemijającą mądrość starego porzekadła „łódnej kumie chleb na umie”:

„Wozle kuznicy tropa,
Diewki wyje... popa;
Pokazało charaszo,
Dajka batiuszka jeszcze”.

Jakież to wszystko niesamowite. Jedynie osobisty udział w tym spontanicznym zbiorowym obrzędzie powiązany z modłami za zmarłych w poczuciu triumfu zwycięstwa nad bestialską zbrodnią najeźdźcy pozwala na zrozumienie tej niesamowitej scenarii ludzkich zachowań i postaw. Tragedia ludzka nie zna granic. Skutki tragedii przeżywane zbiorowo w specyficznej sytuacji i okolicznościach, jak widać, nie mieszczą się w konwencjonalnej normalności i można je oceniać jedynie w kategoriach szeroko rozumianej psychologii tłumu.

Nie obeszło się również bez pretensji, pomówień i ciężkich oskarżeń o kolaborację, zdradę, zwykłe kradzieże i zbrodnie. Wspominano więc nie tylko tych, co utracili życie, ale także i tych, dzięki którym niewinnie ginęli ludzie. Nie brakowało więc i przekleństw, obietnic porachunku i wendety. Miejscowi najwyraźniej wiedzieli o sobie bardzo dużo. Do tej pory widocznie nie było stosownej okazji, aby o tym porozmawiać. W umysłach wielu ludzi kielkowała żądza zemsty.

Nie przypominam sobie, abym tego dnia na cmentarzu widział księdza prawosławnego lub greckokatolickiego. Wielkanocne wspominki na grobach iwańkowskiego cmentarza zapewne dla wielu przyniosły ulgę. Polaków przyjmowano tu z prawdziwą sympatią i współczuciem. Sowicie obdarowywano chlebem, pierogami, a nawet słoniną. Ta szczerza życzliwość i dobroduszość była wręcz rozbrajająca. Tego rodzaju zdarzeń i okoliczności w Kazachstanie nie było.

Tu, na wyzwolonej ukraińskiej ziemi, ja, jako podrostek, przeszedłem pogłębioną lekcję współczesnej historii narodu, który, marząc o niepodległości, w czasie minionej wojny być może sam sobie wyrządził wiele złego. Niestety, w tym czasie nie wiedzieliśmy jeszcze o zbrodni katyńskiej ani o losach oficerów z Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska.

Metamorfoza

Odejsie z pracy na parowozie nie było łatwe. Traktowano ją na równi ze służbą w wojsku. Gdy się udało, wszyscy w domu odetchnęliśmy z ulgą. Skończył się codzienny kontakt ze smarami i węglem. Unormowany czas pracy, uwzględniając nawet wykonywane doraźnie zadania po godzinach, dawały szansę na bardziej unormowane życie. Dotychczas po dwudziestoczworgodzinnej wyczerpującej pracy w dzień trzeba było się przespać i wypocząć. Inni robili to normalnie w nocy. Z konieczności byłem więc poniekąd odizolowany od otoczenia. Fizyczna praca gruczyka, chociaż równie ciężka, stwarzała między innymi możliwość wygospodarowania po pracy trochę wolnego czasu na kontakty z rówieśnikami i normalne życie towarzyskie. Teraz bezpośrednie kontakty ze środowiskiem Polaków miałem również w pracy. Tak więc w końcowym okresie pobytu w Iwańkach zaprzyjaźniłem się z Bolkim Białoblockim, który wspaniale operował potężną szuflą przy załadunku i rozładunku wagonów.

Bolek pochodził z rodziny robotniczej i prezentował postawę prawdziwie zaangażowanego politycznie robociągi. Pełnił funkcję sekretarza miejscowego koła Związku Patriotów Polskich, do którego należała większość Polaków. Dotknięty był drobną ułomnością – lekko utykał na nogę. W Kazachstanie ożenił się z Rosjanką, która przyjechała z nim na Ukrainę. Bolek po przebytych tyfusie imponował wspaniałą kędzierzawą czupryną. Był dobrym kupcem, dobrym organizatorem pracy i spotkań towarzyskich. Mieszkał w oddzielnym, położonym nieco na uboczu domu, co w pewnym stopniu chroniło nas przed nadmiernym wścibstwem starszej generacji pań, zdecydowanie przewrażliwionych w zakresie spraw moralnych, kultury słowa i bon tonu w ogóle. Osobiście po przejściu indywidualnej, nieco innej niż moi rówieśnicy i większość Polaków drogi w Kazachstanie i tutaj w Iwańkach, podobnie jak Bolek byłem daleki od konwenansów, w kontaktach z otoczeniem raczej chropowaty o niewybrednym słowniku i nonszalanckim sposobie bycia.

Za jego sprawą, jak większość Polaków, wstąpiłem do Związku Patriotów Polskich. Teraz w częstych kontaktach z grupą polonijnej inteligencji uświadomiłem sobie z dnia na dzień kompletny brak ogłady towarzyskiej i zwykłej kultury, poddając się bezwolnie wpływowi otoczenia i skutecznej metamorfozie.

W chwilach wolnych od pracy chętnie korzystałem z życzliwości Józka Jakubowskiego, który bezinteresownie uczył mnie gry na mandolinie. Z czasem nauczyłem się nieźle grać ze słuchu krakowiaka, kujawiaka, menueta oraz wielu innych tańców i melodii. Jednocześnie zacząłem uczestniczyć w pracach zespołu artystycznego, który realizował ambitny polski repertuar patriotyczny. Wszystko to wymagało bliskiej współpracy z gronem wykształconych i zaangażowanych pań, które zajmowały się aranżacją, choreografią i scenografią przygotowywanych występów. Przychodzili na nie nie tylko Polacy, ale i mieszkańcy Iwanie, również spoza obrębu cukrowni.

W tym okresie tu, na wyzwolonym obszarze Ukrainy, powstały realne warunki dla rozwoju działalności kulturalno-oświatowej i politycznej Polaków. Sprzyjał temu przychylny stosunek lokalnych władz i rozwój terenowych kół Związku Patriotów Polskich, które obok informacyjno-kulturalnej prowadziły działalność charytatywną w ramach pomocy UNRA.

O sytuacji politycznej na wyzwolonych terenach Polski nie wiedzieliśmy prawie nic. Obce nam były wewnętrzne rozgrywki różnych ugrupowań politycznych i militarnych o kształt i oblicze wyzwolanej ojczyzny. Wszystko, co robiliśmy, robiliśmy z myślą o Polsce, jaką zachowaliśmy w swojej pamięci.

Z napływających informacji wiedzieliśmy, że dobiegają końca rozmowy polsko-radzieckie na temat repatriacji deportowanych do ZSRR osób narodowości polskiej i żydowskiej. Uwieńczeniem tych rozmów była umowa z 6 lipca 1945 roku. Na jej podstawie dostałem imienne, wystawione przez Pełnomocnika Delegatury Polsko-Radzieckiej Komisji Mieszanej do spraw Ewakuacji w Kijowie zaświadczenie nr AE-0591 z datą 6 stycznia 1946 roku, zezwalające na wyjazd do Polski. Czas tułaczki i poniewierki dobiegał końca.

Zgrabna, czarnooka Marusia, siedemnastoletnia sierota na utrzymaniu siostry, którą wcześniej poznałem za sprawą naczelnika Irko, gdy dowiedziała się, że wracamy do Polski, ze łzami w oczach prosiła, abym ją zabrał ze sobą. Była to niewątpliwa jednostronna oferta matrymonialna – wręcz oświadczyzny, do których nie byłem przygotowany ani uczuciowo, ani psychicznie. Ona zapewne widziała w tym życiową szansę, ja zaś prozaiczny koniec przegranego dzieciństwa i młodości. Jadąc w nieznane, nie mogłem ryzykować własnej

przyszłości i przyjmować na siebie tego rodzaju zobowiązań.

W grudniu ukończyłem zaledwie osiemnaście lat. Na utrzymaniu miałem matkę i młodocianą Danusię Nieścior, przed sobą zaś jedynie wiarę w lepsze jutro i perspektywę wypełniania nieznanej treści rozpoczętego życiorysu.

To bardzo dużo, a zarazem nic.

Ostatni etap tułaczki

Styczeń i początek lutego w 1946 roku były wyjątkowo ciepłe. W ciepluszkach panowała prawdziwa radość. Jedni śpiewali, drudzy tańczyli, niektórzy zaś świadomi utraty swoich bliskich w Polsce lub dalekiej Syberii z trudem dławili w sobie ból i gorycz.

Piątego lutego dotarliśmy do granicznej stacji Jagodno. Tu dokonano kontroli granicznej dokumentów, zalecając jednocześnie złożenie wszelkich wydanych przez władze ZSRR dokumentów oraz pieniędzy. Ostrzegano, że będzie szczegółowa kontrola wagonów, a nawet rewizja osobista. Większość praworządnych i naiwnych, unikając ryzyka, dla świętego spokoju i przyspieszenia formalności postąpiła zgodnie z poleceniem. Rewizji oczywiście nie było.

W Jagodnie na terenach przyległych do torów jak okiem sięgnąć leżały zesztablowane kolejowe szyny. Tysiące, setki tysięcy szyn, których pochodzenia można się było łatwo domyśleć – zdobywcze. Jurek Knobelzdorf nie żałował spirytusu. Miał ze sobą całą dwudziestkę – pełny kanister. Korzystaliśmy z niego przez całą drogę w miarę rozsądnie zachowując niezbędny umiar.

Wreszcie pociąg ruszył. Następna stacja to Polska! W Kowlu znaleźliśmy się w bezpośrednim sąsiedztwie innych transportów, głównie transportów wojskowych z powracającymi z frontu żołnierzami Czerwonej Armii. Szczęśliwi, że wracają żywi i zdrowi, grali na bajanach, zdobywczych akordeonach, mandolinach, gitarach i bałalajkach, przyspiewując sprośne czastuszki. Patrząc pożądlivie na nasze dziewczyny kierowali pod ich adresem żartobliwe dowcipy i nie zawsze skromne aluzje. Radość była powszechna...

Niektórzy od ręki rozwinęli handel. Powracających z frontu interesowały głównie ruble i spirt. Mieli ze sobą pełny wybór eleganckiej bielizny damskiej i męskiej, cały asortyment odzieży, instrumentów muzycznych, aparatów fotograficznych i różne przedmioty codziennego użytku. Nie ukrywali - *eto wsio trofejnoje*. Najprawdopodobniej wiedzieli lub domyślali się, że po przekroczeniu granicy czeka ich kwarantanna i utrata w całości zarobowanego majątku. Nie targowali się. Towar oferowali nie na sztuki, ale hurtem - na walizki. Była to prawdziwa okazja...

Teraz wyszło na jaw, kto pomimo zakazu wiózł ze sobą ruble, kto miał zapasy bimbru i spirytusu. Jurek zapewne żałował, że niezbyt oszczędnie gospodarował na trasie swoim zasobem, ale to, co mu pozostało, dawało szansę dla innych wręcz nieosiągalne. Miał przy tym sporo rubli, jako że handel spirytusem, do którego miał stosunkowo łatwy dostęp w Iwańkach, stanowił jego drugie, chociaż nielegalne zajęcie.

W międzyczasie ktoś z wagonu dotarł na teren dworca i w pobliskim sklepie zdobył świeże francuskie bułeczki. Przed rozpoczęciem wojny w 1939 roku kosztowały one po dziesięć groszy. Pamięć nie jest na tyle zawodna, aby w ciągu sześciu lat zapomnieć ich smaku. Były szczególnie delikatne, chrupiące, pachnące i wyjątkowo pyszne.

W Kowlu dostaliśmy gorący posiłek i po raz pierwszy od sześciu lat nasz polski chleb na dalszą drogę. Pierwsze spotkanie z Polską i Polakami w porównaniu z Kazachstanem i Ukrainą wypadło wspaniale. Tu można było liczyć na prawdziwą życzliwość i kupić wszystko, co stanowiło przedmiot pożądania i marzeń powracającego z tułaczki Sybiraka. Przede wszystkim jednak żarcie. Radość więc była wielka, prawdziwa, pełna nadziei i entuzjazmu. Udając się z transportem dalej na zachód zrodziły się jednak wątpliwości, czy postępujemy słusznie? Wiedzieliśmy, że nasz dom w Bielsku Podlaskim ocalał. Dręczyło wszakże pytanie, jak się tam dostać? Czy warto ryzykować na własną rękę? Mimo rozterki zdecydowaliśmy się jechać do miejsca przeznaczenia transportu. W taki sposób dotarliśmy do Wrocławia. Tu na dworcu Nadodrze opuściliśmy wagon, rozpoczynając przejściowo koczownicze życie na peronie.

Miasto było zniszczone niesamowicie, chociaż nie wszędzie w jednakowym stopniu. W pobliżu dworca Nadodrze sterczące kikuty zburzonych i wypalonych kamienic przypominały widok całkowicie zniszczonego miasta Kremieńczug. Nie było połączenia kolejowego z dworcem Wrocław Główny. W ograniczonym zakresie kursował jedyny tramwaj „0”. Tu, we Wrocławiu, mogli pozostać wszyscy zainteresowani przyszłą pracą w mieście. Inni mogli osiedlić się w wyludnionych wsiach i opuszczonych gospodarstwach.

Bolek znalazł sobie mieszkanie w częściowo zburzonym budynku przy ulicy Św. Wincentego 5, Danusia Kopp z mamą urządziła się w domku jednorodzinnym na Osobowicach, Janka Sawicka (Paryżanka) wraz z rodziną oraz wiele innych rodzin zamieszkało w dzielnicy Krzyki. Jurek Knobelzdorf wyruszył w dalszą drogę do Słupska, gdzie przebywała jego zdemobilizowana siostra.

My, realizując postanowienie powrotu na własne pielesze, dostaliśmy w miejscowym Urzędzie Repatriacyjnym zaświadczenie na kredytowy przejazd do stacji kolejowej Warszawa. W Warszawie przy ulicy Długiej do 1939 roku mieszkaly dwie ciotki i wujek. Dotychczas nie byłem tu nigdy. To przykre, ale przyszło mi pierwszy raz w życiu zobaczyć stolicę niesamowicie zniszczoną. Na Starym Mieście stwierdziłem naocznie, że legło ono całkowicie w gruzach i nie było mowy o odnalezieniu tu kogokolwiek. W odróżnieniu od Wrocławia i Kremieńczuga, Stare Miasto nie było obrazem kołyszających się na tle nieba strzeliście sterczących kikutów

ścian zburzonych budowli, lecz makabrycznym rumowiskiem.

W siedzibie Polskiego Czerwonego Krzyża przy ul. Piusa XI wbrew oczekiwaniom nie uzyskałem adresu poszukiwanej rodziny w Warszawie. Zdobyłem natomiast adres Miłka, który przebywając we Włoszech, poszukiwał ciotki Janki, a także adres ojca, który po wyzwoleniu przez wojska gen. Maczka oflagu przebywał w Lubece. Była to cudowna, wręcz najwspanialsza wiadomość w ciągu ostatnich lat. Wszelako całą rodziną wyszliśmy z tego potwornego kataklizmu wojennego żywi i cali. Nie można było tego powiedzieć o Danusi, której ojciec zginął w Starobielsku, matka zmarła w Akmolińsku, natomiast brat Zygmunt, absolwent Oficerskiej Szkoły w Riazaniu, zaginął bez wieści po wyzwoleniu Lublina, o czym wtedy jeszcze nie było wiadomo. Fakt ten nie sprzyjał manifestowaniu wielkiej radości, tym bardziej, że byliśmy wyczerpani, niepewni jutra i głodni.

W warszawskim oddziale Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, który znajdował się w okolicach zniszczonego dworca kolejowego Warszawa Zachodnia, otrzymaliśmy zapomogę pieniężną, trochę odzieży, żywności i bilet kredytowy do stacji Bielsk Podlaski.

Nie mieliśmy ze sobą żadnych bagaży. Drewniana waliza z dziewięcioma tomami encyklopedii oraz innymi wydawnictwami została przekazana na bagaż kolejowy jako przesyłka. W Warszawie nie było połączenia kolejowego przez Wisłę. Bagaż – jak nam wyjaśniono – musiał jechać zupełnie inną trasą. Z Wrocławia do Warszawy większość trasy pokonaliśmy stojąc i to często na jednej nodze. Pociągi były przeładowane nie tylko w środku, ale nie było również miejsca na dachach wagonów, na stopniach i zderzakach. Na szczęście było ciepło.

Do Białegostoku dotarliśmy szesnastego lutego. Tu zostaliśmy powitani lodowatym chłodem północnego wiatru. Ale byliśmy już u siebie, w Polsce, i prawie w domu. Po spożyciu posiłku i zafasowaniu kilku amerykańskich konserw w punkcie etapowym PUR rano 17 lutego 1946 roku wylądowaliśmy na peronie w Bielsku Podlaskim, zamykając tym samym trasę katorżniczej tułaczki, jaką wspaniałomyślnie zgotowali nam J.W. Dżugaszwili i oddany mu bezgranicznie oprawca L. P. Beria.

Ukochany rodzinny Bielsk powitał nas prawdziwie syberyjską zamiecią i piekącym mrozem. O tej porze na ulicach nie było żywej duszy. Szliśmy pod wiatr pochyleni do przodu, osłaniając uszy i twarz. I oto po sześciu latach beznadziejnej tułaczki stanęliśmy przed własnym domem. Serca były niespokojnie ze wzruszenia i lęku przed nieznanym. Co dalej? Przecież nikt nas tu nie oczekuje.

Z umieszczonych na frontowej ścianie domu szyldów wynikało, że mieści się tu powiatowy ośrodek zdrowia i kancelaria szpitala powiatowego w Bielsku Podlaskim. Nie wiedzieliśmy natomiast, że poza wymienionymi instytucjami mieszka tu z rodziną intendent szpitala – pan Lubański i rodzina Czerwieńskich.

Lokatorzy, choć zaskoczeni, przyjęli nas przyjaźnie. Miejscowy Oddział Polskiego Czerwonego Krzyża zapewnił bezpłatne wyżywienie. Później otrzymaliśmy pomoc żywnościową ze szpitala, który znajdował się po przeciwnej stronie ulicy. Nie wszystko jednak układało się po naszej myśli. Pomimo wysiłków z naszej strony nie było szansy na dogadanie się z miejskimi władzami kwaterunkowymi. Pustym słowem i wyrazem współczucia towarzyszyła bezgraniczna impotencja. Po trzech dniach starań i koczowania w kuchni zdecydowaliśmy się sami sięgnąć po swoje. Po godzinach pracy zajęliśmy gabinet lekarski ośrodka zdrowia, przenosząc meble i wyposażenie do drugiego pokoju. W taki sposób przemocą zdobyliśmy dla siebie kąt we własnym domu.

Miałem za sobą sześć lat tułaczki i udręki, w tym cztery lata ciężkiej pracy. Przez ten czas ani jednego dnia nie byłem w szkole. Byłem prawie wtórnym analfabetą. Trzeba było wszystko zaczynać od początku. Nie było to proste.

Nie doszło również do spotkania wszystkich członków ocalałej rodziny. Po powrocie z niewoli niemieckiej ojca w listopadzie 1946 roku zmarła matula. Miała zaledwie 46 lat. Jej pragnieniem od dnia deportacji do Kazachstanu był powrót do kraju i złożenie kości w ojczyściej ziemi. Stało się to nieoczekiwane, gdy powstały warunki normalnego życia we własnym domu.

Zamiast Epilogu

Wszystkie przedstawione w wspomnieniach fakty i zdarzenia są prawdziwe. Okres czteroletniej pracy w Kazachstanie i na Ukrainie znajduje potwierdzenie w lakonicznych zaświadczeniach, które przedstawiam w wersji polskiej, sformułowanej przez tłumacza przysięgłego Michała Bocianowskiego.

1. *Zaświadczenie uzyskane za pośrednictwem Wydziału Konsularnego Ambasady ZSRR w PRL przy piśmie Nr 277 z 12.04.1982 r.*

Zaświadczenie archiwum

W dokumentacji Archiwum Państwowego są dane o przyjęciu do pracy w 1942 roku obywatela Dawidziuka Sławomira s. Michała w charakterze robotnika, cieśli i brygadzysty 3-go Odcinka Budowy Linii Kolejowej Akmolińsk-Kartały i zwolnieniu go w 1944 roku. Pieczęć okrągła Państwowego Archiwum Celinogradzkiego Okręgu. Dyrektor Państwowego Archiwum Celinogradzkiego Okręgu. N.I. Bajczikow. 17.02.82. Nr 3-10-D-4.

2. *Urzędowe potwierdzenie okresu zatrudnienia w latach 1944-1946 wydane w związku z repatriacją do Polski.*

Zaświadczenie

Zarząd Iwańkowskich Kolei Dojazdowych zaświadcza, że Dawidziuk Sławomir s. Michała pracował na kolei

dojazdowej od 25 listopada 1944 roku jako strażnik ochrony przeciwpożarowej, pomocnik maszynisty a w ostatnim okresie jako ładowacz. Z powierzonych obowiązków wywiązywał się sumiennie. Zwolniony w związku z reewakuacją - wyjazdem do kraju. Pieczęć okrągła z napisem: NAPP Gławsachar. Uprawlenije Iwańkowskich Odjezdnych Putiej. Naczelnik Zarządu Iwańkowskich Kolei Dojazdowych Dawydow, Sekretarz - Solanina. 28 stycznia 1946 roku. Nr G-15-47.

* * *

Siewiernyj Kazachstan
Pietropawłowskaja Oblaść
BIEJNIETKOR

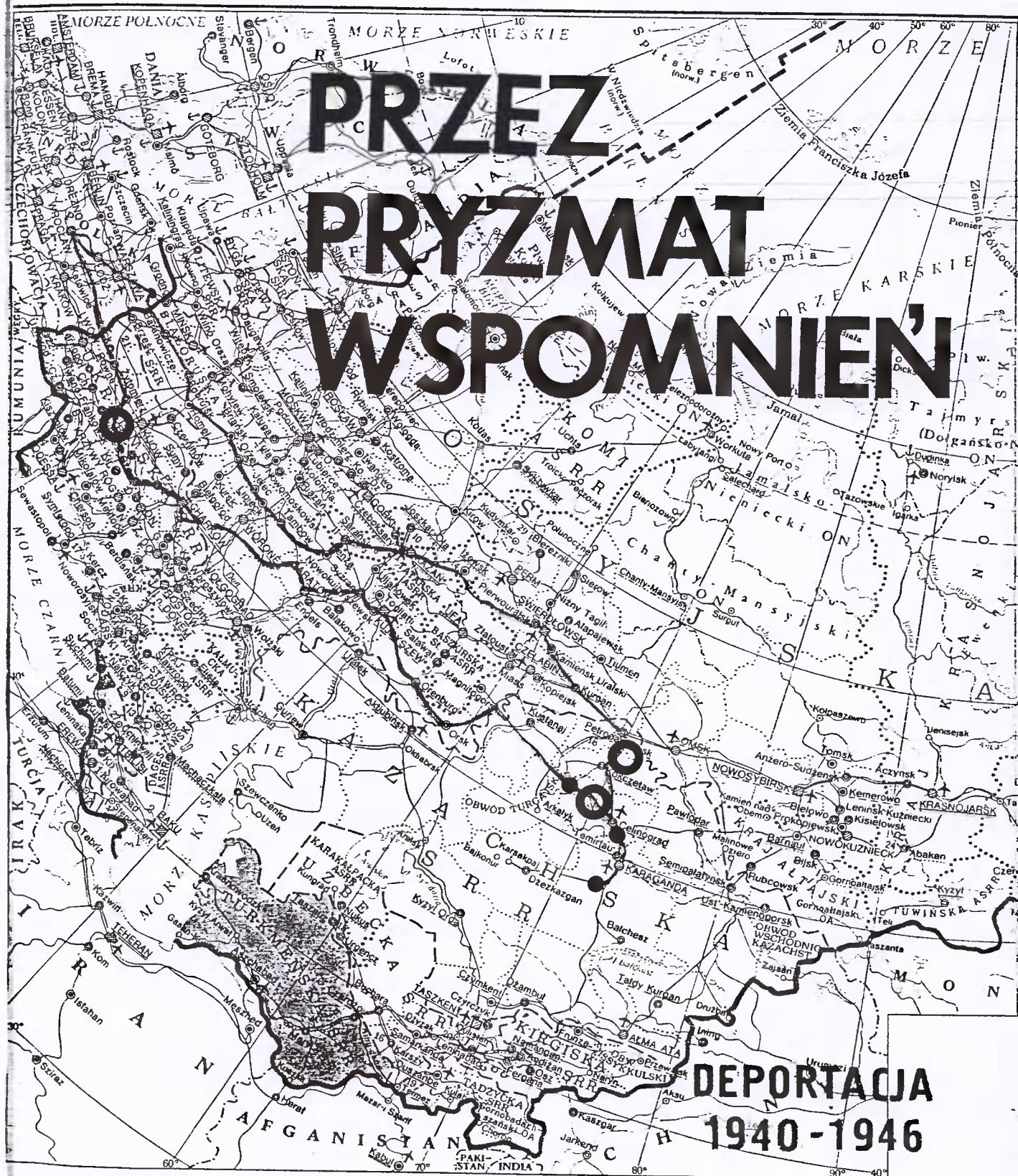
W załączeniu przesyłam dwa zdjęcia dla Krysi, ażeby wiedziała, w jakim pałacu mieszkał jej mąż. Obrazki te wykonane zostały akwarelą na zwykłym brystolu przez Alinę Maliszewską w 1940 r., z których wykonano fotokopie.

Pierwsza na planie lepianka to nasza, w której mieszkało 13 osób: moja rodzina Guzowskich – 5 osób, Ciotka Augustyniakowa z dziećmi – 3 osoby, Dziadkowie – dwie i Dawidziukowie – trzy. Ciemna część lepianki to budynek gospodarczy, a jasna stanowi część mieszkalną ze wszystkimi wygodami. W głębi równolegle do naszej to lepianka, w której mieszkały: P. Tworkowska z córkami, Łodzia Narbutowa z synami i siostrą Adama Dąbrowskiego (nie pamiętam Jej nazwiska po mężu). W lewym dolnym rogu wjeżdża do posesji swoim „Mercedesem” pogromca prezydenta. Tak wyglądało budownictwo, po kilka lepianek na stepie, po 20 i więcej kilometrów od siebie. Wnętrze chaty kazachskiej wiernie przedstawia drugie zdjęcie.

Spis treści

Zamiast prologu	2
Tragiczny wrzesień.....	3
Feralna trzynastka	4
W nieznane.....	5
Nowy Byt.....	6
Biejnietkor	8
Wyjemka.....	10
Żałtyr	11
Początki samodzielnej pracy.....	12
Kolargol.....	15
Makabryczna wiosna	15
Brygadzysta	18
Dezercja	20
Zakazane podróże.....	21
Nocny koncert w Karadyrze	22
Na rozjeździe.....	23
Iwańki	26
Wyższa szkoła charakteru i deprawacji.....	26
Chrzest bojowy w C_2H_5OH	28
Wspominki.....	30
Metamorfoza	31
Ostatni etap tułaczki	32
Zamiast epilogu.....	33

PRZEZ PRYZMAT WSPOMNIEN'



**DEPORTACJA
1940-1946**

3 000 000 mieszk.
 1 000 000-3 000 000
 500 000-1 000 000
 250 000-500 000
 100 000-250 000
 50 000-100 000
 25 000-50 000
 poniżej 25 000

Podkreślono
 — stolicy państw
 — stolicy republik związkowych
 — stolicy republik autonomicznych i krajów
 — stolicy obwodów
 — stolicy obwodów autonomicznych
 — stolicy okręgów narodowościowych

— granice państw
 — granice strefy arktycznej
 — granice republik związkowych
 granice republik autonomicznych i krajów
 granice obwodów
 granice obwodów autonomicznych
 granice okręgów narodowościowych

— koleje
 — drogi
 ↓ główne porty
 + główne lotniska
 ● - miejsca pracy
 ○ - miejsca pobytu

SŁAWOMIR DAWIDZIUŁ

PRZEZ PRYZMAT WSPOMNIEŃ

DEPORTACJA, 1940-1946

Białystok, styczeń 1991 r.

Z A M I A S T P R O L O G U

"Szlali na Wilno bili silno,
Szlali na Grodno i na Lwow.
W pomocz drugu wyszli k Bugu,
Cztob z ziemli zniesti panow'.

Frontowyje stichi, 1939
Szowa do melodii Dn. Pokrassa
"Moskwa majskaja"

Tragiczny wrzesień

19 marca 1939 roku znobilizowano ojca. Był nauczycielem i oficerem rezerwy. Mieszkaliśmy w Bielsku Podlaskim. Ojciec codziennie dojeżdżał do szkoły w Orzechowiczach. Pozostaliśmy sami: matka, starszy brat Mirek i ja.

W sierpniu nieoczekiwana radość z okazji przyjazdu ojca na urlop. Obchodził właśnie 39-te urodziny. Jako człowiek życzliwy nie mógł odmówić zaprzyjaźnionej rodzinie Ciepluchów trzymania do chrztu ich pierwszego syna. Niestety, radość prysła z chwilą doręczenia depechy z rozkazem natychmiastowego powrotu do miejsca postoju na pruskiej granicy. Nie było szansy na powrót do domu. Mirek, którego ojciec posłał do bufetu po papierosy spotkał się z nim dopiero po dwudziestu latach. Pomimo powszechnej euforii, żaśmy "silni, zwarci i gotowi" odjazd ojca pierwszym, przygodnym pociągami przywoływał myśli raczej ponure.

Nie trzeba było długo czekać. O świcie pierwszego września bombardowanie stacji i pierwsze ofiary. W rejonie dworca kolejowego w drodze do szkoły ginie mój rówieśnik, syn nauczyciela Kani. Przez kilkanaście dni ilekroć syreny obwieszczały zagrożenie alarm lotniczy pędziliśmy co sił do schronu ziemnego u Buszków. Było ciasno ale razem zawsze raźniej. Niebawem wkroczyli Niemcy. W naszym domu zakwaterowano grupę zmotoryzowanej piechoty. Motocykle terkotały bez przerwy w dzień i w nocy. Nocne wypadki patroli i głośne rozmowy wartowników pod oknami były prawdziwym koszmarem. Siedzieliśmy w jednym pokoju wzajemnie dodając sobie odwagi. Nie wiadomo, co tym bandytom może wpaść do głowy. O ojcu nie wiedzieliśmy nic.

Dopiero później dotarły do nas wiadomości, że ojciec cofając się z frontem z granicy pruskiej do Modlina walczył w obronie Warszawy i w wyniku kapitulacji dostał się do niewoli. W każdym razie świadomi bestialskich mordów na Polakach przez cały czas drżeliśmy ze strachu. Tymczasem Niemcy przynosili spore ilości jajek i w sposób bezdyskusyjny kazali je gotować. Byli zadowoleni i dumni ze swego zwycięstwa. W chwilach wolnych opowiadali zapewne sprośne kawały, bo często cała zgraja wybuchała spontanicznym śmiechem przy akompaniamencie bezceremonialnych, głośnych pierdów.

Trzeciego, czy też czwartego dnia postoju w nocy ruch wokół domu był szczególny. Wyczuwało się ogólne podniecenie. Padały głośne komendy a nieustanny warkot silników stwarzał atmosferę autentycznej grozy. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje i czy jesteśmy bezpieczni. Miłek po roku nauki niemieckiego w gimnazjum wyłapywał pojedyncze słowa, ale trudno było skonstatować o co właściwie chodzi?

Poranne słońce wyjaśniło wszystko. Po Niemcach ani śladu. W zajmowanych przez nich pokojach pod śłoną, na której spali sporo pustych butelek, na podwórzu obrabowane ule. Zostały jedynie puste ranki. Do dzisiaj nie mogę sobie tego uzmysłwić jak to zrobili podczas nocy i bez jakiegokolwiek zabezpieczenia?

Tego dnia przed południem dostaliśmy wiadomość, że do Białska wkraczają Sowieci. Wątpliwości rozwiązały się niebawem, gdy u zbiegu szosy białostockiej z ulicą Żwirki i Wigury zobaczyłem przygotowaną powitalną bramę i zbiegowisko gapiów. Wkrótce nadjechał pierwszy czołg z emblematem czerwonej gwiazdy. Nie było żadnej wątpliwości. Tak, to byli Rosjanie. Skąd się jednak tu wzięli i jak do tego doszło? Pytanie to na razie pozostało bez

odpowiedzi. Tymczasem jeden z czołgistów wysiadł z pojazdu, wyciągnął z kieszeni woreczek z machorką i zawinął w gazetowy papier skłeta zachęcając przyjaznym gestem stojących opodał aby zechcieli się poczęstować.

Nagły, potężny wybuch w południowej części miasta zaskoczył wszystkich. Dało się zauważyć, że było to zaskoczenie również dla patrolu. Wyjaśniło się później, że to odstępujący Niemcy wysadzili w powietrze zgromadzone przy rampie kolejowej ich własne, zniszczone przez grupę polskich żołnierzy czołgi w rejonie żydowskiego cmentarza przy brańskiej szosie.

Niebawem nadjechały dalsze czołgi, które witano przyjaźnie i z ufnością. Zagadka wyjaśniła się dopiero później. Niemcy odchodzili a Rosjanie wkraczali na mocy podpisanego układu Mołotow-Ribbentrop z 23 sierpnia i tajnego protokołu z 19 września 1939 roku. Jako filatelista amator z okolicznościowej serii znaczków dowiedziałem się, że natąpiło "oswobodzenie brackich narodów Zapadnoj Ukrainy i Biełorusi". A zatem zostaliśmy wyzwoleni?

Niestety, czas robił swoje. Życie stopniowo powracało do normy ale już na nowych sowieckich prawach. Jak wiadomo w okresie rozbioru Polski część wschodnia województwa białostockiego wchodziła w skład terytorium byłego Cesarstwa Rosyjskiego, gdzie w stosunkach cywilno-prawnych, dotyczących własności obowiązywał X tom swodu praw tegoż cesarstwa. Stąd zapewne pomysł "wyzwolenia" i usprawiedliwienie bezprawnej agresji.

Wkroczeniu wojsk sowieckich towarzyszyła szeroko rozwinięta propaganda. W piątej klasie dziesięciolatki, do której trafiłem w wyniku reformy systemu oświaty spotkałem się broszurą formatu B-5 w ciemnoczerwonej oprawie pt. Frontowyje stichi, gdzie możn

było znaleźć odpowiedź na nurtujące wątpliwości:

" w pomocz drugu wyszli k Bugu,
czto zmiesti z ziemi panow".

Refren piosenki zapewniał ponadto i to jednoznacznie, że "pan-
skiej Polssy nietu bolsze i nie budiet nikagda".

Wprowadzanym reformom towarzyszyła całkowita dezorganizacja
rynku. Był ten oficjalny, ubogi bez soli, cukru i nafty i niele-
galny o paskarskich cenach. Środki higieny osobistej pochodziły
przeważnie z przemytu, głównie z okupowanej Warszawy. Właśnie ty-
kaną, przez Bug dostaliśmy wiadomość o ojcu.

W nowej sytuacji ekonomicznej powstał realny problem dalsze-
go egzystencji naszej rodziny. Bieżące należności za dom i wykończo-
ny od frontu ganek matka zapłacała Żydowi z ostatniej gaży ojca.
Na dom oszczędzało się przez całe lata. Miałem rodzicom za złe,
że inne dzieci mają lepiej i pieniądze na drobne wydatki. My ży-
liśmy po prostu bardzo oszczędnie. Tereź nie było żadnej szansy.
Matka podjęła więc pracę jako nauczycielka języka rosyjskiego
w młodszych klasach dziesięciolatki. Innych możliwości nie było.
Matka rosyjski znała wspaniale, gdyż ukończyła pensję w Piotko-
wie Trybunalskim z rosyjskim językiem nauczania. Zanim zamieszka-
liśmy w Bielsku matka była nauczycielką i w zawodzie tym posiad-
ła niezbędną praktykę. Nigdy nie zrywała kontaktu z rosyjskim.
Widziałem jak po wkroczeniu Sowieców czytała nocami skrycie kil-
kutomowe dzieło "Ot bielewo orka do krasnoj znamieni". Mówiła, że
jest to książka zakazana i nie należy nikomu o tym mówić.

W domu z konieczności nastąpiły rewolucyjne zmiany. Spadły
na nas dodatkowe obowiązki. Po zajęciach w szkole spotykaliśmy
się w domu głodni i rozdrażnieni. Coraz trudniej udawało się wia-
zać koniec z końcem. W szkole nowym nauczycielom płacono niewyb-

redne figle. Systematycznie z szaf bibliotecznych wykradaliśmy polskie książki. Krążyły pogłoski, że zostaną zniszczone. Ja do domu tych książek nie przynosiłem. Bałem się matki. Mimo to coraz częściej popadałem w kolizję z domowym regulaminem i prawem. O niektórych sprawkach z tego okresu matka nie dowiedziała się nigdy. To prosta nie było ku temu okazji.

Feralna trzynastka

Tej kaszmarnej nocy z 12-go na 13-go kwietnia 1940 roku zdarzyło się wiele. Po wypadzie bez pozwolenia matki do kina na niedozwolony, a zarazem fascynujący małolatów film pt. "Cyrk" oberwałem jak należy za samowolę i łamanie reguł domowego porządku. Zmaltratowany awanturą i rygorystycznie wykonaną karą leżałem na otomanie w butach i ubraniu. Nie było mi jednak sądzone tej nocy zasnąć. Rozgoryczenie i żal, poczucie niesprawiedliwości i krzywdy stanowiły tło do głębokich wewnętrznych refleksji. Przecież wiedziałem dobrze, że matka niczego nie przepuści. Mawiała zwykle "lepsze bite niż zdechłe" i w przypływie nerwów nie zawsze zastanawiała się, gdzie i czym uderzyć. Obok autentycznego żalu i pretensji na przemian trawiłem w sobie poczucie winy.

Nagle usłyszałem przeraźliwie głośne łomotanie do drzwi wejściowych od podwórka.

Otwierać! NKWD!

Zamieniałem się w słuch oczekując, co dalej?

Nie słyszałem wszystkiego. Od kuchni, gdzie rozgrywał się tragiczny dramat oddzielał mnie jeszcze jeden pokój.

Nerwowe lecz zdecydowane słowa matki "stralajcie, ja nikuda nie pojedę" napawały grozą. Zrozumiałem, że sprawa jest bardzo po-

ważna, a mimo to na przekór wszystkiemu w głębi serca odczuwałem swoistą ulgę. Przecież rano nie muszę iść do szkoły ani usprawiedliwiać nocnej eskapady do kina na film przeznaczony tylko dla dorosłych.

Z poczuciem winy, zmaltretowany wszedłem do kuchni, gdzie rozgrywała się ponura scena przemocy uzbrojonych, pozornie wyrozumiałych emisariuszy bolszewickiej władzy, którym przypadło w udziale oznajmienie o deportacji całej rodziny w głąb terytorium ZSRR i wykonać tą potworną decyzję na bezbronnej, chorej na serce (angina pectoris) kobiecie z dwojgiem nieletnich dzieci.

Matka w hysterii całkowicie straciła głowę. W przebłyskach świadomości, kierując się życiowym doświadczeniem oraz instynktem samoobrony wydawała nam różne dyspozycje. Między innymi aby zabrać prymus i denaturat, na co natychmiast zareagował starszy rangą "etowo nie! zja". Gdy Miżek wyciągnął rower znówu padło stanowcze stwierdzenie "etowo nie nada, u nas wielospiędow mnogo!"

Na podwórku oczekiwała furmanka, na którą ładowaliśmy nasze rzeczy. Autentycznie życzliwy furman widząc, co się dzieje dopinguował nas "nie patrzcie na matkę, bierzcie wszystko, co się da: pościel, ocieź i wszystko, co przedstawia jakąkolwiek wartość". W atmosferze autentycznej awantury, kontynuowanej przez zirytowaną matkę ładowaliśmy na wóz, co wpadło pod rękę, w tym wysunięty spod łóżka pleciony kosz na bieliznę, w którym znajdowała się Encyklopedia Powszechna Ulthima-Thule, ozdobnie oprawiona ze złotą ornamentacją. Wiedza o Polsce oraz Polska w krajobrazie i zabytkach, Nowe lecznictwo przyrodnicze i zozrywana później przez wszystkich powieść Hrabia de Monte Christo.

Trudno było przewidzieć, zresztą w tym czasie nikt się nad tym nie zastanawiał ile problemów, kłopotów i zawiści sprawi nam, a w rezultacie mnie osobiście ten "skarb". Pod hasłem LENIN w VI tomie encyklopedii na str. 410-413 zawarto informacje, za posiadanie których można było dostać dożywocie, nie mówiąc o ich rozpowszechnianiu. Aż wierzyć się nie chce, że ten kilkupudowy "majątek" zabezpieczony później w drewnianym kufrze taskałem na własnych plecach przy okazji ciągłych przeprowadzek podczas całej wędrówki aby ostatecznie w stanie nienaruszonym przywieźć z powrotem do Polski.

W deportacji uczestniczył również jako świadek nasz niedaleki sąsiad Józef Buszko, któremu - jak się później okazało - powierzoną pieczę, w istocie zaś likwidację pozostawionego mienia.

Byliśmy w zasadzie już gotowi do wyjazdu i oczekiwaliśmy z Mirkiem przy naszych rzeczach na podwórku, podczas gdy matka kategorycznie odmawiała wyjścia z domu i nie miała najmniejszego zamiaru ruszyć się z miejsca. Paląc papierosy jeden za drugim histerycznie skłórczyła na Stalina, na całą sowiecką władzę i jej barbarzyńską przemoc.

Switało. Po matkę sprowadzono auto. Poinformowano, że nie jesteśmy sami. Po drodze o kilka domów dalej przymusowy postój u sąsiadów. Z domu tego wywieziono już rodzinę Kontrymów. Teraz "nasi" oprawcy zabierali się za Majewskich. Widocznie obawiano się zbyt wielkiej awantury przy deportacji dwóch rodzin z jednego domu jednocześnie. Czekaliśmy więc w salonie, patrząc bezradnie na tragedię kolejnej rodziny. Niebawem nastąpił przełom w stanie napięcia nerwowego matki i pewne odprężenie. W poczuciu

kompletnej bezsilności matka cicho płakała. Było mi bardzo smutno.

Gdy przyjechaliśmy na rampę załadowniczą było już zupełnie widno. Matkę przywieziono samochodem, ja przyjechałem furmanką, a Mirek szedł za furmanką nieco z tyłu. Gdy chciałem wejść wprost na rampę na skróty zostałem ostro skarcony przez wojskowego aby się tu nie pętał. W tym momencie właściwie mógł sobie odejść bez żadnych problemów ale w tym stanie roztrzęsienia nerwowego matki zapewne nie brałem pod uwagę takiej ewentualności i pozostałem z nami.

Do wagonu załadowano kilkanaście rodzin wypełniając go ponad miarę bagażem i ludźmi. Wagonów było sporo. Skompletowany na trasie transport liczył kilkadziesiąt wagonów. Nie byliśmy więc sami. Zapadły rygle. Odtąd otwierano je tylko przy okazji zaopatrzenia w żywność, głównie zaś w kapiatok.

Dzięki przezorności matki, która szanowała każdy skrawek chleba i doświadczyła podczas I wojny światowej, co znaczy głód zabraliśmy ze sobą cały worek sucharów. Bezcenną wartość tego mieliśmy okazję weryfikować przez całą drogę, pokonując dystans ponad sześćdziesiąt tysięcy kilometrów na wschód i tylko siedem godzin różnicy w czasie.

W nieznane

Transport ruszył w kierunku Baranowicz. W wagonie większość stanowiły kobiety, kilku starszych mężczyzn, trochę młodzieży i w różnym wieku dzieciarnia.

Milek, jak zwykle ciekawy i czujny był do dyspozycji w każdej chwili, gdy trzeba było iść po zaopatrzenie, na które najczęściej składał się chleb, kipyatki i czasami zupa. Po dwie osoby z każdego wagonu zbierano w grupy i eskortowano do punktu zaopatrzenia "pod sztykom", jak groźnych przestępców. Niestety, okazji takich w okresie początkowym podróży nie było zbyt wiele. Przydziały żywności co prawda pozwalały przeżyć, były jednak stanowczo za nędzne aby utrzymać odpowiednią kondycję.

Byliśmy całkowicie zdezorientowani co do kierunku jazdy, jak i miejsca przeznaczenia transportu. Zaryglowane od zewnątrz drzwi wagonu i zasady otworów okiennych uniemożliwiały obserwację trasy. Przez niewielkie szpary w drzwiach i ścianach nie można było odczytać mijanych miejscowości i nazw stacji, a jeżeli się nawet to udało, nazwy te niewiele wyjaśniały. Jedynie postój na większych, bardziej znanych z podręczników geografii lub wydarzeń historycznych stacjach umożliwiały identyfikację, gdzie jesteśmy. Mińsk, Homel, Orzeł....., a więc chyba w kierunku Moskwy?

W wielu przypadkach domysły okazywały się cyrklem chybionem. Oto po całonocnej jeździe okazuje się, że ponownie jesteśmy na stacji Orzeł. Widać decyzje podejmowane doraźnie i korygowano je w zależności od sytuacji.

Dorośli prowadzili nieustanne dyskusje i namiętnie spekulowali usiłując rozszyfrować okrutny los i odgadnąć przeznaczenie.

Po upływie około dwóch tygodni łaskawie odblokowano zaryglowane okna. Powstała zatem szansa na kontakty słowne i wizualne z przypadkowo "spotykanymi" w czasie postoju tubylcami. Pomimo umieszczonych wysoko pod dachem okien, a właściwie niewielkich otworów okiennych podejmowano próby nawiązywania kontaktów i zdobycia chociażby szczątkowych informacji. Nie było to łatwe, gdyż tego rodzaju transporty ustawiano zazwyczaj na uboczu pomiędzy składami towarowymi. Zdarzało się, że spotykały się obok siebie dwa transporty deportowanych Polaków z różnych stron. Wojskowa eskorta transportu z reguły zabraniała jednak bezpośrednich kontaktów ludności cywilnej z deportowanymi, grożąc niekiedy użyciem broni. Często więc padały ostre słowa: ty kuda? Stoj - strelat' budu! Taka perswazja zazwyczaj była skuteczna. Przypadkowy przechodzień natychmiast zawracał z obranej drogi.

Sytuacja uległa pewnej poprawie dopiero, gdy znaleźliśmy się na terytorium republiki tatarskiej. Tu w czasie postoju eszalonu dochodziło do bezpośrednich rozmów z tubylcami a nawet i do transakcji handlowych. Przede wszystkim kupowano mleko i chleb za pieniądze lub na zasadzie wymiany. Po skórkim smaku mleka wnet zorientowano się, że nie jest to mleko krowie. Przewrażliwionym paniom w większości stawało ono ością w gardle ale dzieciaki nie wybrzydzały i piły raczej chętnie.

Wolgą przekroczyliśmy w malowniczej i pięknie wkomponowanej w niecodzienny krajobraz miejskowości Kazan. Wolga jest tu bardzo szeroka. Most kolejowy był zdecydowanie dłuższy od naszego eszalonu, dając skalą porównawczą wielkości rzeki. Z Kazani: kierunek wprost na Świerdłowsk i dalej na wschód.

Osobiście w dalszym ciągu nie zdawałem sobie w pełni sprawy z powagi sytuacji i nie stawiałem sobie pytania, co dalej ?

Wlokący się beznadziejnie czas w większości spędzaliśmy beztrosko przebywając na środkowej pryczy poza zasięgiem wzroku dorosłych. Opowiadaliśmy sobie najprzeróżniejsze, prawdziwe lub zmyślane zdarzenia, anegdoty, bajki i brednie. Uczestniczyliśmy również w zbiorowych modłach i śpiewaniu pobożnych pieśni.

W dzień z pozycji leżącej lub kucnej przy oknie na górnej pryczy można było oglądać trasę przejazdu i przyległe do niej obszary. Wielkim przeżyciem było przekroczenie Uralu. Wręcz z zapartym tchem obserwowaliśmy napawające grozą przełęcz, nieprawdopodobnie ukształtowane skalne urwiska i krawędzie przepaści, na których z wielkim trudem pociąg pokonywał ekstremalne wzniesienia przy "zaprzegu" trzech ciężkich parowozów. Taką operację pokonywania szczególnie trudnych odcinków górskich kolejarze określali jako jazdę "dwojnoj tiagoj z tożkaczom". Zadaniem dwóch lokomotyw z przodu było forsowanie wzniesienia, w istocie zaś pokonywanie siły bezwładności masy pociągu, natomiast doczepionej z tyłu jego ubezpieczanie na wypadek rozerwania pociągu oraz wspomaganie dwóch pozostałych lokomotyw w razie potrzeby. Tu na ostrych łukach widać było jak na dłoni cały, bardzo długi skład pociągu.

Widoki miejscami były wspaniałe. Nigdy w życiu nie byłem w górach. Nie miałem absolutnie pojęcia o tym, że niekończący się korowód wyrastających spoza siebie w przezroczyście-błękitnej, bezkresnej otchłani nieba nieprawdopodobnie ukształtowanych a zarazem zdeformowanych coraz to wyższych skał może tak zauroczyć. Byłem oczarowany urodą zarówno tych nagich, jak i tych

wysoko w górze pokrytych śniegiem, zaskaniających widok nieba skał. Chwilami przychodziło mi na myśl, że może warto tu było trafić chociażby po to, aby zobaczyć to wspaniałe dzieło natury.

Jakże byłem jeszcze dziecinny i niefrasobliwy wobec otaczających realiów i zgotowanego nam przez "wyzwolicielei" losu. Realioów tych w ogóle nie potrafiłem zrozumieć, losu zaś ani wyobrazić ani przewidzieć,

Przynęły długie dni podróży a rytm bytowania i wegetacji w bydlęcym, byle jak przystosowanym dla ludzi wagonie poza incydentalnymi kłótniami i sprzeczkami o kawałek chleba, kubek gorącej wody, pilne zwolnienie klozetowej dziury w podłodze, o dziecipowtarzał się cyklicznie. Rano śpiewano "Kiedy ranne wstają zorze", wieczorem "Wszystkie nasze dzienne sprawy", w ciągu dnia najczęściej "Serdeczna Matko" i "Boże coś Polską". Śpiewano również inne pieśni, odmawiano wspólnie modlitwy i różaniec.

Za Uralem jeszcze bardziej złagodzone stosowane dotychczas ograniczenia, środki ostrożności i rygory. Zmniejszono ilość konwojentów, zezwolono na jazdę przy częściowo uchylonych drzwiach na szerokość skrajnego występu rygla. W czasie dłuższego postoju można było palić ogniska i gotować strawę na zewnątrz wagonu. W miarę oddalania się od domu i Polski najwyraźniej stawaliśmy się bardziej nieszkodliwi. Tu byle o widok transportu nie sprawiali wrażenia zaskoczonych. Byli raczej obojętni.

W Pietropawłowsku - stolicy siewierokazachstańskiej obłasti- na pytanie dokąd nas wiozą jeden z kolejarzy odpowiedział, to już niedaleko. Powiedział prawdę. Pięćdziesiąt kilometrów dalej, to w stosunku do przebytej drogi rzeczywiście blisko, a zarazem jakże daleko.....

Nowy byt

Na stacji docelowej Smirnowskij panował niesamowity rozgardiasz, któremu towarzyszyła dezorientacja, przerażenie i rozpacz. Opuszczając wagony niektórzy dopiero teraz spotykali swoich krewnych, rozpoznawali znajomych i bliskich towarzyszy niedoli.

Nazwa stacji kolejowej Smirnowskij nie dawała pełnej odpowiedzi na nurtujące wszystkich od dawna pytanie, gdzie jesteście w jakie trafiliście środowisko i co dalej? Wiedzieliśmy już, że dzieli nas godzina jazdy pociągiem od Pietropawłowska - siedziby władz administracyjnych siewierokazachstańskiej obłasti w Kazachskiej Socjalistycznej Republice Radzieckiej. Tu rozpoczyna się drugi etap realizacji zbrodniczej decyzji o deportacji bezbronnych i niewinnych ludzi.

Przy ustawionych na dworze stołach w asyście funkcjonariuszy NKWD urzędowali miejscowi władcy dokonując pseudodemokratycznego rozrządu tłumom, dając możliwość wyboru przyszłego miejsca pobytu. Związani wspólną niedolą i przebytą drogą tułacze, jakby skazani na siebie wyrokiem przeznaczenia trzymali się jednak razem. Wybór mógł następować tylko w ciemno. Nazwy miejscowości w istocie nic nie mówiły. Zdenerwowani i zdeorientowani ludzie przyjmowali więc propozycje tubylczych władców bez zastrzeżeń. Matula odrzucała wszystkie nazwy obcojęzyczne typu Arkałyk, Bejnietkor, Urnek itp., podejrzewając słusznie, że są to osiedla rdzennych tubylców-Kazachów.

Wybór padł na wieś Borki-kołchoz "Nowyj byt", odległy około trzydziestu kilometrów od miejsca rozładunku transportu. Do miej-

sca przeznaczenia zostaliśmy przewiezieni otwartymi samochodami ciężarowymi typu ZIS gaz-generator, napędzanymi gazem uzyskiwanym w procesie bestlenowego spalania drewna. Tu na miejscu ulokowano nas z tobozami na placu przed siedzibą zarządu kołchozu, gdzie byliśmy przedmiotem dyskretnych i bezczelnych obserwacji, zaciekawienia, podziwu oraz drwin lokalnej inteligencji i pólstwa. Między innymi można było usłyszeć uwagi typu: "smotry, smotry, przyjechali polskie pany....."

Wypowiedzi te rozumiałem wprost. Przecież w świadomości tych ludzi-podobnie, jak to robiono z nami w diesietiletce-nie od dzisiaj kształtowano wypaczony obraz Polski i Polaków. Trudno się było zresztą temu dziwić skoro w refrenie hymnu samouwielbienia "szli na Wilno, bili silno..." bisowano prproczko zko-wieszczce słowa "panskoj Polssy nietu bolsze i nie budiet nikag-da...". Wszak były to słowa skławiące sukcesy "bohaterskiej" Czerwonej Armii i wydarzenia zaledwie sprzed kilku miesięcy. Zapewne nie zapomniano tu jeszcze innej melodii i słów rewolucyjnej pieśni z drugiej dekady naszego stulecia "pomniat polskie pany, pomniat pay i otomany bojewoj wosiemnadcatyj god".

Tak. To właśnie tu przyjdzie nam teraz wegetować, tu spełniać los administracyjne zesłanych na katorżniczą pracę i poniewierkę oraz ponure postannictwo na tej nieludzkiej ziemi. Tu trzeba będzie rozpoczynać wszystko od nowa.

W tym wielkim nieszczęściu autentycznym szczęściem było, że trafiliśmy do ruskiego kołchozu, gdzie można się było porozumieć a ludzie wbrew oczekiwaniom byli w miarę życzliwi. Dobór gospodarzy, u których mieliśmy zamieszkać był raczej przypadkowy. Tra-

Prześliśmy do rodziny Makarenków zamieszkałej w zwykłej drewnianej chałupie przy ulicy Oziernaja Nr 2. Gospodarze ulokowali nas w izbie, z której korzystali dotychczas raczej od święta, gdzie dwa drewniane łóżka z siennikami w porównaniu z wagonowymi pryczami stwarzały wręcz komfortowe warunki wypoczynku i do tego bania, prawdziwa ruska bania, z której skorzystaliśmy chętnie zaraz po przybyciu na miejsce. Gospodarze w zasadzie spali w kuchni na piecu, czasami w pokoju na leżance-przypiecku. Było to urządzenie służące do ogrzewania chałupy, przystosowane do spalania kamyszu lub pichunu. Po drugiej stronie chałupy duży pokój po same okna był zakładowany ziarnem przenicy, stanowiącej ekwiwalent za kilka lat pracy w kołchozie. Na pierwszy rzut oka nie było więc najgorzej.

Ta malowniczo położona miejscowość Borki otoczona z trzech stron jak okiem sięgnąć gołym stepem przylegała do sporego, słodkowodnego jeziora, co nadawało jej szczególny urok. Nieco dalej znajdowały się jeszcze dwa jeziora słone. Każdego tygodnia przyjeżdżali tu na polowania rutynowani myśliwi z Pietropkowaka. Ich łupem padały głównie dzikie gęsi, kaczki i inne ptactwo. Było tu tego zatręśnienie. Zdarzało się, że po całodziennym polowaniu z łodzi ładowano kilka trzytonowych ciężarówek dorodnej dziczyzny. Po każdym takim polowaniu i wyjeździe myśliwych ryzykując nie tylko kąpiel całą grupą podrostków plądrowaliśmy trzęsawiska i zawieszane na wodzie wieloletnie warstwy rozkładającego się kamyszu, odnajdując niekiedy świeżo postrzelone sztuki.

Na luksus co prawda ograniczonej swobody dysponowania czasem z całej rodziny mogłem sobie pozwolić w Borkach tylko ja-młokos. Pozostali musieli pracować. Często przypominano nam tu o ustroju

wej wręcz zasadzie stalinowskiego kultu pracy "kto nie rabotajet tot nie jest". Matula chodziła więc do roboty w gospodarstwie kołchozowym przy produkcji zwierzęcej, Miłek zaś, jak przystało na mężczyznę - chociaż czternastolatek, - od pierwszych dni trafił na posiewnuju, co oznaczało ciężką pracę w systemie dwuzmianowym przy orce i siewach w charakterze prycepszczyka. Kampania siewna z konieczności trwa tu krótko, należy bowiem w możliwie najkrótszym czasie wykorzystać zasoby wiosennej wilgoci w glebie bezpośrednio po roztopach. Orki i siewy wykonywano więc dniami i nocą. Najwięcej zmartwienia i niepokoju ze względu na brak doświadczenia, przemęczenie a zatem możliwość wypadku i kaleczenia sprawiała praca Miłka na nocnej zmianie. Tak ciężkiej pracy młodocianych i dzieci nie akceptowała żadna matka, a cóż dopiero w nocy. Stąd też liczne skargi oraz interwencje kierowane na piśmie wprost do Stalina i Berii. Pisanie dla matuli nie sprawiało najmniejszych trudności. Rosyjski znała perfect. Pisząc systematycznie skargi matula naiwnie wierzyła, że ten cały haniebny akt bezprawia i deportacji Polaków a obecnie przymusu pracy nawet dzieci jest dziełem kacyków niższej rangi bez udziału i wiedzy Stalina. Dwa razy w tygodniu chodziłem na pocztę do odległego o trzy kolometry sielsowietu aby osobiście nadać kolejną korespondencję kierowaną na ręce Josifa Wissarionowicza Stalina na adres: Moskwa-Kreml. Odpowiedzi oczywiście nigdy nie było, jednakże w związku z tym podobno ktoś przyjeżdżał z Pietropawłowska.

Mnie też przypadło w udziale pracować, chociaż nie była to praca zarobkowa ani zawodowa. Gospodarz i gospodyni we dwoje cho-

dzili codziennie do pracy, ja zaś musiałem niańczyć ich małe dzieci: Kole w wieku zaledwie ponad dwa lata i jego 6-8 miesięczną siostrzyczkę. Nie miałem najmniejszego pojęcia jak się to robi ale do końca życia nie zapomnę, że ta mała w zawieszanej pod belką kołysce ponad wszystko wolała gryźć kalosza, który stanowił swego rodzaju panaceum na wszelkie objawy manifestowanego niezadowolenia. Ona po prostu robiła to z uwielbieniem.

Zdarzało się niekiedy, że spędzając beztrąsko czas na zabawie lub przy dzieciach nie przygotowałem w porę posiłku dla powracających z pracy. Kiedyś dostałem za to ostrą reprimendę od braciśzka, który wrócił z nocnej zmiany. Nie wytrzymałem tego i wylałem mu na głowę rondel przygotowanej do odgrzania kawy. Tak się złożyło, że od wczesnego dzieciństwa pozostawaliśmy na stopie wojennej w stanie pozorowanego zawieszenia broni.

Tu w Borkach, w kołchozie "Nowyj byt" nie było najgorzej. Z kołchozu matula przynosiła codziennie mleko i pod dostatkiem było chleba. Początkowo trudno było się przyzwyczaić do gorzkiego smaku wspaniale wyrośniętego, pszennego chleba a to z racji wszechobecnego piołunu, który w realnie panującym tu w tym czasie systemie gospodarki odłogowej wyrastał natychmiast po zasiewie i zbiorze przenicy. Obok kamyszu i kiziaka w zimie piołun stanowił tu pełnowartościowy opał.

Stosunki z gospodarzami nie tylko z konieczności układały się poprawnie. Jedyne incydent, jaki powstał z powodu kradzieży złotej obrączki i pierścionka przez niezamężną, młodszą siostrę gospodyni, która przysłała pobawić dziecko stosunki te nieco pogorszyły. Pod groźbą zgłoszenia kradzieży do NKWD w sytuacji, gdy poza sprawczynią nikogo obcego w domu nie było a skradzione przed

miotły leżały w pokoju na stoliku dziewczyna się załamała, oddała obie błyskotki i ze łzami w oczach błagała o przebaczenie.

Do starych tradycji rosyjskich, kultywowanych przez gospodarzy, podobnie jak kiedyś przez zesłańców Polaków należała tu kąpiel w ruskiej bani. W każdą sobotę z całą ceremonią organizowano w prymitywnie zbudowanej półziemiance saunę i pławienie się w niesamowicie gorącej, zapierającej dech parze, podtrzymywanej przez polewanie rozpalonych kamieni wodą aż do granic ludzkiej wytrzymałości. Przekonałem się później na własnej skórze, iż w takiej łaźni parowej człowiek całkowicie zatracą poczucie ciepła i zimna. W zimie dość nagminnie praktykuje się tu bez względu na temperaturę syberyjski zwyczaj wybiegania z bani na golasa wprost na mróz i tarzania się w zaspach sniegu. Nie sprawia to żadnego wrażenia, jedynie poczucie ciągłości przebywania w potwornie wysokiej temperaturze parowej łaźni. Poza tam wienik.... Ten prymitywny, a zarazem wspaniały atrybut w postaci prymitywnej miotły, zrobionej z gałązek młodej liściastej brzozy to w parowej łaźni prawdziwa rozkosz. Po łaźni tradycyjnie organizowano gorącą herbatę lub ziołowy napar i do tego kielich okowity, którego z woli matki nie dostawałem.

Tu w Borkach poznałem natomiast prawdziwy smak bólu zębów. Dentysty na miejscu nie było. Trzeba było więc chodzić do Bej-nietkora-siedziby-rejonu, gdzie w charakterze dentysty przyjmował potomek zesłańca-autentyczny Turek. Te samotne spacery po pustym stepie na odległość czternastu kilometrów w jedną stronę nie należały do przyjemności. Czasami ktoś podwiózł. Była to jednak konieczna, chociaż bezowocna próba ratowania atakowanych

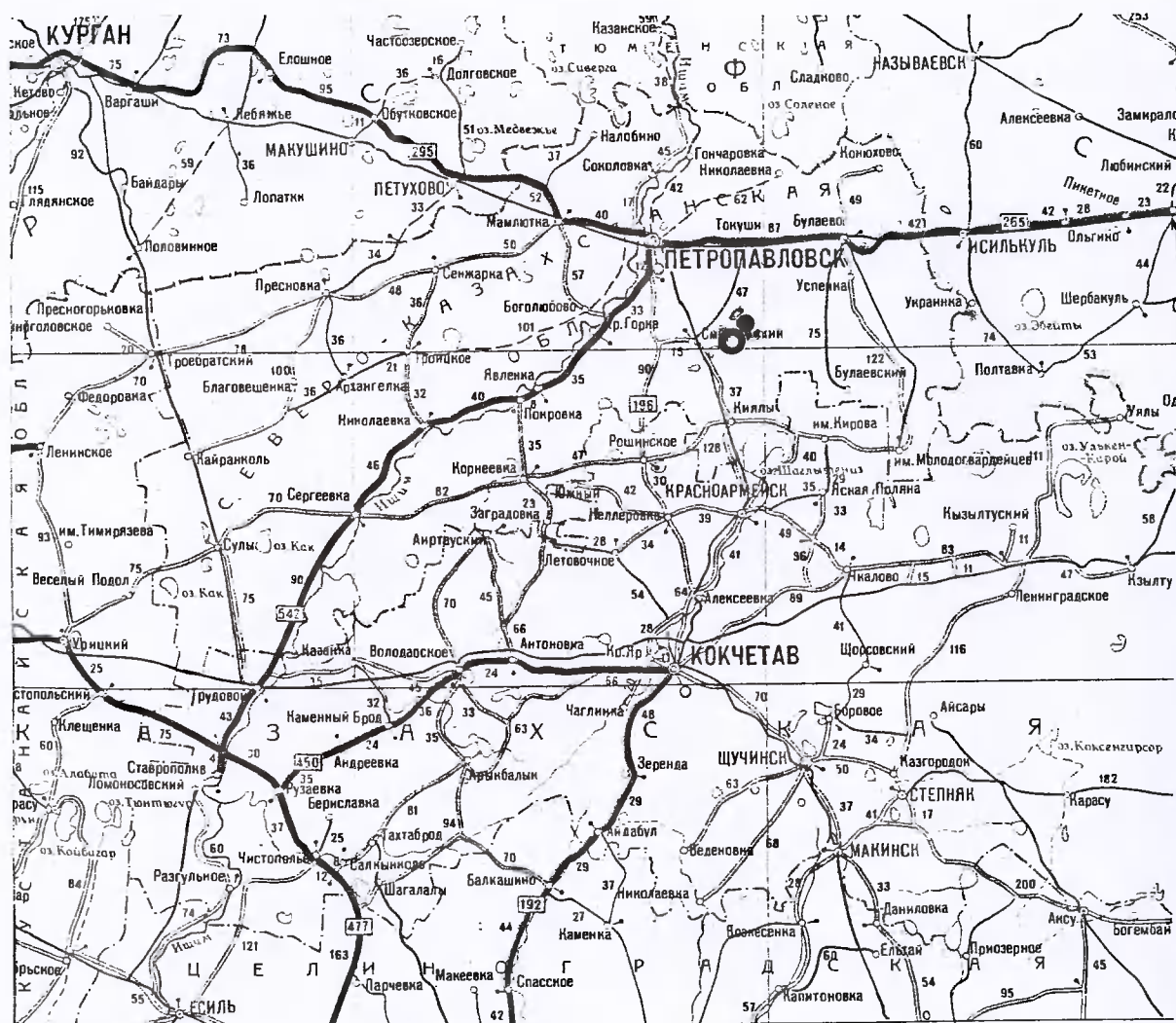
przez próchnicę przednich siekaczy. Bezowocna, bo po drugotrwałym leczeniu i założeniu plomb w drodze powrotnej "wylizałem" je, powracając do domu ponownie z dziurami w zębach.

Wszyscy wywiezieni Polacy trzymali się razem i utrzymywali se sobą stałe kontakty. Odwiedzali się nieraz nawet w odległych miejscowościach odnajdując się wzajemnie między innymi w drodze korespondencji z Polską, bowiem po "rozśrodkowaniu" na stacji wyładowczej nie zawsze było wiadomo kto, gdzie trafił.

W niektórych miejscowościach, a szczególnie w kazachskich aulach było znacznie gorzej.

Jesienią 1940 roku rozeszła się wiadomość o likwidacji rejonu w Biejniotkorze i przeniesieniu go do miejscowości i stacji kolejowej Smirnowskij. Namietnie dyskutowano więc o ewentualnej możliwości wykorzystania przez Polaków zwalnianych ziemlanek. Sublokatorskie warunki wegetacji w Borkach nie były zachęcające na dłuższą perspektywę. Poza tym bliżej kolei, to bliżej świata! Zdawało się, że jest to niepowtarzalna okazja usamodzielnienia się i skupienia stosunkowo licznej grupy Polaków w siedzibie byłego rejonu, jakaś nadzieja na przyszłość i wiara w lepsze jutro. Ocena ewentualnych skutków takiej decyzji była jednak bardzo trudna, podobnie, jak trudno było przewidzieć dalsze losy tych, którzy postanowili pozostać, jak i tych, którzy na własne ryzyko podjęli próbę zmiany przeznaczonego im miejsca pobytu na zesłaniu. Nie wiedziałem i do dzisiaj nie wiem, kto był inicjatorem zbiorowej decyzji o przeprowadzce. Problemem tym przez dłuższy czas żyli wszyscy. Ostateczne decyzje w rodzinach podejmowane indywidualnie i na własne ryzyko, biorąc swój los we własne ręce.

Adresu docelowego miejsca przemieszczenia na zesłaniu nie zapomnę chyba do końca życia: Kazachskaja SRR, siewierokazachstanskaja obłast', smirnowskij rejon, iwankowskij sielsowiet, sieło Borki, kołchoz Nowyj Byt, ul. Oziernaja 2.



• - kołchoz Nowyj Byt
○ - Biejnietchok

Nie trafiliśmy tu jako pierwsi. Oznaczone na mapie miejscowości Ukraina-od Ukrainy, Poktawka-od Poktawy i inne stanowią niezbicie o rodowodzie ich mieszkańców.

Biejnietkor

Przeprowadzka stała się faktem. Cały dobytek przewieźliśmy na wypożyczonej od gospodarza tieleźce. Rejonowa śmietanka i urzędnicy pozbywali się swoich prymitywnych ziemlańek za bezcen. Jako ekwiwalent w naturze przyjmowano chętnie pluszowe kapy, atłasowe tkaniny i odzież, kilimy, dywany, herbatę, tytoń itp. Pieniądze stanowiły jedynie uzupełniający element rozliczeniowy w transakcjach, które przeprowadzano wyłącznie "na gębę".

Wraz z czteroosobową rodziną nauczycielską Bielskich staliśmy się współwłaścicielami ziemlańki z sarajem obejmującej de facto jedną izbę, przedzieloną w części glinianą ścianą z przypieckiem i kuchnią ze ślepym blatem. W pierwszej części pomieszczenia z glinianym klepiskiem zamiast podłogi mieliśmy wspólną kuchnię, natomiast w rzekomym pokoju na podwyższeniu około dwadzieści centymetrów nad ziemią była drewniana podłoga z niemalowanymi desek. Jedyne umeblowanie stanowiły dwie zbite z desek pryzmy, na których koncentrowało się życie obu naszych rodzin.

Stosunkowo duże skupienie Polaków w Biejnietkorze sprzyjało rozwojowi życia towarzyskiego i wzajemnych kontaktów. Powstała jednak zgoła nieoczekiwanie wręcz tragiczna sytuacja egzystencjonalna i zrodziły się nowe problemy bytowe. W opustoszałym aule nie było Rosjan. Stosunkowo ^{grupa} nieliczna ~~Kazachów~~, którzy nie byli związani z funkcjonowaniem przeniesionego rejonu praktycznie pozostawali bez kontaktu ze względu na bariery językowe. W okolicy nie uprawiano żadnych jarzyn, nie wypiekano normalnego chleba, nie było mleka. Krowy wykorzystywano tu jako siłę pociągową, podczas gdy kobyły pieczołowicie pielęgnowano wyłącznie dla kumysu.

Ci, do niedawna koczujący po stepie tubylcy żyli własnym, prymitywnym życiem odżywiając się jak przystało na włóczęgów, głównie wypiekanyimi w czugunnych pozbawionych rękojeści tyglach (patelniach) zastępującymi chleb korzami, biszbarmakiem, kurtem gotowaną baraniną, wołowiną, koniną i kumysem. Spośród używanych napojów najwyżej ceniono herbatę.

Tu w Biejnietkorze nikt z miejscowych ani oficjalnych czynników nie troszczył się o pracę i byt tej, bezmała polskiej sadyby. Ci, co mieli trochę smykałki podejmowali chałupniczą działalność usługową w różnych branżach, podejmując się czynności, których nigdy przedtem nie wykonywali. Kobiety i dziewczęta najczęściej działały na drutach i szydełkowały. Pomagano sobie nawzajem w opanowywaniu tych umiejętności. Między innymi przedzono watę używając do tego celu prymitywnych, ręcznych wrzecion.

Najwięcej niepokoju sprawiała myśl o zbliżającej się syberyjskiej zimie, która w nieznanych warunkach klimatycznych zapowiadała się szczególnie tajemniczo i groźnie. W wyludnionym aule pozostało niewiele bydła. Nie było zatem źródła podstawowego opału, jakim na stepie jest wyschnięte, bydłace karno-kiziak. Nie było tu również płożunu, który po zbiorach ogarniał bujnie pozostawione ugory ani obficie porastającego w Borkach kamyszu. O zdobyciu drewna opałowego w ogóle nie było mowy. Mimo to groźmadzono na zimę wszystko, co się tylko dało. Sytuacja stawała się coraz bardziej nerwowa. Żywność z trudem udawało się zdobywać w odległych, zamieszkałych przez Rosjan kołchozach jedynie w handlu wymiennym za dobra materialne, których nikomu nie zbysywało. Perspektywa egzystencji bez pracy, bez zarobków i bez zaopatrzenia w żywność była koszmarna.

Na skutki własnych decyzji nie trzeba było długo czekać. Z nadejściem zimy i nastaniem pierwszych mrozów okazało się, że w naszej chałupie temperatura utrzymuje się poniżej zera. Woda i artykuły żywnościowe zamarzają. Z trudem zdobyte w odległym kołchozie, zmarznęte na kość kartofle trzeba obierać w rękawicach. W nocy temperatura spadała znacznie. Spaliśmy wszyscy troje razem pod jedną pierzyną - przysłowiową deską ratunku - i grubym kilimem, który spełniał tu zgoła odmienną funkcję niż w kraju. Każdego ranka zarówno kilim, pierzyna, jak i brwi były mocno oblodzone. Dla ogrzania tej potwornie przewiewnej chałupo-ziemlanki potrzebne były ogromne ilości opału, którego nie było. Do tego, prymitywnie zbudowany z gliny piec nie posiadał szyby. Przykrywanie komina z zewnątrz na dachu nie odnosiło żadnego, odczuwalnego skutku. W pierwszej kolejności poszła więc faszyna z saraju. Odsłonięcie wejścia do chałupy sytuację pogorszyło jeszcze bardziej. Życie stało się prawdziwym koszmarem.

Głód dokuczał coraz bardziej. Zbiorowe wędrówki Polaków z saneczkami do odległych kołchozów po żywność stały się zarówno niebezpieczne ze względu na burze śnieżne i niesamowite mrozy, jak i mało skuteczne ze względu na ograniczone zasoby materialne.

Dotychczas układowe współżycie dwóch, w zasadzie przypadkowo połączonych jedynie wspólnym dachem rodzin zaczęło napotykać na obiektywne trudności. Nie było co gotować ale i nie było na czym gotować. W takiej oto, wręcz tragicznej sytuacji jako jedyne słusze rozwiązanie przyjęto zgodnie przeprowadzkę do domów innych polskich rodzin i przeznaczenie na opał uzyskanego z rozbórki domu drewna. Nie było tego wiele, ale w tej sytuacji zawaze coś: belka stropowa, krokwie, legary, podłoga, faszyna itp.

Korzystając z altruistycznej życzliwości i zgody zamieszka-
liśmy wspólnie z siedmioosobową rodziną Guzowskich i Stalew-
skich. Zbudowana z darniny chałupa, w której mieszkali miała
dwie spore izby, kuchnię, sień i stosunkowo duży saraż. Była
lepiej zabezpieczona przed zimą i zdecydowanie cieplejsza. Od
strony nawietrznej opodal rosła opora kępa brzozowych drzew, co
w znacznym stopniu chroniło chałupę przed naporem wiatru i da-
wało możliwość nielegalnego pozyskiwania opału. Tu przyszło nam
wspólnie walczyć o przetrwanie surowej zimy.

Z czasem brzozowy lasek został całkowicie zasypany śniegiem
po same wierzchołki drzew. Wspólnie z Reńkiem zbudowaliśmy w nim
system tuneli, wywożąc saneczkami na zewnątrz olbrzymie ilości
śniegu. Była to poniekąd wspaniała zimowa zabawa w labirynt,
który między innymi zapewniał dostęp do dolnych gałęzi zasypa-
nych brzoź.

Dla zabezpieczenia chałupy przed zawiewaniem zbudowaliśmy
wokół wysoki, ażurowy śnieżny parkan, w wyniku czego przestrzeń
między parkanem i chałupą była wylatana przez wiatr do samej
ziemi. Gdyby nie głodowa egzystencja i towarzyszące jej niespo-
dzianki zimę w Biełżniotkorze można by przyjąć jako nieoczekiwa-
ne romantyczne przeżycie. Dla mnie jedną z takich niespodzianek
był "ponos" - biegunka. Ta niesamowicie dokuczliwa i doszczętnie
wyniszczająca organizm choroba była moją osobistą klęską. Jedy-
nym lekarstwem jakie przyjmowałem przez ponad trzy tygodnie był
wywar z piołunu, który jednocześnie stanowił moje główne pożywie-
nie. Byłem chudy jak szczapa. Pamiętam sytuacje zarówno w dzień,
jak i w nocy, kiedy brakło ułamka sekundy aby zdążyć "na dwór"
i to, jakże przykre tego skutki.

Przeżywałem to bardzo, bo wstyd mi było przed Janką i Zulą. Fajtkapa i tyle.....

W czasie, gdy uporeczywie mordowała mnie choroba domownicy wspólnie całym kahałem oszczędnie dzielili ograniczone do wymuszonego minimum racje niby chleba, pieczonego z mieszaniny otrąb, maki i plewy. Był to niesamowicie upstrzony żdźbłami owsianej plewy konglomerat czarnego zakałca ale ja łaknąłem go ponad wszystko. Byłem autentycznie opętany pożądaniem, zazdrośny i gotowy naruszyć bezwzględny zakaz. Z drugiej strony zdawałem sobie sprawę z tego, że matula życzy mi dobrze i bardziej świadomie niż ja z determinacją wylczy o moje życie. Jak zwykle i tym razem miała rację. Kiedy wszystko wskazywało na to, że jest już lepiej dostałem wreszcie mały skrawek upragnionego chleba i natychmiast wszystko zaczęło się od początku. Na szczęście nie było problemu ze zdobyciem piekuna. Dzisiaj ilekroć mam w ręku kielich aromatycznego wermutu staje mi w oczach obraz tamtych dni koszmarnych i czuję smak goryczy zielska, które jak sądzę uratowało mi życie.

Tą zimę, pierwszą syberyjską zimę w Biejnietkorze udało się nam przeżyć zapewne dzięki pomocy rodziny i przyjaciół z Polski. Niestety, wbrew oczekiwaniom starszy brat ojca Aleksander, który po pierwszej wojnie światowej pozostał na stałe w Rosji i mieszkał w Borysoglebsku z wielkim żalem odmówił interwencji w naszej sprawie i pomocy, prosząc szczerze aby mu to wybaczyć ze względu na bezpieczeństwo jego rodziny i nieuniknione represje. Według relacji ojca brat Aleksander (Olutek) zawsze był bardzo życzliwym i dobrym człowiekiem. Dużo pomagał braciom Michałowi (mojemu ojcu) i Konstantemu w latach 1917-1918, gdy pobierali

nauki w seminarium nauczycielskim w Smoleńsku. Po otrzymaniu odpowiedzi matula więcej tam nie pisała.

Na nasze szczęście otrzymaliśmy pomoc bezpośrednią z Polski. Ryzykując wiele stryj Konstanty zamieszkały w Narojkach nadał przesyłkę kolejową, która zawierała stosunkowo duże ilości tytoniu, papierosów, herbaty, maki, kaszy, grochu, fasoli, skony oraz inne drobiazgi. Było to potężne wsparcie. Herbata, papierosy i tytoń spełniały tu rolę twardej waluty, za którą można było zdobyć inne poszukiwane produkty lub przedmioty. Paczka ważyła prawie czterdzieści kilogramów. Trzeba było iść po nią do stacji Smirnowskij. Po rozbiciu akryzji zawartość podzieliłiśmy z Miżkiem po połowie przewieszając "słodki" ciężar przez ramię równomiernie na przód i tył. Cieszyliśmy się bardzo, jednakże po kilku przebytych kilometrach ciężar tak mocno przysgniał, że trzeba było co jakiś czas odpoczywać. Ale to nie miało żadnego znaczenia. Ważniejsza była szansa na przeżycie. Paczkę żywnościową od koleżanek i kolegów z gimnazjum otrzymał również Miżek. Były to wspaniałe dowody pamięci i bezinteresownej pomocy.

Każda eskapada po żywność, a także kilkunastokilometrowy spacer po odbiór przesyłki na stacji kolejowej Smirnowskij w czasie zimy zawsze stwarzały realne niebezpieczeństwo, a w razie nagłej zmiany pogody lub spotkania z watachą wilków nawet zagrożenie dla życia. Według oficjalnego komunikatu podczas buriana - trwającej przez pięć dni burzy śnieżnej - w smirnowskim rejonie zginęło bądź zmarzło 117 osób. Zdarzyło się również, że zaskoczono w drodze powrotnej ze stacji Smirnowskij siostry Radwańskie, które wiozły saneczkami paczkę odnaleziono

w stanie skrajnego wyczerpania zaledwie dwieście metrów od domu. Tykko szczęśliwy przypadek zdecydował, że zostali uratowani.

Sytuacja materialna zdanych na własne siły Polaków w Biejnietkorze była katastrofalna. Nie wszystkim jednak było jednakowo źle. Byli i tacy, którzy mogli sobie pozwolić nawet na kupno wieprzowiny. W przeddzień Bożego Narodzenia u zamieszkałych w sąsiedztwie rodzin pies przybłąda porwał i pożarł zawieszoną na belce w saraju wędzoną szynkę. Również nasza rodzina była stale pod prężeniem opinii zawistnych Polaków, uchodząc za sknerów skrupulatnie ukrywających swoje bogactwo. Mówiono szadrośnie, Dawidziukowa to dopiero ma ... Chodziło głównie o zamknięty na kłódkę wiklinowy kosz do bielizny, w którym oczekiwały na lepsze czasy - tu bezwartościowe i wręcz niebezpieczne - cenne dzieła polskiej literatury.

W Biejnietkorze nadal nie było pracy ani zarobków. Nie było również możliwości uczęszczania do szkoły ze względu na kazachski język nauczania.

Matula z właściwą sobie konsekwencją nadal pisała do Stalina ośmieszające memoriami, oskarżając Berię i NKWD o popełnienie na Polakach zbrodni z żądaniem zbadania na miejscu nieludzkich warunków egzystencji, humanitarnego rozwiązania problemu i umożliwienie powrotu do domu. Przed wysłaniem listy te czytała na głos w gronie przyjaciół oczekując niejako społecznej aprobaty. Przypuszczam, że następstwem między innymi tych interwencji był przyjazd wysłannika z Pietropawłowska oraz propozycja zmiany miejsca pobytu i zatrudnienia przy budowie Stalino-Magnitogorskiej Magistrali tj. odcinka linii kolejowej Akmolińsk-Kartały, łączącej Karagandzińskie zagłębie węglowe z Magnitogorskiem.

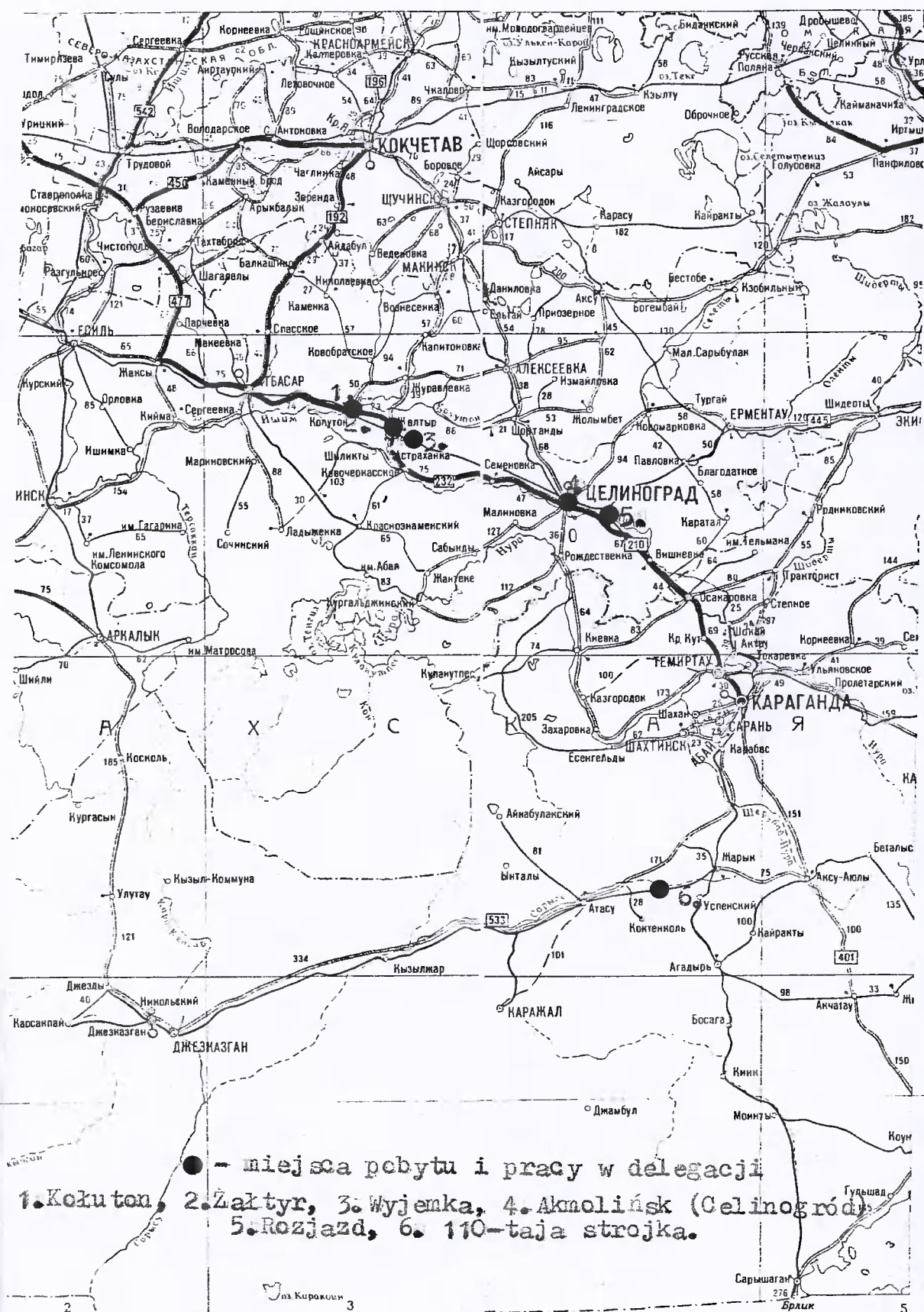
W tym czasie nikt nawet nie przypuszczał, że niebawem nastąpi zbrojna napaść hitlerowskich Niemiec na Rosję.

Wyjemka

Po koszarnej zimie nadeszła wspaniała wiosna a wraz z nią nadzieja i perspektywa lepszej sytuacji na przyszłość. To przykre, ale jechaliśmy dalej na południowy wschód. Podróż w otwartych wagonach, regularne przydziały chleba i suchy prowiant napawały optymizmem. Ustępowało widmo głodu. Uważano, że kolej, to kontakt z cywilizowanym światem i być może jakaś szansa. Nieoczekiwane zaskoczenie i rozczarowanie sprawił przyjazd na miejsce przeznaczenia. Rozkładunek transportu nastąpił w błyskawicznym tempie przy zastosowaniu przez miejscowych organizatorów wszelkich możliwych środków dopingu. Należało natychmiast zwolnić zablokowany tor na trasie Akmolińsk-Kartały.

Wylądowaliśmy na bogato urzeźbionym wzniesieniu nazywanym potocznie Wyjemką. Wyjemka to kilkukilometrowy wykop kolejowy w skalistym gruncie i zapewne stąd ta nazwa. Oczekiwały nas tutaj wyposażone w żelazne łóżka, duże namioty. W każdym namiocie ulokowano po kilka rodzin, zależnie od ilości osób w rodzinie.

Na Wyjemce centralnym i najważniejszym obiektem była wieża ciśnienia (wodokaczka), która jak się później okazało była jedynym w promieniu ponad stu kilometrów ujęciem słodkiej wody dla potrzeb kolejowej trakcji parowej. Zatrzymywały się tutaj wszystkie pociągi. Poza tym był tu drewniany, prowizoryczny barak, w którym mieściła się całkiem znośna stołówka, kancelaria oraz w pewnym odstępie zбитy z desek, podwójny szalet i otaczająca



wokół pustka - kamienne pustkowie i step.

Tu mieliśmy teraz żyć i pracować. W drewnianym baraku obok stołówki zorganizowano w ciągu kilku dni lokalny, przeznaczony wyłącznie dla pracowników sklepik, w którym można było bez ograniczeń kupować groch, soczewicę, kaszę jaglaną, ryż i cukier a czasami nawet dostarczany w beczkach kawior. Okazjonalnie sprzedawano również wspaniałe, osiagające wagę nawet do trzydziestu kilogramów arbuzy.

Pomimo trudnych warunków bytowania w namiotach w stosunku do Biełnietkoru był tu prawdziwy raj. W dni upalne dzieciaki polewały namioty wodą łagodząc chwilowo trudny do zniesienia zaduch. Pierwsze wrażenia były jednak pozytywne.

Niestety, jak się okazało czekała tu wszystkich katorżnicza praca fizyczna. Do pracy chodzili wszyscy, dorośli i młodzież. Decydowały przede wszystkim względy ekonomiczne. Trzeba było zdobywać pieniądze na zakupy towarów spożywczych, na korzystanie ze stołówki i kupno dostarczanych okresowo wyrobów tekstylnych. Niebawem nastąpił całkowity krach. Od lipca, bezpośrednio po hitlerowskiej agresji na Rosję sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. Wprowadzono kartki na chleb, tłuszcz, mąkę i kaszę. Dzienna racja chleba (pajok) w początkowym okresie wojny wynosiła osiemset gramów na pracującego i czterysta dla osób na utrzymaniu. Stało się to w niespełna dwa miesiące od naszego przyjazdu na Wyjmkę. Bez kartek nie było nic.

Praca stała się dla wszystkich podstawą bytu. Mężczyźni tyrali przy kopaniu, częste zaś wykuvaniu w skalistym gruncie rowów odwadniających po obu stronach wykopu. Kobiety kopały głębokie poniżej poziomu zamarzania kanały przeznaczone do założenia

nia wodociągu z Wyjemki do odległej o osiem kilometrów stacji kolejowej Żańtyr. Kopano również głębokie otwory przeznaczone do budowy zapór przeciwnieźnych. Dołów takich trzeba było wykopać tysiące, gdyż w odstępach zaledwie siedmiu metrów ustawiano słupy oporowe jak słupy telefoniczne, które "ryglowano" dwoma skośnymi podporami. Na jeden słup przypadało więc trzy doły. Prace te wykonywano przy pomocy specjalnie hartowanych, stalowych łomów, kilofów i łopat. Kilofy i łomy były konieczne ze względu na charakter i strukturę geologiczną utworów skalnych o skośnie lub pionowo zalegających na całej głębokości płytach grubości do dziesięciu centymetrów. Czasami można było również trafić na litą skałę.

Praca była bardzo ciężka a normyienne wysokie. Matkom z reguły pomagały dzieci, wydobywając z większych głębokości rozdrobniony łomem urobek. Robikiem to również ja, zważywszy na stan zdrowia matuli i całkowitą niezdolność do fizycznej pracy.

Misek wraz z mężczyznami tyrał przy kopaniu rowów odwadniających, których głębokość nie rzadko przekraczała dwa metry. Uwzględniając skarpy, urobek trzeba było odrzucać co najmniej na odległość trzech metrów. Nie przychodziło to wcale łatwo. Misek ukończył zaledwie piętnaście lat. Nic dziwnego, że kilkakrotnie trafiał do szpitala w Żańtyrze, gdzie przy okazji można było trochę odpocząć i trochę się odżywić. Podejrzewam, że to właśnie tu, na Wyjemce Misek postanowił szukać innego rozwiązania na przyszłość niż bezwolne wykonywanie katorżniczej pracy. Na Wyjemce i nie tylko tutaj zdarzały się różnego rodzaju incydenty w kontaktach z personelem nadzoru, w tym również scenki humorystyczne na tle językowym. Oto pewnego razu stromastier pochy-

lając się nad zgiętą w dół kobietą, niefortunnie zapytał, "a ty czewo tam zastriała (ugrzęzła)?"

W odpowiedzi usłyszał po polsku, "ty byś się też tu zesrał". Podobne scenki zdarzały się dość często.

Było bardzo ciężko ale życie toczyło się dalej. W pobliżu namiotów, jak grzyby po deszczu wyrastały z płyt skalnych polowe kuchnie. Lepiono je za pomocą gliny.

Po pracy gotowano na nich posiłki w asyście dziesiątmi, wykorzystując poczynione wcześniej zapasy aprowizacyjne. Osobiście należałem do tych, co budowali wynysłne w kształtach kuchnie i uczyłem się gotować posiłki według wskazań matuli. Nie zapomnę nigdy przygody z grochówką, która pomimo ciągłego dolewania wody i wielokrotnego usuwania nadmiaru grochu była ciągle gęsta. W końcu przywarła do dna i trzeba było ratować rondel. Za sprawą grochówki wiem, co znaczy słowo proporcja.

Moja funkcja kucharza nie trwała długo. Po prostu musiałem zastępować matulę w ciężkiej pracy fizycznej, na co bezpośredni nadzór patrzył przez palce. Jako trzynastolatek z małym sprytem radziłem sobie w pracach ziemnych i przy budowie zapór przeciwnieźnych. Ta ostatnia praca polegała głównie na przybijaniu desek do słupów oporowych od dołu do góry.

Z nastaniem lata pojawiły się jednak nowe problemy. Wysokie temperatury w dzień, chłodne noce i plaga komarów w warunkach obozowej egzystencji ujawniły zgoła inne, nieoczekiwane zagrożenie. W namiotach pojawiła się malaria. Godny współczucia to obraz, gdy w upalne południe trzęsie całym ciałem febra, a widok rozdygotanego w gorączce uzębienia zaprzecza zdrowemu rozsądkowi i logice. Często trzeba było przytrzymywać kółko aby nie "chodziło" po na-

miocie w czasie ataku. Przeszedłem tą chorobę podobnie jak wielu innych Polaków i wiem, jak wyczerpuje, jak osłabia cały organizm. Ten cholerny "patatacz" nie jednemu dał się we znaki ale najtrudniejszy okres choroby trzeba było przetrwać "w domu" - w rozpalonym do granic wytrzymałości namiocie. Chorych na malarię do szpitala nie kierowano. Na szczęście nie brakowało chininy i była szansa na skuteczne leczenie. Malaria była jednak bardzo niebezpieczna dla ludzi starych i schorowanych. Między innymi w czasie pobytu na Wyjemce zmarła lubiana przez wszystkich babcia Majewska. Na tej obcej ziemi każdy przypadek zejścia był smutnym wstrząsem dla całej zgrupowanej na Wyjemce zbiorowości Polaków.

Trwała wojna. Meldunki z frontu przynosiły coraz to groźniejsze wiadomości. Zbliżała się kolejna zima, typowa dla klimatu kontynentalnego, surowa syberyjska zima. Jej "uroki" poznaliśmy w Biegnietkorze. Pytanie, co dalej z nami było pełne niepokoju o byt i troski o przetrwanie. Na froncie giną ludzie. Czy ktoś zatroszczy się o nas? Pozostawienie nas tu w namiotach, to niechybnie tragiczny koniec.

Ż a k t y r

Przed nastaniem zimy przemieszczono nas do położonej w pobliżu Wyjemki stacji kolejowej Żaktyr. Tu zostaliśmy rozlokowani w kolosalnych rozmiarów barako-ziemlankach rozdzielonych ścianami działowymi i dwoma wspólnymi wejściami na trzy odrębne oboszczytka, w których znalazły schronienie dziesiątki rodzin - po kilkanaście w każdym. W pomieszczeniach znajdowały się dwie pokryte ślepymi blatami kuchnie, na których w uzgodnionej kolejności gotowano posiłki od świtu do późnej nocy. Prawie płaski dach z odpowiednio ułożonej na fasadzie i obklepionej gliną darni wsparty był na kilkunastu pionowych, drewnianych słupach, które niejako same przez się dzieliły pomieszczenia na segmenty, czy też sektory.

Byliśmy z matulą szczęśliwi, że udało się nam zdobyć na trzy osoby dwa żelazne łóżka i miejsce w samym rogu przy wewnętrznej ścianie działowej. To było ważne! Nikt tu nie będzie się płatać bez ważnej przyczyny. W takim zbiorowisku to tak, jakby na swoim. Z czasem się jednak okazało, że nie był to problem najważniejszy.

W tym samym czasie zaczęły do nas docierać niesprawdzone wiadomości o tworzeniu przez gen. Sikorskiego polskiego wojska. Młodek po katorżniczej pracy na Wyjemce i kilkakrotnym pobycie w szpitalu w tajemnicy przed matką prowadził na własną rękę rozpamiętanie tego, bardzo interesującego wszystkich tematu. Trudno go było pośądzać o osobiste zainteresowanie wojskiem. Miał dopiero piętnaście lat. A jednak! Zaraz po przeprowadzce do Żaktyru oznajmił matuli, że ma zamiar wstąpić do Armii Andersa i nikt mu w tym nie zdoła przeszkodzić. Woli gdziekolwiek zginąć z honorem

niż zdychać tu pokornie z wyczerpania. Wiadomość ta była tym bardziej bulwersująca, gdyż nikt z przebywających w Żańtyrze Polaków nigdzie się nie wybiera i nic konkretnego na temat naboru do wojska nie wie.

Obaj z Mirkiem nie mieliśmy żadnego dokumentu tożsamości. Byliśmy wpisani do paszportu matki. Mimo to Mirek na własną rękę zdobył dokument zastępczy w postaci zaświadczenia wystawionego w Akmolińsku przez wojewódzką instancję NKWD z Pietropawłowska, potwierdzający tożsamość, datę i miejsce urodzenia. To wystarczyło aby ruszyć w nieznane z nieprzejednaną wolą wstąpienia do tworzącej się Armii Andersa. Wszelkie próby i perswazje matki trafiały w próżnię. Przed wyjazdem Mirek sprzedał swój pamiątkowy, szwajcarski zegarek Omega, który dostał w prezencie od ojca w 1938 roku po zdaniu wstępnego egzaminu do gimnazjum. Był do niego bardzo przywiązany. Zapewne przeżył tą stratę bardzo boleśnie, jednakże wola ucieczki z piekła - tak to określał - i wstąpienia do wojska była silniejsza.

Pożegnanie starszego syna w danej sytuacji było dla matki wielkim ciosem. Przecież nie musiał, był jeszcze dzieckiem..... Tu zapewne miał szansę przetrwania? Nie było innej rady. Pozostaliśmy we dwójkę sami, ciężko chora matka i ja.

Tu, w nowym miejscu pobytu czekały nas bardzo trudne warunki egzystencji, ciężka harówka i wojenny rytm pracy. Zaostrzono dyscyplinę, systematycznie zwiększano wymagania. Rodziki są nowe określenia "woskresnik", czyli praca w niedzielę i nowe hasła "wsio dla fronta, wsio dla pobiedy" itp.

Nadeszła zima a wraz z nią odsnieżanie głównej trasy prze-

lotowej i torowisk stacyjnych, w tam także nocą. Budowano depo, rozbudowywano stację, zaplecze obsługi technicznej oraz zabezpieczenia ruchu i eksploatacji. Realizowano więc rozległy wachlarz robót ziemnych i budowlanych. Surowa zima, wyczerpująca fizyczna praca i terror nie zapowiadały niczego dobrego.

Początki samodzielnej pracy

Po wyjeździe Miłka w sytuacji pogarszającego się z dnia na dzień zdrowia matuli należało rozstrzygnąć kwestię dalszej pracy. W każdej rodzinie musi ktoś pracować. Dalsza pomoc, czy też zastępowanie matuli przy ciężkich pracach ziemnych nie rozwiązywało sprawy i nie mogło wchodzić w rachubę. Trzeba było zdecydować, kto jest pracownikiem, a kto pozostaje na utrzymaniu.

Podjmując oficjalnie pracę jako nieletni zostałem skierowany do pracy w koniuszni, gdzie wykonywane czynności nie były nadbyt ciężkie, a zakres wymaganych umiejętności stosunkowo niewielki. Konie, woły i wielbłądy były wykorzystywane jako siła pociągowa w gospodarstwie pomocniczym strojuczastka, głównie przy lokalnym transporcie materiałów budowlanych.

Po krótkim okresie adaptacji przy obrzędach zwierząt powierzano mi również inne obowiązki, w tym także powożenia zaprzęgiem i wykonywania usług przewozowych. Do koni mnie nie dopuszczano. W pracy bywało różnie. Czasami padałem ofiarą żartów współpracowników starszej generacji (staryków), którzy wykorzystywali moją naiwność i brak elementarnych wiadomości o obchodzeniu się ze zwierzętami. Kiedy posłano mnie aby przyprowadzić z pobliskiego wybiegu wielbłąda nie mogłem sobie poradzić z wykonaniem zada-

nia, bo bydle to, ilekroć się zbliżałem uciekało krusem lub galopem, a gdy usiłowałem podejść wprost z garścią trawy na prątną, ten wyniosły król stepu przeżuwał ze stoickim spokojem pokarm z odległości ponad trzech metrów splunął mi prosto w oczy zieloną miazgą, oślepiając niemal całkowicie. Wesołość prymitywnego otoczenia była powszechna, ja natomiast nie wiedziałem, co począć dalej. Z czasem dowiedziałem się, że wystarczy jedynie z pewnej odległości zarzucić wielbłądowi na szyję lejce lub zwykły sznur aby następnie podejść doń bez trudu.

Z wołami było znacznie gorzej. Woły trzeba było prowadzić na pęstronki albo sterować jazdą za pomocą dyspozycji słownych COB i COB, które nakazywały skręt w prawo lub w lewo. Niedożywione i przemęczone woły - jak sądzę - były zmanierowane i w ogóle nienawidziły pracy, bo nie chciały w jarzmie chodzić, a tym bardziej ciągnąć naładowanego wozu lub sań. Z literatury dziecięcej wiedziałem, że do zwierząt upartych należą osły i barany, woły natomiast, to pracowite i posłuszne zwierzęta.

Niestety, te tutaj w ogóle nie reagowały na moje zawołania i wrzaski, a nawet wymierzane ze złością razy. Gdy zaległy w zaprzęgu nie było sposobu aby je podnieść na nogi. Byłem bezradny, czasami wąż zrozpaczony, a nawet bezgranicznie wściekły. Byłem jednocześnie przedmiotem niewybrednych dowcipów i pośmiewiska. Nie wiedziałem i nawet nie mogłem przypuszczać, że te znaltretowane do ostateczności bydłaki reagowały wyłącznie na odzywkę typu " ... twoju mat' " oraz inne przekleństwa i umiejętnie wykonywane przy pomocy rzemieennego knuta strzały w bezpośrednim sąsiedztwie głowy. A ja bezgraniczny głupiec zamiast sięgnąć do za-

sobu potocznych przekleństw i batoga płakałem ze złości.

Opanowanie tej elementarnej wiedzy z zakresu miejscowego, furmańskiego folkloru w zasadzie nie sprawiało mi specjalnych trudności, jednakże matula z przerażeniem rozpytywała, co jest ze mną, bo po nocach wrzeszczę CeBe-COB i przaklinam jak zwykły furman. Coś w tym powiedzeniu zapewne jest, bo w istocie byłem furmanem. Powożenie wołami nie było łatwe, bo kmiąbrne bydlaki jak na złość zawsze manifestowały swój negatywny stosunek do pracy. Ktoś z miejscowych pewnego razu beztrząsco zażartował sobie ze mnie, gdy żalikiem się na woły pouczając na serio, że nie ma lepszego sposobu aby poderwać je z miejsca, jak założenie pod ogon wiechcia skóry lub papieru i podpalenie. Pewnego razu zrobiłem to w warunkach skrajnej bezradności. Poskutkowało! Woły ruszyły z miejsca na oślep galopen wraz z jarzmem, dyszlem i przednią kolacją. Reszta wozu z ładunkiem pozostała na miejscu. Mogło dojść nawet do tragedii, bo woły popędziły wprost do stajni, ale na szczęście wrota przed nimi zostały zamknięte. Była to z mojej strony ostatnia próba nawiązania porozumienia z powierzoną mi parą wołów i zarazem ostatni dzień pracy w koniuszni. W sumie wyszło mi to na dobre.

Następnego dnia zostałem skierowany do miejscowego elewatora zbożowego, gdzie przechowywano ziarno przenicy z jesiennych zbiorów. Cóż to był za elewator? Mianem elewatora nazywano tu bryki, zimny hangar z glinianym klepiskiem, na którym składowano przenicę w pryzmach kilkumetrowej wysokości. Był z tym poważny problem, bo temperatura przenicy pomimo chłódów szybko rosła, grożąc samozapłonem. Szczytem stosowanej tu techniki przewietrzania ziarna byli uzbrojeni w łopaty ludzie, których

zadaniem było przerzucanie przenicy z jednej przyny na drugą. Zabieg ten aby działać skutecznie wymagał ciągłego powtarzania. Osobiście byłem z tej pracy zadowolony, bo pszenica nie jest tak ciężka, jak ziemia lub żwir i smuflowanie mi odpowiadało. Nie byłem zresztą sam. Pracowali tu również inni Polacy, w tym przede wszystkim kobiety. Przy okazji można było zjeść, jeśli ktoś chciał trochę ziarna, a co najważniejsze trochę wynieść na zewnątrz. Nie było to łatwe, bo przy wyjściu obmacywano każdego od stóp do głowy i sprawdzano kieszenie. Ja za każdym razem wynosiłem trochę ziarna w dolnej części wojskoków. Nie było to proste, bo po przejściu kilkudziesięciu kroków ziarno osuwało się ku dołowi udiskając niesamowicie stopy. Niekiedy ból był trudny do miesienia, jednakże świadomość celu i bezkompromisowa wola walki o przetrwanie robiły swoje.

Z pszenicą miałem do czynienia po raz drugi w dwa lata później, kiedy to zostałem na okres tygodnia skierowany do pomocy przy załadunku wagonów. Przy bocznicy kolejowej na stacji Żal-tyr gromadzono w tym czasie dostarczane samochodami zboże z okolicznych kołchozów i sowchozów, magazynując go wprost pod gołym niebem na rozestłanym brezencie. Na szczęście w czasie uborocznej (zbiorów) nie było opadów i pszenica była sucha. Pracowaliśmy systemem trójkowym. Dwóch przytrzymywało worek, trzeci nasypywał smuflą pszenicę. Temu, który nasypywał podawano na ramię w pozycji stojącej worek. Należało go wnieść po trapie do wagonu - zawieszając otwartej węglarki - i wysypać zawartość przytrzymując ręką róg worka. Zmiana tragarzy następowała cyklicznie w przyjętej kolejności. Jak na moje możliwości i siły praca ta była wyjątkowo ciężka. Gdy pierwszy raz zadano mi worek na ramię, poczu-

zem, jak uginają mi się nogi. Z trudem pokonałem na chwiejącym się trapie ponadmetrową wysokość wagonu. Pierwszy dzień tej morderczej pracy odczułem szczególnie dotkliwie. Po nocy z trudem mogłem poruszać nogami bez jakiegokolwiek obciążenia. Ale to nie był powód do pieszczot. Kolejne dni załadunku z dolegliwości tych wyleczyły całkowicie. Każda trójka ładowała dziennie sześćdziesięciotonowy wagon zboża. Taka była dzienna norma. Dzisiaj z trudem znoszę do piwnicy półmetrowy worek kartofli. To coś wręcz nieprawdopodobnego.....

Czas upływał bardzo wolno. Ja codziennie chodziłem do pracy. Matula z wielką troską i niepokojem za każdym razem oczekiwała na mój powrót. Nie mogła pogodzić się z faktem, że jako dziecko muszę tak ciężko pracować. Oczekiwała również z niepokojem na wiadomości od Miłka.

Pierwsze listy nie wróżyły niczego dobrego. W Taszkencie, gdzie miała tworzyć się Armia Andersa nie wiadano nic. Dla przybywających z różnych stron sojuza ochotników proponowano podejmowanie pracy w miejscowych kołchozach przy zbiorze bawełny. Oferty takiej jednak nie traktowano poważnie. Po długiej przerwie w korespondencji nadszedł wreszcie oczekiwany list polecony z Siemipalatinska. Na odwrocie koperty poczyniony przy swrotnym adresie dopisek "fikoja" wyjaśniał ponad wszelką wątpliwość, że nie jest to miejsce pobytu ~~matuli~~. Z listu wynikało, że Armia Andersa powstaje w europejskiej części Rosji i Miłek zamierza tam jechać. Po liście tym nastąpiła kolejna, druga przerwa w korespondencji. W Żaktyrze krążyły różne plotki na temat armii, ale nikt się do niej nie wybierał.

Miejscowy rajwojenkomat nie potrafił udzielić żadnej, wiążącej wiadomości na ten temat. Matula bardzo przeżywała brak wiadomości od Miłka podejrzewając najgorsze. Milczenie trwało ponad trzy miesiące. Można było przypuszczać, że nasz niedoszły żołnierz zaginął bez wieści.

Nieoczekiwanie nadeszła depesza: "żyw, zdrow, armia Tockoje, Misza". Radość była wielka. Poprawiło się samopoczucie matuli i otaczająca nas atmosfera; jednakże szczęście nie było pełne. Dlaczego depeszę podpisał Misza? Przekonany wewnętrznie usiłowałem matuli wyjaśnić, że jest to zwykłe przekłamanie, zamiast Miłek nadano Misza, bo to dla tubylców zrozumiałe i oczywiste.

Wątpliwości wyjaśnił dopiero list, w którym Miłek informował, że przed przybyciem do miejscowości Tockoje przez długi czas przebywał w szpitalu, że ciężko przechorował tyfus i sam ledwo uwierzył, że żyje. Zapewniał przy tym, że nic już mu nie grozi, chociaż warunki są ciężkie. Jest prawdziwym żołnierzem i prosi o przyjęcie do wiadomości i zapamiętanie, iż urodził się w dniu

28 lutego 1923 roku w Zimnej Wodzie koło Lwowa. Z dalszych informacji wynikało, że Miłek we własnym zakresie na zaświadczeniu wystawionym przez NKWD w dacie urodzenia z zaświatki zrobił trójkę "dopisując sobie" w ten sposób trzy lata, aby dostać się do wojska i grupy Orląt Lwowskich. W kolejnym liście nadeszło miniaturowe zdjęcie Miłka w mundurze i furażer-
ce, które przyjęliśmy jako świadectwo skrajnego wyczerpania. Tej samej w Tocku żołnierze Armii Andersa przebywali w namiotach egzystując w wyjątkowo trudnych warunkach. Najlepiej oddali to dwaj naoczni świadkowie, dorośli bracia Mieczysław i Czesław

Bankowscy, którzy dotarli tam i wrócili z powrotem do Żażyru kwitując sprawę "nie ma głupich, tu jest prawdziwy raj".

Wiosną skierowano mnie do pracy w charakterze płotnika przy obudowie zapór śnieżnych. Ten charakter pracy odpowiadał mi w zupełności, bo z łatwością dawałem sobie radę na wysokości i robiłem to już na Wyjeuncie. Niestety, prace te zmierzały ku końcowi.

Niebawem dostałem przydział do męskiej brygady Zawiałowa. Był to tegiej budowy mężczyzna, zdyscyplinowany, obowiązkowy i bardzo wymagający Kazach. Poza tym był to człowiek ambitny, przodownik pracy i zapalony uczestnik socjorenowacji (socjalistycznego współzawodnictwa pracy). Traktowano mnie tu na równi z innymi. Układaliśmy i regulowaliśmy tory, budowaliśmy rozjazdy, skrzyżowania i całą infrastrukturę techniczną depa oraz wykonywaliśmy inne, zazwyczaj trudne i prestiżowe zadania.

Zdarzało się, że przy załadunku szyn kolejowych na wagony stosowano wprost samobójcze metody pracy. Nie bacząc na własne bezpieczeństwo i groźbę śmiertelnego przygniecenia zazwyczaj szesnastoosobowy zespół ludzi działając w zgodnym rytmie na komendę podejmował z ziemi ciężką szynę i zarzucał na wagon. Miały miejsce upadki szyn i tragiczne tego skutki, jednakże ^{nikt} do tego nie przywiązywał większej wagi. Również przy regulacji torów czynności wykonywano na komendę "zapiewajky", który dysponując niewyczerpanym repertuarem i niezniszczalnym gardłem zawodził zazwyczaj bardziej wulgarne teksty od cytowanego niżej:

" Jubka krasna,
z połosami.
P..da ryża,
z wołosami".

Wykonywany po każdym wierszu zgodny ruch (wysiłek) zazwyczaj przynosił oczekiwane rezultaty.

W brygadzie Zawiałowa dostałem szkołę, jak nigdy. O lata nikt mnie tu nie pytał. Każde polecenie było święte. W tej brygadzie innych Polaków nie było. Sam nie wiem, jak to się stało, że znalazłem się w całkowitej izolacji. Było mi naprawdę ciężko.

W tym samym czasie docierały do nas wiadomości, że generał Anders wraz z armią zamierza udać się na Bliski Wschód. Mówiono o sprowadzaniu rodzin wojskowych na południe ZSRR. Dostaliśmy wiadomości od Miżka z Samarkandy a następnie z miejscowości Szachrisabz. Rodziła się szansa wyjazdu do Iranu lub Palestyny. Starania aby wyrwać nas z Kazachstanu poczynił również Miżak. Potwierdzenie tego dostaliśmy od specjalnego wysłannika w stopniu podoficera, który przejeżdżając przez Żaktyr spotkał się z matulą i poinformował, że ma ze sobą dla nas dokumenty na wyjazd i należy się do tego przygotować. Na razie jedzie dalej na wschód po inne rodziny i zabierze nas w drodze powrotnej.

Niestety! Facet nigdy więcej w Żaktyrze się nie pokazał. Na naszych papierach wyjechał ktoś inny. Zostaliśmy po prostu wyklinani. Nie jest to przypuszczenie. Fakt ewakuowania mnie i matki na Bliski Wschód potwierdza oficjalne zawiadomienie Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie, skierowane w dniu 29 marca 1944 roku do przebywającego w niemieckiej niewoli ojca. Co za perfidne oszustwo. Nie miałem o nim najmniejszego pojęcia. Podczas, gdy ja musiałem ciężko harować w brygadzie Zawiałowa, ktoś korzystał z moich uprawnień. Na domiar złego nadeszła kolejna, ciężka zima.

Przy spadku temperatury zaczęły dokuczać zaniedbane zęby. Zdarzało się, że po przyjsciu na posiłek wprost z mrozu gorąca woda powodowała natychmiast ostry ból. Stawałem niejednokrotnie

wobec konieczności wyboru jeść, czy też nie jeść. Przez pewien okres stosowałem wręcz makabryczną metodę jedzenia gorącego i zapijania zimną wodą. To pomagało ale tylko na chwilę.

W zimie do pracy wychodziło się i powracało po ciemku. Dzień był krótki a praca trwała dziesięć, a w miarę upływu czasu nawet dwanaście godzin. W czasie burzy śnieżnej, co zdarzało się dość często do odsnieżania budzono również w nocy. Najłatwiej było poderwać Polaków, bo wszyscy byli w kupie. Takie nocne wypadki na odkopywanie torów były bardzo niebezpieczne. Można było z łatwością zagubić się w czasie szalejącej śnieżycy lub nie uskoczyć na czas z odsnieżanego torowiska. Na zagrożony odcinek prowadzano nas przy linie, często w warunkach braku jakiegokolwiek widoczności. Światło było dostrzegalne z odległości zaledwie kilku metrów. W czasie pracy byliśmy uczeplieni liny ale trzeba było odchyłać kołnierze i odsłaniać uszy, żeby usłyszeć ostrzegawczy gwizd lokomotywy. Zwykle pociąg przelatował tuż obok nas jak koszmarnie widmo podczas, gdy ^{my} zalegalismy w kotkowanie śniegu na skarpie wykopu. Zbudowane wzdłuż torów potężne sapory przeciwnieżne, jak się okazało nie zawsze były skuteczne. Dużo zależało od kierunku i siły wiatru.

Nocne wypadki na odsnieżanie nie naruszały normalnego rytmu i czasu pracy. Zdarzało się, że czasami zasypywało całkowicie nasze baraki i trzeba było czekać na pomoc z zewnątrz. Zwały śniegu były tak wielkie, że otwierając drzwi do środka nie było szansy na odkopanie wyjścia. Absolutna w takiej sytuacji ciemność całkowicie pozbawiała orientacji w czasie. Ku naszemu zadowoleniu pomoc nadchodziła zazwyczaj z dużym opóźnieniem.

Tej zimy zdarzył się po sąsiedzku tragiczny wypadek. Zginął bardzo młody człowiek, syn miejscowego naczelnika stacji. Podobnie, jak to robili inni, w tym także Polacy "wyskoczył" on samotnie po południu na nartach po siemieczki (pestki słonecznika) na odległe o kilka kilometrów kołchozowe pole. Wczesna zima najwyraźniej zaskoczyła kołchoźników i setki hektarów kołchozowego słonecznika pozostało na polu. Zbiór był prosty. Wystarczyło nałożyć worek na czapkę słonecznika lub rozścielić na ziemi płachtę i uderzyć czapkę ręką lub kijem. Zmarznięte i zarazem wysuszone nasiona wysypywały się za pierwszym uderzeniem. Wyprawy po pestki pociągały za sobą pewne ryzyko, gdyż można było trafić na patrol kołchozowy i odpowiadać za kradzież. Mimo to ludzie ryzykowali. Tego dnia popołudniowe słońce nie było dość jaskrawe, raczej otoczone mglistą aureolą, która powiększała jego gabaryty do nienaturalnych rozmiarów. Była to zapowiedź zmiany pogody i zawieruchy.

Nadechodzik zmierzch. Wraz z nasilającym się wiatrem, jak okiem sięgnąć ruszyły smugi śniegu. W ciągu niespełna godziny zrobiło się ciemno a huraganowy wiatr porywał zwały śniegu i unosząc go na wysokość kilku metrów przemieszczał z miejsca na miejsce koczując nim w niesamowity sposób. Widoczność w takich warunkach w najlepszym razie sięga zaledwie kilku metrów.

Taki burian oznacza niechybną śmierć dla każdego, kogo zastanie w otwartym stepie, chyba, że przez przypadek trafi na stertę słomy lub słomy albo wprost na zabudowanie.

Rodnice wchodzi i ich znajomi nie bacząc na koszmarną pogodę przez całą noc trwali na płaskim dachu chałupy, w której mieszkali unosząc w górę zapalone lampy z nadzieją na ocalenie.

Niestety. Wołodę odnaleziono w tydzień później w odległości ponad dwudziestu kilometrów w zupełnie innym kierunku od domu niż należało się spodziewać. Po drodze pozbywał się zbędnego balastu porzucając zewnętrzną odzież a w końcu i narty.

Była to jedna z wielu ludzkich tragedii, jaka spotkać tu może każdego, kto nie jest zbyt przezorny. Dotyczy to również tych, którzy nawet przy pięknej pogodzie znajdują się na stepie o zmierzchu lub w nocy. Zimą w pobliżu osad ludzkich grasują całe watachy zgłodniałych wilków. W takiej sytuacji bezbronny piechur nie ma żadnej szansy.

K o l a r g o l

Ciężka fizyczna praca, kompletny brak tłuszczu i witamin oraz prawie głodowe racje dla młodego organizmu z czasem zrobiły swoje. Zimą 1943 roku trafiłem do szpitala za sprawą ogólnego wyczerpania i czyraków, które owładnęły mną bez reszty. Czyraki były wyjątkowo bolesne i dokuczliwe w każdej pozycji i przy każdym ruchu. Można z nich było wyciskać zgęstniałą ropę, jak z tuby pastę do zębów lub biały krem. O pracy nie mogło być mowy. Przeciągający się pobyt w szpitalu nie przynosił jednak oczekiwanej poprawy. Mówiono wprost, że to egzema. Nie byłem dostatecznie zorientowany co to oznacza, domyslałem się wszakże, że jest ze mną źle.

Leczono mnie głównie zwykłym tranem. Świeży tran piłem trzy razy dziennie, natomiast starym smarowano całe moje ciało z wy-

jątkiem twarzy. Praktycznie owijano mnie namoczonym w tranie prześcieradłem i kazano leżeć.

Prawdziwa makabra!

Z czasem doszły jeszcze inne dolegliwości. Ostre zapalenie oczu i spojówek. Białkówki obu gałek ocznych zrobiły się wręcz purpurowe, a światło raziło tak dotkliwie, że oczy zamykały się odruchowo same. Czuję się bardziej obolałym i cierpiącym manekinem czy nawet mumią niż człowiekiem. Gorączka dopełniała reszty. Zdawałem sobie sprawę, że jest ze mną źle. Leżałem odizolowany od innych chorych w pojedynkę, w bezpośrednim zasięgu widoczności dyżurnej pielęgniarki. Widoczność była wzajemna, jednakże światłowstręt i nieznosne, dokuczliwe światło nie zachęcało do obserwacji. Nie myślałem ani o wojnie ani o przyszłości. Ogarnęła mnie wazechwkadnie apatia.

Życie w żałtyrskim szpitalu toczyło się jednak całkiem normalnie. Wojna była daleko, a na "froncie pracy" odległego zaplecza poza normalnymi obowiązkami znajdowano czas również na przyjemności. Pewnego, niedzielnego popołudnia sympatyczna pielęgniarka pełniąc dyżur spędzała beztrosko wolne chwile w towarzystwie młodego mężczyzny, naruszając zapewne obowiązujący regulamin.. Była cudownie rozbawiona i rozkoszna. Sprawiała wrażenie dziewczyny namiętnie zakochanej. Nie zwracali na mnie uwagi w przekonaniu, że mam zamknięte oczy i nic nie widzę. Obserwacja dwojga zakochanych w codziennej szpitalnej monotonii była jednak nyle interesująca, że trudno było się oprzeć pokusie. Przyszedł niebawem czas na aplikację przypisanych leków. Między innymi miałem przypisane krople do oczu kalergoż - kolargol. Rozkojarzona pielęgniarka chwyciła beztrosko z podręcznej serwantki ciemne

brunatną buteleczkę i nachylając się życzliwie wpuściła mi do prawego oka zaledwie jedną, jedyną kropelkę. Nie umiem ocenić, jak głośno wrzasałem z bólu ale wiem, że dosłownie w kilka sekund u drzwi mego pokoju stało kilku chorych z sąsiednich pomieszczeń. Ja z pozycji leżącej, jak za pociągnięciem czarodziejskiej różdżki uniołem tułów do pozycji siedzącej, wytrącając sdezorientowanej pielęgniarce otwartą buteleczkę jodyny.

Popłynął strumień, cała Niagara łez. Miałem wrażenie, że potraktowano mnie rozpalonym żelazem. Nie miałem odwagi otworzyć oka. Przerażona pielęgniarka nie bacząc, że jest dszerwowana całowała mnie po całej twarzy błagając ze łzami w oczach abym nie mówił nic lekarzowi. Przypuszczam, że bała się skierowania na front. Ja nie byłem w stanie wyksztusić z siebie chociażby jednego słowa. Siedziałem milczący, a łzy z porażonego jodyną oka spływały strumieniem. Skąd ich aż tyle? Wreszcie pielęgniarka odzyskała refleks. Nawilżonym tamponem zaczęła przemywać oko, prosząc błagalnie abym go otworzył. Tak! Zrobiłem to po pewnym czasie, gdy ustąpił piekielny ból i to z wielkim strachem. Poprosiłem o lusterko. Stwierdziłem, że obie gałki oczne są jak poprzednio identycznie purpurowe i widzę tak, jak przedtem. Jedynie bardziej zaczerwieniły się i obrzękły powieki pechowego oka. A więc chyba nic się nie stało? Pielęgniarka tego dnia asystowała mi do końca dyżuru. Zmieniono zaplamioną jodyną pościel. Przeżywszy ten przykry incydent serdecznie współczułem pielęgniarce. W jej oczach zobaczyłem jak wygląda prawdziwy strach. Po kilku tygodniach kuracji poczułem się znacznie lepiej. Gorączka ustąpiła całkowicie. Czyraki zaczęły się stopniowo wy-

gajać i ustępować. Nie przybywało nowych. Ustąpiły dolegliwości i objawa choroby oczu. Cieszyłem się na powrót do domu i czekałem tego dnia jak zbawienia. Niestety! Można sobie wyobrazić, jakie było moje rozczarowanie, gdy po wyjściu ze szpitala zanim dotarłem do domu ponownie porażone blaskiem słońca i przeraźliwą śnieżną bielą oczy odzyskały kolor purpury. Następnego dnia znalazłem się ponownie w szpitalu.

Było mi bardzo przykro ale nie żałowałem tego, bo w szpitalu miałem w miarę znośne wyżywienie i szansę na przetrwanie chociaż części surowej zimy. Popularne powiedzenie "aby do wiosny" miało tu szczególną wymowę i znaczenie. W warunkach klimatycznych Kazachstanu zazwyczaj nagła wiosna niosła dla nas nie tylko nadzieję ale i prawdziwie nowe życie.

Makabryczna wiosna

Po wyjątkowo mroźnej i śnieżnej zimie służby eksploatacyjne kolei oczekiwały wiosny z dużym niepokojem. W przypadku nagłego ocieplenia groziła powódź.

Newralgicznym odcinkiem w zasięgu naszego strojuczastka był most kolejowy na rzece Iszym. Dolina tej rzeki obejmowała przestrzennie olbrzymią zlewnię. Spływu kry spodziewano się od południa. Kierownictwo i stałe służby tego odcinka były w pełni świadome zagrożeń. Opowiadano pokątnie, że projektant jako rozwiązanie optymalne przewidywał trasę okreśną wykorzystując lokalne wzniesienia od strony północnej. Linie przeprowadzono jednak prosto przecinając nasypem dolinę rzeki na przestrzeni około trzy-

dziesiąt kilometrów. Wynikały z tego między innymi dodatkowe utrudnienia eksploatacyjne. Trzeba było pokonywać znaczne odcinki skłonu z góry i pod górę. W sytuacji powodziowej powstawało realne zagrożenie o trudnych do przewidzenia skutkach.

Brygadę Zawiałowa skierowano do ochrony wspaniałego o stalowej konstrukcji mostu w miejscowości Kozuton, położonej w odległości czterdziestu kilometrów od naszego stałego miejsca pobytu tj. stacji kolejowej Żańtyr. Odkomenderowano tu bardzo dużo ludzi. Obok Rosjan, Kazachów, Polaków i różnej narodowości trudarniejców, którzy satępozo odbywali służbę wojskową na strategicznie ważnych odcinkach pracy byli również jeńcy wojenni - Niemcy.

Warunki zakwaterowania były tu wręcz tragiczne. Barako-ziemianki wyposażono po obu stronach w trzypoziomowe, zaścielone słomą nary, pośrodku zaś umieszczono prymitywne piece ze ślepymi, żelaznymi blatami. Fatalna pogoda, w tym burze śnieżne nocą i opady deszczu lub deszczu ze śniegiem w dzień przy dwunastogodzinnym ponadludzkim wysiłku fizycznym sprawiały jednak, że to barakowe piekło stawało się rajem. O warunkach sanitarno-epidemiologicznych i przeciwpożarowych lepiej w ogóle nie wspominać. Wśród Kazachów byli tacy, co wszy wykuskiwali własnymi zębami. Inni po prostu wytrząchali koszule nad rozpalonymi do czerwoności blatami. Odgłosy pryskających iskrami insektów potwierdzały skuteczność przeprowadzanego zabiegu. Tkwiłem w tym piekle po same uszy. Wszy gryzły bez litości w dzień i w nocy. Jedynym skutecznym działaniem wbrew wszelkiej logice było zaniechanie zmiany bielizny.

Moje wyobrażenia nie sięgały jednak tak dalece aby zrozumieć grozę sytuacji i zakres oczekujących nas tu zadań.

Dostarczane kolejną sosnowe bele zbijaliśmy ze sobą równolegle po trzy aby z kolei łączyć je grubymi łańcuchami w zwarty a zarazem elastyczny ciąg wzdłuż nasypu. Miały spełniać rolę przylgającego falochronu zabezpieczającego nasyp. Skąd niby miałem wiedzieć, że ten piękny o kryształicznie czystej wodzie Iszym ze spokojnej rzeki nagle przeistoczy się w bezkresne morze?

Zanim do tego doszło dniem i nocą umacniano południową skarpę nasypu kolejowego grubą warstwą obornika i kamieniami pomimo, że skarpa wcześniej była już zabrukowana. Zabieg ten, jak się okazało był absolutnie konieczny. Praca była bardzo ciężka. Przychodziły chwile całkowitego załamania. Niektóre głowy nie do pokonania, szczególnie na skarpie. Na pomoc nie zawsze można było liczyć. W piekielnych warunkach marcowej bryzy po dwunastu godzinach pracy uświadamiałem sobie własną nicość. Przecież miałem niespełna szesnaście lat i wcale nie byłem przekonany, że ten twardy człowiek Zawiałow o tym wie. Jakże to zresztą mogło mieć znaczenie? Przecież zostałem przydzielony dla wzmocnienia tej przeludnionej brygady. Podczas pracy naogół nie rozmawiano, jedynie od czasu do czasu, gdy ktoś przyciął sobie rękę albo boleśnie przygniół nogę padało parszywe przekleństwo "akisynauze mygin".

Od pewnego czasu nie miałem kontaktu z matulą chociaż wiedziałem, że martwi się o mnie bardzo i bardzo przeżywa moją nieobecność. Hasło "wodobarba" było jednoznaczne i przesądzało o wszystkim. Chodziło o bezwzględne utrzymanie ciągłości dostaw strategicznego surowca, jakim był węgiel. Wiadomo było wszystkim, że Karaganda po unieruchomieniu Donbasu i innych zagłębi węglowych w europejskiej części ZSRR jest jedynym źródłem zaopatrzenia

pracującego na rzecz frontu przemysłu zbrojeniowego w Czelabińsku, Magnitogorsku, Orsku oraz innych ośrodkach metalurgicznych. Wśród mieszaniny narodowości nie było żadnych protestów ani narzekania. "Wszystko dla frontu, wszystko dla победы", "Wrog budiet razbit, pobieda budiet za nami" - to tylko niektóre hasła niejako miewalające wszystkich do nadludzkiego wysiłku. Propaganda depingowała i dodawała otuchy. Na froncie jeszcze gorzej. Żołnierze często nie śpią i nie dojadają, a jednak walczą.

Docierały pierwsze pocieszające wieści spod Stalingradu. Ja pomimo marnego losu i niedoli na Syberii miałem zdecydowanie więcej nienawiści do Niemców niż Sowieci. Do dzisiaj nie wiem dlaczego w sposób szczególny reagowałem wtedy na monstrualny i pełny dostojnej grozy głos spikiera moskiewskiego radia, przekazującego komunikaty informbiuro. Po prostu ścisnęło mnie coś za gardło i po ciele przechodziły ciarki.

Tak. Nie było żadnych wątpliwości, że może być jeszcze gorzej. I widać nie było aż tak źle, skoro w czasie odpoczynku zmęczeni ludzie na sprosne kawały reagowali spontanicznie śmiechem. To prawda, człowiek jest niewiarogodnie silny i wytrzymały.

Komunikaty meteorologiczne nakazywały pośpiech. Na południu ruszyły lody. W Kozutonie, chociaż nie było widać jeszcze żadnych symptomów pęknięcia lodowej pokrywy, to jednak z niepokojem oczekiwano pierwszej fali. Nie trwało to długo. Najpierw docierały odgłosy pęknięcia zalewanych wodą lodów w korycie rzeki. Potem stało się to, czego obawiano się najbardziej - autentyczne zagrożenie powodziowe - prawdziwe piekło. W ciągu niespełna doby poziom napierającej wody podniósł się w dolinie rzeki o kilka metrów.

Leżące dotychczas na ziemi kłody drewna uniosły się i skutecznie chroniły nasyp przed nieustannymi atakami narastającej fali. Kanonada pękających lodów nasilała się z godziny na godzinę. Ruszyła lawa i zatorami kra. Grupa minerska rozbijała napierające zwalły lodów przy pomocy kilkukilogramowych ładunków amonaku. Mimo to powstające w sąsiedztwie mostu zatory stwarzały coraz to większe zagrożenie dla mostu i ludzi. Poziom wody ciągle warstał a zwalów kry było coraz więcej. Ładunki wybuchowe zrzucono wprost z mostu, którego stalowa konstrukcja stanowiła jedyną ochronę dla ludzi. Grubość kry sięgała półtora metra. Różnica poziomu wody po obu stronach nasypu w okolicy mostu dochodziła do dziesięciu metrów. Most obciążono wykładanym kamieniami po ciągach. Po obu stronach mostu podstawiono wagony z obornikiem na wypadek przesiąkania nasypu. Zarządzono stan alarmowy i dyżury non stop. Na jednego robotnika przypadało około dziesięciu metrów nasypu. Każdy przeciek należało natychmiast zaczipować obornikiem i umocnić kamieniami, zachować szczególną czujność i siewadomić bragadzistę.

Niestety! W tej, jakże trudnej sytuacji nie było ani helikoptera ani samolotu. Walka z napierającym lodem stawała się coraz bardziej beznadziejna. Poziom wody sięgał już wysokości za ledwie pięćdziesięciu centymetrów poniżej dolnej krawędzi stalowej konstrukcji mostu. Nikt nie znał ekstremum kulminacyjnej fali i spiętrzona napierającej wody.

Tej krytycznej nocy siarozyscie smagał zimny wiatr a obficie padający śnieg utrudniał obserwacje. Ludzie przemoknięci do ostatniej nitki dzwonili z zimna sobą jak dzieci po zyt drugiej kąpieli w chłodnej wodzie. Na nasyp dostarczono pojemniki ze spi-

rytusem. Chętnych do wypitki jednak nie było, tyle co na rozgrzewkę. Wszyscy byli świadomi, że sytuacja jest wręcz tragiczna. Na cud nikt nie liczył, ale mostu nie wolno było stracić. Grupa minerska wprost szalała nie szczędząc ani swego zdrowia ani życia. Kanonada wybuchów, fontanny tryskającej wody i lodu w nocnych ciemnościach stwarzały niesamowitą scenę walki ludzi z rozszalałym żywiołem na śmierć i życie.

To, co działo się pod mostem być może przypominało Niagarę. Tutaj w otchłani spienionej wody przetaczały się olbrzymie zwały kry i lodu.

O świcie, gdy zatory lodowe zaczęły atakować stalowe przęsła mostu podjęto jedynie szuszną, choć tragiczną w skutkach decyzję. Zdecydowano wysadzić w powietrze boczne obwałowanie rzeki w odległości około pięciuset metrów od mostu, kierując spienioną wodę i zwały lodu w kierunku zachodnim. Wystarczyło zaledwie kilka wybuchów aby pieczołowicie zabezpieczany dotąd wał ochronny w mgnieniu oka uległ całkowitemu zniszczeniu.

Nie byłem świadkiem tego, co stało się opodal w odległości kilkunastu kilometrów. Zderzenie tak potężnej fali czołowej z żelazobetonowym monolitem dwuprzęsłowego mostu spowodowało, że most ten wraz z ławą fundamentową został wyrwany i całkowicie rozbity. Porozrzucane i odrzucone na boki szyny kolejowe, rozrzucone na odcinku kilometra nasyp, to potworny obraz zniszczenia i poniesionej w walce z żywiołem porażki. Most żelazny na Iszymie został jednak uratowany. Walka z żywiołem trwała jeszcze przez kilka dni. Ludzie wyczerpani do ostateczności zasypiali stojąc. Ale to nie było jeszcze najgorsze.

Szczytem tragedii stał się pożar, który nieoczekiwanie wybuchł nocą w baraku, gdzie stacjonowali więźni do niewoli Niemcy. Zaskane skomą nary w mgnieniu oka stanęły w płomieniach. Na domiar złego zaledwie pięćdziesięciocentymetrowej wysokości okna w panicznej ucieczce nie dawały szansy nikomu. Uratowało się zaledwie kilkanaście osób. Zginęło około sto pięćdziesiąt. Nie było żadnej możliwości udzielenia pomocy z zewnątrz. Pogorzelisko wyglądało potwornie. Byliśmy wszyscy wstrząśnięci. To mogło spotkać każdego z nas. Prawdziwe piekło.

Po kilku dniach wody zaczęły opadać. Życie stopniowo wracało do normy. Na dwie zmiany dniem i nocą budowano objazd i prowizoryczny drewniany most. Skutki powodzi były jednak zbyt poważne aby mogły przejść bez echa. Na wizytację obiektu przyjechał sam Łazar M. Kaganowicz - Minister Komunikacji i Łączności. Widziałem go i pamiętam, jak w pokraczny sposób schodził po drabienie na dół w pozycji odwrotnej plecami do drabiny, co spotkało się raczej z powszechną dezaprobatą robotniczej braci. Mimo szacunku dla wysokiej władzy prywatne kpmentarze na ten temat były wręcz ironiczne.

Pociągi w tym czasie nie kursowały, nie miałem więc kontaktu z domem. Na domiar złego zostałem bez pieniędzy. Stwierdziłem to pewnego dnia stojąc w kolejce po rosolnik. Rosolnikiem nazywano tu gorący płyn okraszony łyżeczką surowego oleju z zawartością kawałka zielonego, kiszzonego pomidora i śladami jaglanej kaszy. Za ten wodnisty płyn wycinano z kartki odcinki na truszczy i kaszę. Byłem zrozpaczony. Bez piętnastu kopiejek nie da rady. Zagadnąłem więc stojącego w kolejce, młodego człowieka, czy nie zechce mi pomóc w potrzebie? Osobnik ten był ubrany w standardo-

wą kufajkę i watowane spodnie, które przypominały bardziej zwisające na nątkach strzępy waty niż dolną część męskiej garderoby. Zagadnięty, możliwości takiej nie zaprzeczył. Z pełnym przekonaniem skonstatował jednak: tak tyż nie oddasz. Nu kakże, abia-satielno oddam, odpowiedziałem pośpiesznie i niejako dla potwierdzenia tego zamiaru spytałem: a tiebia kak zowut? Ogurcow, odparł zdawkowo, pozostając zapewne w przekonaniu, że dając jałmużnę, robi dobry uczynek. Nazwisko to utkwiło w mojej pamięci na zawsze. Do dzisiaj mam świadomość bezinteresownej pomocy i niespłacownego długu.

Po wykonaniu zadania ja i cała brygada Zawiałowa powróciliśmy do stałego miejsca pobytu. Fala wiosennego ciepła przywróciła wiarę w życie. W Kołutonie nadal kontynuowano prace porządkowo-zabezpieczające i likwidowano resztki powstałych szkód. Pracowały tam również kobiety.

Pewnej nocy w baraku powstało zamieszanie. Po obudzeniu zorientowałem się, że stało się coś niezwykłego, bo kilka starszych pań z dużym ożywieniem w sposób tajemniczy wymieniało szczerze poglądy. Niebawem wiedziałem już, że jednej z naszych benesmatki dorodnych pańienek wpadł do głowy pomysł skorzystania z okazijnego powrotu do domu samochodem. Spotkała ją delikatnie mówiąc przykrpść. Rozważano, czy zaistniały przypadek gwałtu zgłosić miejscowym władzom, czy też zaniechać jakiegokolwiek interwencji. Dziewczyna była autentycznie przerażona. Wypytywano ją o ostatni okres i zastanawiano się nad ewentualnymi skutkami tego zdarzenia. Po koszmarnych przeżyciach w Kołutonie byłem jednak zbyt wyczerpany aby śledzić przebieg tej nocnej debaty. Wbrew oczekiwaniom ten pozornie fascynujący podrostka temat nie

sadziłał na moje zmysły. Usnąłem w przekonaniu, że i moje przejęcia podczas wodobarby na Iszymie były równie potworne.

Dzisiaj po wielu latach, na kanwie wspomnień nie mogę przeć się refleksji, że w pośpiesznej realizacji "Socjalistycznej strojki" przy budowie Stalino-Magnitogorskiej Magistrali Akmo-lińsk-Kartały popełniono szereg elementarnych błędów technicznych. Przypominam sobie, że latem 1942 roku na kilkanaście dni zostałem oddelegowany do dyspozycji geodety, który na odcinku kolejowym Akmo-lińsk-Kołuton w sposób uproszczony, przy pomocy prymitywnej, osadzonej na okutym drzewcu busoli pudełkowej dokonywał pomiaru sytuacyjnego wodociągów oraz ich niwelacji. Fakt, że pomiar ten był dokonywany po zbudowaniu nasypu, mostów i przepustów wydaje się potwierdzać odwrócenie kolejności prac przygotowawczych i opracowanie projektu trasy w oparciu o nie-szybkie dokładne mapy drobnoskalowe. Moja obecna wiedza w tym zakresie pozwala sądzić, że przy właściwym wykonaniu wszystkich czynności inżynierskich oraz uwzględnieniu uwarunkowań terenowych i klimatycznych katastrowalnego zdarzenia w Kołutonie można było uniknąć.

Brygadziści

Na froncie toczyły się walki. Przełamanie blokady Stalingradu co prawda napawało optymizmem ale to był dopiero początek. Zwycięstwo wymagało ogromnego wysiłku całego narodu i wielu wyrzeczeń. W dalekim Kazachstanie w wyniku deportacji ludności rosyjskiej pojawiły się liczne zgrupowania Czeczenów, Inguszków i innych narodowości z Kaukazu oraz wzięci do niewoli niemieccy żołnierze. W rekordowych terminach uruchamiano ewakuowane zakłady przemysłowe. Do służby wojskowej powoływano coraz to nowe roczniki, co pogłębiało społeczną depresję.

15 kwietnia 1943 roku zostaje wydana rygorystyczna ustawa o socjalistycznej dyscyplinie pracy, którą potocznie nazywano "stalinskij ukaz o socjalistycznej dyscyplinie труда". Ustawa ta w warunkach wojny wprowadzała daleko idące sankcje nawet za drobne przewinienia. Przykładowo za charakterne odnoszenie k kasionomni imuszczestwu tj za lekceważący stosunek do mienia państwowego orzekano karę trzech miesięcy przymusowej, czyli robót przymusowych. Taka sama kara groziła za proguk-zwykłe spóźnienie do pracy i znacznie dłuższa za nieusprawiedliwioną nieobecność jednego dnia pracy. Sytuacja stawała się coraz groźniejsza. Podejmowano "zupełnie dobrowolnie" pracę w niedzielę organizując tzw. woskresniki. Czas pracy zostaje "entuzjastycznie" wydłużony do dwunastu godzin na dobę. Sprawy takie załatwiano na doraźnie organizowanych masówkach bezpośrednio po zakończeniu pracy. Na pytanie "kto protiiv" odpowiedzią było powszechne milczenie.

W takich to warunkach męska grupa Polaków w Żaktyrze wpadła na wrecz genialny pomysł asekuracji przed ewentualną odpowiedzialnością. Drakońska ustawa z pewnością nie ^{młodocianych} traktuje na równi

z dorosłymi. Kandydata nie trzeba było szukać daleko. Pomyślano więc o mnie. W istocie spełniałem wszystkie warunki robotnika młodocianego. Nie ukończyłem jeszcze szesnastu lat i miałem za sobą odpowiedni staż w brigadzie Zawiałowa. W zespole Polaków do-
tychczas jeszcze nie pracowałem. W środowisku tym traktowano mnie jako smarkacza i zwykłego gówniarza. Teraz mogłem się na coś przydać, mogłem poniekąd bezkarnie kryć dorosłych.

Pomysł powołania mnie na brigadzystę polskiej brygady w samym zamysle był zarówno perfidny, co i racjonalny. Nie byłem świadomy ani podtekstów gry, jaką mi zaproponowano, ani konsekwencji. Przedkładane mi argumenty za, to głęboka więź narodowa Polaków i patriotyzm, poczucie przynależności do tej samej grupy społecznej deportowanych, to wspólna walka o byt i przetrwanie, to wreszcie konieczność obrony starszych przed groźbą odpowiedzialności w warunkach zaostrzonej dyscypliny. Z drugiej strony po makabrycznych przejściach w Kołutonie byłem wewnętrznie przekonany, że dalej w brigadzie Zawiałowa nie wytrzymam. Nie dopatrując się podstępu przystałem na propozycję.

Niebawem zostałem demokratycznie wybrany na brigadzystę polskiej brygady, liczącej ponad trzydziestu mężczyzn w wieku od szesnastu do bezmała siedemdziesięciu lat o różnych kwalifikacjach, w tym trzech policjantów. Od tej pory w dokumentach sprawozdawczych, na tablicach ogłoszeń i tablicy socjorenowacji figurowała brygada Dawidiuka. Brygada wykonywała głównie roboty siłowe oraz czynności pomocnicze przy rozbudowie torowisk, w tym torów dojazdowych i manewrowych w DEFO a także szereg innych, do-
raznie powierzanych do wykonania prac fizycznych.

Wpadłem! Fatalnie wpadłem. Każdego dnia po pracy, gdy inni

szli do domu ja musiałem uczestniczyć w płaniorkach, czyli naradach poświęconych ustalaniu zadań i koordynacji robót, na których rozliczano z wykonanej pracy w danym dniu i przydzielano konkretne zadania na dzień następny. Do pracy musiałem przychodzić pierwszy aby zorganizować pracę. Nie miałem prawa-pomimo formalnego obowiązku brygadzysty-informować kogokolwiek o spóźnieniach, które były nagminne. Musiałem kłamać jak najęty aby wykłamać chociażby chwilową nieobecność członka brygady na stanowisku pracy.

Brygada miewała zarówno sukcesy jak i wpadki. Głównie stroju-uczestka niejaki Skopcow potocznie nazywany "truśka", jako że palił fajkę i zwsze ją trzymał w ustach, zazwyczaj odręcznie robił na broni filmowej satyryczne kreskówki, które pokazywano przed filmem. Pewnego razu zobaczyłem na ekranie godny politywania obrazek koślawych, opartych beczynnie na łopatach i leżących ludzi z napisem "Brygada Dawiduka-roboty nie wołk, w les nie ubiżył". Bywały też wyróżnienia i pochwały, głównie gdy udało się wykołować przy obmiarze robót. Najczęściej jednak obrywaniem za siebie i za wszystkich. Przeżywałem przy tym poważne rozterki i to nie tylko z tego powodu. Czuję się oszukany, terrorizowany i szantażowany przez swoich, a gdy próbowałem obrony serwowano mi wprost: to ty jesteś taki Polak?

Taki właśnie taki-odpowiadałem sobie w duchu-i wcale nie taki głupi, jak myślicie. Oni wszystko mieli w nosie, a ja musiałem się codziennie gimnastykować przed władzami oraz kryć całą brygadę i każdego z osobna. W istocie byłem jednak przekonany, że w tak okrutnej rzeczywistości i tak parszywej sytuacji innego wyjścia nie ma. Trzeba było trzymać się razem, wzajemnie sobie pomagać i ochraniać.

Życie i dalsze zdarzenia niebawem potwierdziły trafność wyboru
nielata na brygadzystę.

Mijały tygodnie upalnego lata. Wraz z nimi kurczył się front
robót w rejonie stacji kolejowej Żańtyr, miejsca naszego stałe-
go pobytu. Całą brygadę skierowano więc do pracy przy rozbudowie
odległej o ponad sto kilometrów stacji kolejowej Akmolińsk.
Była to siedziba władz akmolińskiej obłasti i zarazem ważny wę-
zeł kolejowy. To pseudo miasto, a w istocie duży auk o sąledwie
kilku piętrowych, skleconych z glinianego samamu budynkach nie
posiadało żadnej utwardzonej ulicy. Przy większym podmuchu wia-
tru unosiły się tumany kurzu. Prowadzono tu rozbudowę stacji,
przystosowując ją do nowej funkcji, jaka wynikała z rozbudowy
Karagandzińskiego Zagłębia Węglowego i oddania do eksploatacji
strategicznej linii kolejowej Akmolińsk-Kartały.

Oddelegowano tu głównie osoby samotne i nie sprawujące
opieki nad dziećmi. Ja byłem traktowany jako odinokij, a na do-
datek choć niepełnoletni opłacałem "bykowe" jako bezdzietny. Za-
kwaterowanie dostaliśmy w barakach po byłej cegielni w "kirpicz-
nym sawodzie", gdzie na wzór baraków w Korutonie po obu stronach
stały masywne konstrukcje piętrowych, drewnianych nar, które
stanowiły jedyne miejsce rozrywki, snu i wypoczynku po dwunasto-
godzinnym dniu pracy. Było tu również pełno trudamięjców, głów-
nie Kasachów, którzy być może nie tylko ze względów religijnych
i stan. zdrowia zostali zmobilizowani do pracy. Poza tym była tu
spora grupa recedywistów zwolnionych przed terminem i skierowa-
nych na pierewospitanije, czyli resocjalizację przez pracę a
także sporo Polaków.

Grupa "Zagiernych prydurow", w istocie zatwardziały

kryminalistów sprawowała tu niepodzielnie władzę i uprawiała bezkarnie terror. Obowiązywało prawo pięści, kto zaś usiłował donieść oficjalnym władzom o kradzieży lub pobiciu dostawał lekce na całe życie. Pomimo zakazu uprawiania handlu potrafili na bazarze wielokrotnie sprzedawać te same, kradzione przedmioty. Zazwyczaj jeden z paczki konfidencko oferował kupno towaru po atrakcyjnej cenie, a gdy dochodziło do transakcji finalizowanej uregulowaniem należności do akcji brutalnie wkraczał wspólnik podnosząc larum, że sprzedano skradzioną mu przed chwilą własność, grożąc milicją. W tym czasie trzeci ostrzegawczo obwieszczał "milicja" i wszyscy natychmiast pryskali. Milicji oczywiście nie było, natomiast poszkodowany o incydencie i poniesionej stracie zazwyczaj nie meldował. Pewnej zimowej nocy milicjanci zatrzymali dwóch oprychów, którzy prowadzili z auku na kirpsawod skradzioną krowę, obutą w kradzione wojskowe buty. Kradzieże takie nie były trudne, bo tubylecy byli bardzo zabobonni i gdy ktoś grasował po saraju nie mieli zwyczaju i zapewne odwagi wychodzić z domu. Ta zgraja oprychów wyjątkowo nie czepiała się Polaków, którzy unikali z nimi zwady nie tylko ze strachu ale i autentycznego instynktu samoobrony.

W baraku niepodzielnie panował brud, smród i ubóstwo. Wszędzie było pełno prusaków, karaluchów, pluskwów i wszy. Ze zdrowych względów nikt publicznie nie chciał się pochwalić wazy łonowych-mendowszek. Te wredne pasożyty zewnętrzne człowieka uwielbiały najbardziej intymne zakątki ciała dając się we znaki szczególnie nocą. Osobiście doświadczyłem na sobie skutki działania tego robactwa, jednakże w tych warunkach wszyscy byli bezsilni. Czasami dla dodania sobie otuchy nuciłem w my-

ślach zasłyszana, kiedyś przypadkowo na rynku rynsztokową piosenkę:

"Najlepszy środek na mendy
Szara maść, szara maść, szara maść,
Bo mendy giną w te pędy,
Szara maść, szara maść, szara maść."

To była śpiewana reklama sprzedawcy.

Niestety. Nie tylko szare mydło i szara maść pozostawały tu jedynie w zasięgu marzeń. Nie było żadnych środków higieny osobistej. Pluralistyczny odór z suszonych onuc dominował nad innymi zapachami i odurzał. Obowiązkowa co tydzień kąpiel w publicznej łaźni oraz przeprowadzana w temperaturze ponad stu stopni Celsjusza dezynfekcja odzieży nie przynosiły oczekiwanych rezultatów. Niekroć wpadałem na kilka godzin do domu zawsze usiłowałem przekonać matkę, aby nie dawała mi czystej bielizny, bo jak magnes z całego otoczenia przyciągała wszystkie insekty. Najlepiej radzili sobie z nimi tubylcy - zmuszeni do osiadłego życia Kasachowie - przeczesując, podobnie jak w Kozutonie szwy koszul sębanii. Obserwacje z Kozutonu nie były więc rzeczą przypadku, po prostu szanowano własną krew.

Makabryczne warunki pracy, zakwaterowania i wyżywienia dobijały psychicznie każdego. Komunikaty z frontu i brak widoków na szybkie zakończenie wojny przygniatały do reszty.

Rysowała się przerażająca wizja głodu i wyniszczenia. W takich warunkach do rozmiarów szczęścia urasta każda chwila nieoczekiwanego wypoczynku, chwila upragnionego snu.

Pewnego dnia w drodze do pracy zatrzymał nas Polaków z mojej kompanii wojskowy patrol celem sprawdzenia dokumentów. W tym cza-

sie coraz częściej dochodziło do świadomej dezercji bądź uchyłania się od obowiązku służby wojskowej lub pracy. Do tej pory w ogóle nie zdawałem sobie sprawy z konsekwencji, jakie mogą wynikać z braku posiadania dowodu tożsamości. Okazało się, że wszyscy, z którymi maszerowałem do pracy odpowiednie dokumenty posiadali. Ja miałem jedynie komandirówocmoje udostawiereniye. Na wezwanie, wasz paszport? odpowiedziałem zgodnie z prawdą, nie imieju. Wojenskiy bilet? - Toż nie imieju, mnie wsiewo szesnadcet god. W odpowiedzi usłyszałem cyniczną uwagę, Eto ocen' intieresno, zuby potierał a gawarit mołokosos. Pajdiess s nami, tam rozbierut.

Na nic się zdały argumenty kolegów z brygady ani okazana komandirówka. Poprowadzono mnie jak zwykłego kryminalistę lub dezertera "pod asytkom", czyli pod eskortą dwóch żołnierzy z karabinami w pozycji gotowej do interwencji w każdej chwili. Dopiero teraz zacząłem sobie użysławiać, że przecież ja naprawdę nie mam żadnego dokumentu, że figuruję i to bez zdjęcia w paszporcie matki jako dziecko. Ogarnął mnie autentyczny strach, gdy fakt ten skojarzyłem z cyniczną uwagą dowódcy patrolu na temat katastrofalnego stanu mego uzębienia.

To było groźne. Mogłem z marszu trafić do Karagandy, do kopalni i katorżniczej pracy przy wydobywaniu węgla jako anonim, po prostu nikt!

W obszernym korytarzu siedziby akmolińskiego NKWD grupa doprowadzanych osób do wyjaśnienia nieustannie rosła. Zrozumiałem, że tego dnia przeprowadzono powszechną obławę na wszelkiego rodzaju włóczęgów i dezertarów. Czekałem z niepokojem śledząc bacznie, co się dzieje? Wbrew oczekiwaniom nie działo się nic szcze-

gólnego. Od czasu do czasu wyczytywano nazwiska osób, które nie posiadały kompletnych dokumentów. Zorientowałam się prawie natychmiast, że mnie nikt nie wywoła. Ulokowałam się więc w odległym kącie i zwinęty w kłębek niebawem usnąłam. Obudziłam się po upływie ponad 24 godzin ale na mnie nie przyszedł jeszcze czas. Byłam piekielnie głodny ale tu można jedynie napić się wody. Gdy doszło do rozmowy moje wyjaśnienia były proste. Podałam kim jestem, gdzie pracuję i co robię w Almolinsku. Uratowała mnie komandirówka. Był to jedyny dowód na uwiarygodnienie przedstawionej przeze mnie wersji. Sprawę wyjaśniono telefonicznie w kierownictwie strojuczastka. To uratowało mnie przed Karagandą. Przy okazji dostałam z NKWD odpowiednie zaświadczenie, które pozwoliło mi na legalny przejazd do Żaktyru po dokumenty. W miejscu pracy a następnie w rejonie wydano mi stosowne udostawienie. Poczułam, że mam tożsamość i tym samym zostałam dowartościowany. Odwiedziłam matkę i znajomych, a także trochę wypożyczyłam, zaoszczędzając pająk chleba za całe trzy dni.

Desercja

W codziennym trudzie i zmęczeniu, tyrając ciężko z dala od rodzin nie oczekiwaliśmy niczego dobrego. Sytuacja na froncie wymagała zwiększonych dostaw sprzętu bojowego i broni oraz wzmoczonego wsparcia całego zaplecza. Świadomość trudnej sytuacji była powszechna, jednakże nikt z nas nie przypuszczał, że zgotowano nam jeszcze gorsze.

Pewnego jesiennego popołudnia przed zakończeniem pracy zo-

staliśmy poinformowani o przesunięciu nas na inny, strategicznie bardzo ważny odcinek pracy. Takie dyspozycje nie były nam obce. Tym razem kazano jednak zabrać ze sobą wszystkie, pozostawione w barakach rzeczy osobiste. Do transportu podstawiono specjalnie przygotowany eszałon z wagonami towarowymi, przystosowanymi do przewozu ludzi.

Nie było żadnych przecieków ani możliwości uzyskania rzeczowej informacji, o co właściwie chodzi. Nikt nie umiał wyjaśnić dokąd właściwie mamy jechać. Nadszedł wieczór ale lokomotywy nie doczepiono. Rósł niepokój i poczucie realnego zagrożenia. Coś knują. Na pewno knują coś perfidnego, ale co? Przez całą noc trwały rozmowy i spekulacje. Rozważaliśmy najprzeróżniejsze wersje możliwych zdarzeń. Nikt z nas nie wpadł jednak na trop wcześniej już podjętej decyzji. Czas oczekiwania przedłużał się. Do transportu dołączano nowe wagony i ściągano nowych ludzi. Uprzedzano aby nie oddalać się od pociągu, bo niebawem odjeżdżamy. Niepokój nasz narastał z godziny na godzinę. Wszystkich dręczyło pozostające bez odpowiedzi pytanie, dlaczego nie pozwolono nam odwiedzić swoich najbliższych? Rosło przeświadczenie, że nie chodzi tu o jakieś doraźne zadanie w zasięgu kilkuset kilometrów. Doraźna "rada seniorów" wysunęła koncepcję ewentualnej dezercji, czyli zwykłej ucieczki z pociągu na trasie, jeżeli nie zostanie my poinformowani dokąd mamy jechać.

W rachubę wchodziły trzy kierunki: kierunek wschodni do Kaganady; kierunek północno-zachodni do Pietropawłowa i dalej do Swierdłowa lub Omsk i Nowosibirsk oraz kierunek zachodni - Kagnitogorsk. Nocą ruszyliśmy na zachód przez Żaktyr, gdzie przebywały nasze rodziny. Na stacji Żaktyr wszyscy członkowie brygad

solidarnie opuścili transport i skrycie udali się do swoich rodzin. Wcześniej ustaliliśmy, że następnego dnia rano wszyscy dorośli udadzą się do odległej o trzynaście kilometrów Astrachanki - siedziby rejonu - celem dopełnienia obowiązku meldunkowego w związku z nakaznym opuszczeniem stałego miejsca pobytu i wyjazdu w nieznaną, ja natomiast zamelduję naczelnikowi III-go Strojuczastka Budowy Linii Akmolińsk-Kartały, że członkowie brygady opuścili transport aby dopełnić obowiązku wymeldowania i załatwienia niezbędnych formalności w rajwojenkomacie.

Przypadek mi w udziale niezwykle niewdzięczny a zarazem odpowiedzialny obowiązek doniesienia przełożonym o popełnianiu wykroczenia, a właściwie dezercji całej brygady z frontu pracy. Byłem jednak świadomy swego bezpieczeństwa wobec prawa jako nieletni, co ułatwiało mi przykrą konfrontację.

W pierwszej chwili reakcja zaatakowanego naczalstwa wbrew oczekiwaniom była spokojna. Zostałem wyproszony z gabinetu z poleceniem oczekiwania na dalsze dyspozycje. Niebawem w oczach przełożonych zauważyłem autentyczny strach. Moje odczucie, że oni się boją bardziej niż ja nie rokowało niczego dobrego. Tego dnia kilkakrotnie stawałem przed oblicze naczelnego i proizwoditiela robot. Relacjonowałem jak na spowiedzi uzgodniony przebieg zdarzeń notując, że wcześniej wielokrotnie ostrzegano nas o zakazie swawolnej zmiany miejsca pobytu bez zgody władz i dopełnienia obowiązku meldunkowego w rajwojenkomacie, że skłonił nas do tego absolutny brak informacji co do nowego miejsca pobytu i oczywiście potrzeba kontaktu z rodzinami. Nie były to rozmowy przyjemne. Przez trzy dni nie było żadnej dyspozycji w sprawie pracy i dalszych losów brygady. Do pracy nie dopuszczano - jak sądzę -

aby nie akceptować karygodnej samowoli, nie było też dyspozycji wyjazdu do miejsca przeznaczenia opuszczonego transportu. Po trzech dniach sprawa najwidoczniej się wyjaśniła. Do karnej deportacji dezertków do miejsca przeznaczenia nie doszło. Humory "komsostawa" wyraźnie się poprawiły. Zapewne uwolniono ich od winy i być może oczekiwanej kary

Z korespondencji, jaka niebawem nadeszła od osób, głównie kobiet, które w spisku nie uczestniczyły i wyjechały dowiedzieliśmy się, że transport skierowano na Ural, zatrudniając ludzi w kopalniach rudy żelaza i cynku. Był to surowiec o szczególnym znaczeniu strategicznym. Dalsze korespondencje oraz wiadomości o sytuacji bytowej, chorobach i kalectwach były przerażające i wręcz tragiczne.

Kamarna brygada została rozwiązana. Członkowie brygady zostali rozproszeni po różnych odcinkach pracy. Ja zostałem przydzielony do zmechanizowanej kolumny Diergaczowa, która wraz z kompletnym wyposażeniem w maszyny i urządzenia do układania torów oraz wagony mieszkalne została skierowana na "stodiesiątą straż Dżekas-gan"- kierunek Bajkonur.

Tu w pustynnej scenerii, gdzie podstawowym problemem było zdobycie wody miałem możliwość przekonać się naocznie o potęgze islamu. Pierwszą dostawą wody gospodarczej stwarzając możliwość dopełnienia rytualnego obowiązku zmycia stóp przed modlitwą ujawniła prawdziwą hierarchię obowiązków w indywidualnej ocenie wiernych. W promieniach piekącego słońca w czasie pracy ubrani często w kożuszone portki tubylcy odwróceni na wchód pokornie byli pokłony, zanosząc do Allacha błagalne modły w zrozumiałym tylko przez siebie języku.

Nie. To nie było miejsce dla mnie. W kolumnie Diergaczowa nie

nie byłem znany. Uznałem to jako mój atut. Uciekłem więc przy pierwszej okazji dostawczym pociągiem. Ryszykując wiele - miałem tylko dokument zastępczy - dotarłem szczęśliwie do Karagandy i do Akmolńska, gdzie udaję grupca, jak gdyby nigdy nie zgłosiłem się do pracy. Nie miałem odwagi wrócić do Żańtyru. Tym samym moje drogi rozeszły się na zawsze z grupą Polaków deportowanych z Bielska Podlaskiego i jego okolic.

Nadeszła zima. Zostałem okresowo skierowany do pracy w Zagot-sieno w miejscowości i stacji kolejowej Karadyr, a w dalszej kolejności przeniesiony na rozjazd pomiędzy Akmolńskiem i stacją Wiszniowka na trasie kolejowej do Karagandy.

Tu przebywałem z matulą i Danusią Nieścior, osieroconą córką kierownika Szkoły Powszechnej Nr 2 w Bielsku Podlaskim, straconego w obozie dla internowanych oficerów w Starobielsku. Żanim doszło do przeprowadzki i połączenia rodziny musiałem nielegalnie jeździć do Żańtyru aby utrzymywać w miarę stały kontakt z matulą, która bardzo przeżywała moją nieobecność i bolała nad moim losem.

Zakazane podróże

Komandirówka, czyli oddelegowanie do pracy na czas nieokreślony w praktyce oznaczała brak możliwości legalnego powrotu do miejsca zamieszkania przed zakończeniem sadania. W czasie wojennym jazda pociągami towarowymi była zakazana i surowo karana. Na stacjach niemal wszystkie pociągi penetrowały patrole wojskowe lub kolejowe ekipy NKWD. Ryszykując jazdę można było zarobić kilka latek przymudzikowki. Mimo to kontakt z domem i matulą był koniecz-

czny. W okresie letnim i jesienią niebezpieczne sytuacje można było przetrwać przysypując się węglem lub wyskakiwać z pociągu w biegu. Problemy powstawały z nadejściem zimy. Oczekiwanie w bezruchu na odjazd pociągu w otwartej węglarce lub na węglu przy kilkudziesięciostopniowym mrozie było szaleństwem. Takie ryzykowne rajdy do Żałtyru z Almołińska lub Karadyru z konieczności musiałem ograniczać do koniecznego minimum.

Na szczęście przez przypadek zorientowałem się, że problem względnie bezpiecznej jazdy zimą można rozwiązać w zaskakująco prosty sposób. Oto parowozy typu "Siergo Ordżonikidze" są specjalnie przystosowane do eksploatacji w warunkach stepowych i na obszarach ubogich w wodę. Posiadają one specjalne urządzenia służące do schładzania wykorzystanej pary i jej skraplania. Boczne ściany tendra tego parowozu skonstruowane z odpowiednio dużej ilości płaskich rurek ochładzają^{parę} silnym strumieniem wymuszonej przez turbiny cyrkulacji powietrza. Wydalane na zewnątrz przez trzy turbiny powietrze nawet przy najsilniejszych mrozach jest ciepłe a nawet gorące. Wystarczyło zatem tylnymi drzwiczkami wejść do wnętrza tendra, gdzie temperatura sięgała do $+50^{\circ}\text{C}$ albo skrycie ulokować się na zewnętrznej osłonie turbiny, którą stanowiły stalowe siatki ochraniające i pokonywać trasę w warunkach wręcz komfortowych.

Było to odkrycie na swój sposób epokowe. Należy tu podkreślić, że w obu przypadkach groziła wpadka na patrol lub na obskute parowozu. Innej możliwości podróży w zimie jednak nie było. Trzeba było ryzykować. Matula oczekiwała mnie o każdej porze dnia i nocy, zawsze niespokojna, czy nie spotkało mnie coś złego.

Do pociągu zazwyczaj wskakiwało się w biegu. Tak było najbezpieczniej. Życie nie było jednak zbyt kaskawe i nie szczydziło niespodzianek.

Pewnej nocy na stacji Żałtyr wyjątkowo bezpiecznie wlażłem do tendra parowozu lokując się wygodnie pod tylną turbiną z przeświadczeniem, że czeka mnie wygodna jazda do samego Akmolińska. Rozczarowanie nastąpiło z chwilą, gdy ruszył pociąg. Okazało się, że system chłodniczy nie jest szczelny i wraz z zasysanym przez turbiny powietrzem do wnętrza przedostawała się gorąca para. Po kilku minutach byłem cały spocony, przesiąknięty wilgocią i pozbawiony powietrza.

Ogarnął mnie paraliżujący strach. Zdawałem sobie sprawę, że około trzech godzin jazdy do Akmolińska w takich warunkach nie wytrzymam. Trzeba było szukać jakiegoś ratunku. Wirujące nad głową na pełnych obrotach turbiny ograniczały swobodę manewru. Metalowe drzwiczki, przez które dostałem się do środka nie ustępowały. Czyżby je ktoś zaryglował od zewnątrz? To oznaczało tragiczny koniec. Strach przeradzał się w przerażenie ograniczając zdolność do rzeczowej analizy i oceny sytuacji. Przecież nikt do tylnej ściany tendra nie podchodził. Każdy krok na zewnątrz w czasie postoju było doskonale słychać. Należało więc wnieść, że drzwiczki blokujące dostęp do świeżego powietrza nie mogą być zaryglowane. Należy je za wszelką cenę chociaż trochę otworzyć. Wpierając się nogami w pozycji pękającej stwierdziłem, że pod silnym naciskiem drzwiczki ustępują. Zrozumiałem, że siła ssąca turbin jest tak znaczna, że pokonanie jej nie będzie łatwe. Uwierzyłem jednak, że mi się to uda. Pozostał zatem problem jak zamknąć uchyloną klapę aby zapewnić ciągły dopływ życiodajnego

powietrza. Udało się to przez wciśnięcie między drzewiczki i tylną ścianę tendra skrawka rękawicy. Byłem u kresu sił. Przymaknąwszy twarz do wąziutkiej szczeliny oddychałem całą pierśią jak wyjęta z wody ryba. Zanim dojechałem do Almolínska na koźnierzu, brwiach a nawet rzęsach ukształtowały się spore nawisy lodu.

Z wyjściem na zewnątrz nie miałem już żadnego problemu. Przed semaforem pociąg toczył się własnym rozpędem. Turbiny jak ruletka leniwie wytrącały obroty aby następnie zatrzymać się w bezruchu. Kilka rutynowych kroków na szerszak, szczeble bocznej drabinki i skok. Technika wskakiwania i wyskakowania z pociągu miałem opanowaną do perfekcji. Wysiadka w odległości około kilometra od stacyjnych torowisk była stosunkowo bezpieczna. Tu zazwyczaj patroli nie było.

Aby dotrzeć do baraku na "kirpiemnyj" trzeba było pokonać jeszcze prawie dwa kilometry. Beschmurne, gwiazdziste niebo i ostre, wręcz lodowate powietrze po przebytej łaźni przypominało, że jest prawdziwa zima. Byłem cały spocony a odzież całkowicie przemoczona. Różnica temperatur, w jakiej przebywałem przed chwilą wynosiła co najmniej 70 stopni Celsjusza. Samotny spacer w nocy nie należał do przyjemności. Po kilku minutach marszu cała zewnętrzna odzież zeszywniała i zamarzała na kość. Na miejscu w baraku stwierdziłem, że podczas tego marszu "pokamały" mi się pod kolanami spodnie i trzeba je zaszyć przed wyjściem do pracy.

Od tej pory starałem się unikać tego rodzaju przyktych niespodzianek. Nieszczęelną armaturę układu chłodniczego w Siergo Ordionikidze rozpoznawałem węchem natychmiast po otwarciu drzwi. Tak, tendra. Jakby nie było, pomimo przykrych niespodzianek i zda-

rzeń w zimie parowóz ten stanowił najbardziej komfortowy i stosunkowo bezpieczny środek lokomocji w warunkach bezwzględniego zakazu podróżowania.

Nocny koncert w Karadyrze

W styczniu 1944 roku na kilka tygodni zostałem skierowany do pracy w zagotowano przy brykietowaniu przeznaczonego do transportu kolejowego siana. Na obszarze kilkunastu hektarów w okresie letnim zgromadzono go tu i uformowano w olbrzymie stogi duże ilości. Miał to miejsce w bezpośrednim sąsiedztwie stacji kolejowej Karadyr. Z Polaków byłem tu sam. Podobno korzystałem z przywileju lżejszej pracy.

Do obowiązków kilkunastoosobowej załogi złożonej głównie z tubylców i trzech osobników oddelegowanych z zewnątrz należało mechaniczne brykietowanie siana, transport wołami na rampę i załadunek na wagony. Siłą pociągową stanowiły woły. Były one przedmiotem naszej szczególnej troski i odpowiedzialności o każdej porze dnia i nocy a jednocześnie naszymi współlokatorami za sprawą wspólnego saraju, przez który trzeba było przechodzić do izby. Nie było to zadanie łatwe w zimie, ze względu na brak wody i nieśmowne mrozy.

Monotonia pracy poza nocnymi zmaganiem z plagą myszy, które atakowały wszystko, co nadawało się do jedzenia oraz wypadami na przejeżdżające pociągi po węgiel nie stwarzała jakichkolwiek szans na godziwą rozrywkę. Po pierwszej nocy stwierdziłem z przekonaniem, że myszy zjadły w całości trzydniowy przydział chleba. Pewnie, że skrzętnie schowałem go pod poduszkę. Trzeba więc było

radzić sobie, gotując z maki popularną lemoszkę. Przy pierwszej okazji myszy same wskazały drogę do własnej zagłady. Wkazyły do płaskiego garnka by się pożywić resztkami lemoszki i trzeba było tylko przesunąć drewnianą pokrywkę aby je uwięzić. Dalej wystarczyło postawić nad otwartą fajerką garnek odwrócony do góry dnem i wyciągnąć pokrywkę. Tylko raz udało się dwóm myszom wyślizgnąć z zasadzki, wskoczyć na ramię i uciec. W taki sposób skończył się raj dla znienawidzonych myszy. Były na tyle bezczelne, że podczas snu atakowały palce rąk i nóg. Spanie w grubych skarpetach lub obuwiu było tu zwyczajem.

Nastaly "kreszczenski je morozy" - dni słoneczne i mroźne. Po obu stronach słońca pojawiły się pionowe, lśniące przeraźliwym blaskiem słupy. Temperatura spadała poniżej minus 50°C. Przy takim mrozie ślina zamarza w locie zanim dotrze do buta a zamknięcie oczu powoduje przymarzanie powiek. To znak, że wychodząc z pomieszczenia należy chronić nie tylko uszy ale całą twarz. Rażące promienie słońca na tle śnieżnej bieli skutecznie atakowały swym blaskiem oczy, wywołując za sprawą siennego kurzu dokuczliwe zapalenie spojówek. W takie dni i lśniące gwiazdami noce mróz daje znać o sobie nie tylko ludziom. Jego skutki odcałwa wszystko, co żyje a odgłosy swoistej kanonady pękającego drewna potwierdzają, że w tym oślepiającym, białym piekle istnieje życie również poza naszą sadybą.

W takiej scenerii, daleko od swoich przychodzą do głowy różne myśli, trudno jednak oderwać się od ponurej rzeczywistości. Ta rzeczywistość, to lodowa pustynia i grasujące watachy wygłodzonych wilków. W skłębionej z brykietów prasowanego siana sianiance czuliśmy się w miarę bezpieczni. Kradzionego z pociąg-

gów węgla mieliśmy pod dostatkiem. W ziemiance było ciepło. Jedynie nocne eskapady i od czasu do czasu blokada ziemianki przez wilka nie należały do przyjemności. Meldowaliśmy o tym wielokrotnie ale najprawdopodobniej nie dawano temu wiary. Ilekroć organizowano zbiorowe obławy i zasadzki stosując nawet przynęty w postaci baraniny a nawet żywych owiec nie odstrzelono ani jednego wilka. Myśliwi stosowali najbardziej wymyślne sztuczki kryjąc się na stogach siana lub w ich wnętrzu - i nic. Mówiło się, że wilki na znaczną odległość nawet pod wiatr wyczuwają myśliwych i proch.

Pewnej nocy nieoczekiwanie najedliśmy się strachu, jak nigdy. Wilki podjęły prawdziwy szturm na naszą sydybę. Szalone ataki wygłodzonych i rozwścieczonych, prowokowanych zapewne obecnością i zapachem rogacizny bestii, obleganie oświetlonego kagańcem umieszczonego na równi z ziemią okienka, niesamowite zachowanie i przeraźliwy ręk wołów wywołały odczucie prawdziwego strachu i grozy. Nie byliśmy w stanie przewidzieć, do czego w takiej sytuacji zdolne są woły. W każdej chwili mogły się urwać i sforsować wrota do saraju. Staraliśmy się je utrzymać na uwięzi i uspokoić. Samo przebywanie w saraju można było przypisać życiu. Jeden z nas z łomem w ręku asekurował okno. Zdawało się, że wilki zdają sobie sprawę, że okno, to najkrótsza droga do asalejącego z przerażenia bydła. Wskazywały na to bezczelnie lśniące wilcze ślepie. Być może poczucie bezsilności rozwścieczonej watachy nie wiedzieć kiedy, równie nieoczekiwanie, jak atak nagle zmieniło zachowanie wilczego stada. Rozległo się trągnięcie wymowne i żałosne wycie jednego wilka, czyżby przywódco stada? Zaskoczeni nagłą zmianą sytuacji nadal podszyci strachem

skuchaliśmy tego przedziwnego solo z ciarkami i uczuciem dreszczy na całym ciele. Milczeliśmy, jak zahipnotyzowani. Przez fragment odmrożonego okna na tle płynącej z okrągłej tarczy księżycy poświaty w otoczeniu stada na tylnych łapach siedział z majestatycznie wyciągniętą w kierunku księżycy szyją basior, sanosząc do nieba przedziwne modły? I stało się coś wyjątkowego wręcz nieprawdopodobnego. Oto zaczęło wyć całe stado wilków. Różnorodność tonacji, barwy i natężenia głosu w swoisty sposób zagodziła niesamowicie żalosną i przerażającą arię prowadzającą, nadając tej wilczej symfonii swoisty rytm i charakter niepowtarzalnego i trudnego do opisanie koncertu.

Nieco odprężeni i uspokojeni skuchaliśmy tej muzyki urzeczeni i oczarowani. Zaczynało świtać. Watacha wilków z zadziwiającą zręcznością i spokojem rozpłynęła się wśród zarysowujących się na horyzoncie stogów siana.

Niebawem mieliśmy tam podjąć codzienny trud brykietowania, załadunku i transportu siana. Pozostało niezapomniane przeżycie i wspomnienie.

Na rozjeździe

Niesubordynacja i dwukrotna ucieczka z miejsca przymuszonej pracy najwyraźniej nie znajdowały zrozumienia i aprobaty kierownictwa dobiegającej końca budowy. Nie pojechałem na Urał, musiałem jechać gdzieś indziej.

Tym razem z Karadynu skierowano mnie do pracy w bazie materiałów pędnych przy MTS na rozjeździe kolejowym pomiędzy Almolinskim i stacją kolejową Wiszniówka. Przy tak znacznej odległości od stałego miejsca pobytu i utrudnieniach komunikacyjnych trudno było utrzymać ciągłość kontaktów z domem. Nie bez trudności udało mi się jednak uzyskać zakwaterowanie w wydzielonej części ziemianki w nowym miejscu pracy. Stworzyło to realne możliwości ściągnięcia matuli i wspólnego zamieszkania. Niestety, rozwiązanie to oznaczało zerwanie dotychczasowych więzi z pozostałą grupą deportowanych z Bielska Podlaskiego Polaków i niemal całkowitą izolację z tym środowiskiem. Innego rozsądnego wyjścia jednak nie było.

W odróżnieniu od Biejnietkoru ziemianka tutejsza była znacznie cieplejsza, a z opałem w zasadzie problemu nie było. Wystarczyło wieczorem lub w nocy wskoczyć do stojącego przed samaforem lub jadącego pociągu z węglem, zrzucić ile trzeba i przystaskać do chałupy. Co prawda, za kradzież węgla także można było sainskasować niezły wyrok ale dla rutyniarzy nie było problemu. Po prostu trzeba było to robić, gdy padał śnieg lub podczas zamieci aby nie pozostawić na ziemi widocznych śladów. Tu bylecy robili to samo i nikt na nikogo nie donosił. Trudne czasy w stosunkowo nielicznym środowisku odizolowanej od świata społeczności sprzyjały nawiązywaniu trwałych i przyjaznych więzi.

Ziemianka, w której przysało nam mieszkać ponad pół roku obejmowała kwadratowe pomieszczenie mieszkalne i wydłużoną sien, oddzielającą część mieszkalną od bezpośredniego kontaktu z mrosem. Sien stanowiła ponadto zaplecze gospodarcze. Tu wegetowaliśmy we troje z matką i Danusią. Nieścior, która po śmierci jej matki i wstąpieniu brata Zygmunta do Szkoły Oficerskiej WP w Rjazaniu znalazła opiekę w naszej Rodzinie. Jako jeden z całej trójki trudosposobny, czyli zdolny do pracy znalazł się w towarzystwie deportowanych z Kaukazu Czyczenów i Inguszków oraz nielicznej grupy tubylców różnego pochodzenia, wyznania i narodowości.

Praca przy zaopatrywaniu lokalnych odbiorców w materiały pędne jak benzyna, olej napędowy, oleje silnikowe i smary stała się trudna, ciężka i brudna. Pietisotki, czyli pięćsetlitrowe, żelazne beki trzeba było wtaczać i wytaczać po oblodzonej powierzchni do wykopanego w ziemi lochu oraz ładować na środki transportu i wyładowywać, co wymagało zarówno siły jak i zręczności. Osobiście miałem trudności na każdym kroku, szczególnie w okresie początkowym podczas zimy. Brak niezbędnego doświadczenia życiowego i wiedzy w tej branży a także siły dawały o sobie znać na każdym kroku.

Pewnego, bardzo mroźnego poranka przelewając z beczki do wiadra benzynę nieopacznie oblałem sobie pimy - bite wołki - i nie zdając wcale sprawy z niebezpieczeństwa tylko przez przypadek nie odmroziłem sobie nóg. Nie wiedziałem, że filce z łatwością wchłaniają benzynę o bardzo niskiej temperaturze zamrażania. Niebawem w tych normalnie bardzo ciepłych wołkach temperatura spadła poniżej zera. Na szczęście byłem zaledwie o sto metrów od domu. Później dowiedziałem się od znawców problemu,

że przy niskich temperaturach wychodząc z domu należy piny najzwyczajniej oblać wodą, a gdy ta zamarźnie ani benzyna, ani inne produkty naftowe nie będą miały styczności z obuwem. Jakież to zaskakująco proste?

Tu, na podrzędnym rozjeździe kolejowym, gdzie pociągi załadowane węglem z Karagandy zazwyczaj przyhamowywały przed semaforem aby następnie wymienić na stacji w biegu żezko - urządzenie blokujące system zabezpieczenia ruchu pociągów - przeżyłem aż dwa przykre, godne odnotowania zdarzenia.

Rejon magazynu materiałów pędnych dniem i nocą na zmianę był strzeżony przez dozorców. Jednym z nich był deportowany po agresji hitlerowskiej na Sowiety godnego wzrostu, silnie zbudowany Ingusz. W chwilach wolnych a niekiedy i po pracy prowadziłem z nim ciekawe dyskusje. Łączył nas wspólny los i wspólna bieda. Jego całą rodzinę wywieziono do Kazachstanu bez odpowiedniej odzieży, obuwia i przedmiotów codziennego użytku. Żona i dzieci musiały siedzieć w domu, bo nie było się w co ubrać, a wspaniałe, zrobione z ołamentowanej skóry gralskie kierzpce dobre były do chodzenia tylko po domu. Wiele dowiedziakem się od niego o surowych zwyczajach ludzi zamieszkujących Kaukaz, ich bezwzględne obyczaje moralne, zwyczajowe prawo dominacji mężczyzn nad kobietami, umowny kodeks honorowego rozstrzygania sporów między mężczyznami, w tym o kobiety - słowem coś z folkloru naszych górali.

Ten Ingusz uśmieł się serdecznie, gdy opowiedziakem mu znana anegdotę, jak na Podhalu sądzili górala za zabójstwo:

Na postawiony przez sędziego zarzut, że zabił człowieka góralski odparkł: Nie proszę wysokiego sądu, jom go nie zabił.

No ale kęście go uderzyli - kontynuuje sędzia.

Ano, uderzyć tam go uderzył.

Przecież ten człowiek więcej nie wstał - skonstatował sędzia.

Nie miał prawa prosić wysokiego sądu - rzekł oskarżony.

Nie przypuszczałem w tym czasie, że ten żart może kiedykolwiek znaleźć realną replikę tutaj, z dala od gór. A jednak. Pewnego przedwiosennego poranka, gdy przyszedłem jak zwykle do roboty podszedł do mnie kończący nocną zmianę Ingusz z zapytaniem, czy przypadkiem nie zrobiłem mu kawału i nie schowałem służbowego tułupa. Wspaniały, długi do samej ziemi kożuch z ogromnym kołnierzem, którym można było opatulić całą głowę chroniąc zmieniających się stróżów przed zimnem. Tego ranka nie wiedziałem czemu wpadło Inguszowi do głowy aby przed końcem zmiany wpaść na chwilę do domu. Odległość była niewielka, prawie w zasięgu warkotu. Zdjął więc kożuch i położył przy wejściu do piwnicy. Niestety, po powrocie koraicha już nie było.

Gdy odpowiedziałem, że jestem daleki od takich żartów spokojnie lecz stanowczo, kalecząc jak zwykle rosyjski orzekł: "Uoju swołocz. Pajmaju, morda swiniam gawnam smieszaju!" W tym momencie wykonał znamienny ruch okutą w stalową rękojesć góralską ciupagą, z którą nigdy się nie rozstawał.

Przez dwa dni nie było żadnych informacji. Kożucha jak nie było, tak nie było.

Z relacji naocznych świadków dowiedziałem się, że trzeciego dnia rano stróż zdobył informacje, że tułup zabrał naczelnik MTS (maszyno-trektornej stacji) i schował w swoim gabinecie. Wiadomość ta przesądziła sprawę. Urażony ambicjonalnie i rządny samsty Ingusz wtargnął do gabinetu naczelnika, wrzasnął co się dał "ty swołocz zwarował moja tułup" i z całej siły wymierzył cios

stalowym ostrzem ciupagi w środek czoła.

Nie uciekał. Spokojnie poszedł do domu. Niebawem go zabrano. Pozostawił na łaskę losu żonę i dwoje małych dzieci.

Życie na rozjeździe obfitowało w różne niespodzianki. Po zakupy trzeba było jeździć na gapę do Akmolińska albo do Wieszniówki. Karaganda nie wchodziła w rachubę ze względu na zastrzone rygory, patrole i nieustanne penetrowanie terenu przez NKWD. Mimo to, wbrew surowym zakazom jeździło się pociągami towarowymi, lekceważąc wszelkie zagrożenia.

Pewnej nocy zimowej wracając do domu na rozjazd ulokowałem się wygodnie na tylnej siatce turbiny parowozu Siergo Ordżonikidze. Z prawdziwą rozkoszą pływilem się w przyjemnym powiewie gorącego powietrza i marzyłem o sobotniej kolacji oraz niedzielnym wypoczynku, jako że tu niedziele miałem wolne. Z trudem pokonywałem senność aby nie przegapić semafora docelowego rozjazdu. Wyskakiwanie w nocy zawsze niesło ze sobą pewne zagrożenie, dlatego też w zimie bezpieczniej było wyskakiwać z bocznych schodków tendra, wykorzystywanych przez obsługę parowozu przy nabieraniu wody.

Nie przeczuwając niczego złego zbliżając się ^{do} celu podróży, jak zwykle wstałem i w pozycji stojącej zacząłem po ciemku kroczyć do przodu w kierunku bocznego zejścia. Gdy stąpiłem na drugą połówkę siatki ochraniającej środkową turbinę krok okazał się tragiczny. Jedynie przez ułamek sekundy zdołałem zauważyć strumień wypląjących się z turbiny iskier i przerażony, niemal nieprzytomny wylądowałem na siatce przedniej turbiny. Po chwili oszołomienia zorientowałem się, że na środkowej turbinie nie było całej połówki siatki ochronnej, czego w ciemności nie mo-

głem zauważyć. Zrobiłem więc krok wprost na wirującą turbinę. Strach i przerażenie nie pozwalały jednak na rzeczową ocenę sytuacji. Dopiero potem uświadomiłem sobie, że miałem wyjątkowe szczęście. Rzuciło mnie w kierunku marszu. Upadek na lewo lub prawo oznaczał upadek z dużej wysokości wprost na skarpę nasypu i niechybną śmierć lub kalectwo. Leżałem nad kolejną, wirującą turbiną sam, sparaliżowany strachem i niezdolny do podjęcia jakiejkolwiek decyzji. W ostateczności mogłem ryzykować pomoc obsługi parowozu. Słyszałem jednak opowieści, że były przypadki wrzucania do paleniska parowozu przygodnych pasażerów, w tym również powoływanych do wojska rekrutów li tylko dlatego aby zdobyć prowiant lub po prostu kartki na chleb. Wariant taki odpadł.

Zacząłem obrasywać nogę. Odbierane po ciemku bodźce czuciowe nie wyjaśniały sprawy do końca. Nie potrwiliem skonstatować, czy dotykam całą nogę bosą, czy też jej kikut? Przecież przed chwilą byłem w skórzanych trzewikach... Czasu nie było wiele. Za chwilę przed semaforem *vis à vis* chaty trzeba wyskoczyć z pociągu. Stąd jest najbliższej, niespełna sto metrów od toru. Widać już zarys oświetlonego okna. Tu zawsze z niepokojem oczekiwała matka. I tym razem czekać będzie tak długo, aż wrócę. Wiedziała, że napewno wracam dzisiaj.

Nie miałem wyboru. Bez względu na to, co z nogą, posługując się kolanem przesuwam się do bocznego zejścia i pokonuję szczeble bocznej drabinki aby wykonać skok, a właściwie świadomy upadek na odnieszoną skarpe. Jak zwykle przed semaforem pociąg nieco zwolnił. Wiedziałem, że odbicie sprawną nogą od dolnego szczebla drabinki i lądowanie całym ciałem na bark jest ryzykowne, ale w tej sytuacji równie ryzykowny był skok na nogi. Po dwukrotnym kocz-

waniu wylądowałem bez dodatkowych obrażeń. Teras miałem czas na rozważania. Siedziałem więc na śniegu i w śniegowej poświacie bezksiężycowej nocy stwierdziłem, że noga jest cała i na^{wet} nie krwawi ale z buta zostały tylko cholewki. To ogromna strata! Gdzie tu w tych warunkach zdobyć nowe buty? Co powiem matuli, gdy zapyta, co się stało? Po głowie plątały się różne myśli... Nie. W takim stanie i z takim opóźnieniem od przejazdu pociągu nie wolno mi iść do domu. Trzeba odczekać, aż nadejdzie kolejny pociąg, w przeciwnym razie grozi podejrzenie, że coś jest nie tak, jak trzeba.

Wciąż murtowało mnie pytanie, dlaczego turbina nie ucieka mi nogi? Odpowiedź stała się prosta, gdy odtworzyłem sobie wzajemny układ płatów wirnika turbiny, która zasysa powietrze ze środka i tłoczy na zewnątrz, ku górze. Przy takiej szybkości turbiny noga nie mogła wpaść między płaty wirnika, mogła jedynie ślizgać się z płata na płat. Wyrzut na przednią turbinę był więc ocaleniem. Czyżby przeznaczenie?

W głowie huczało. Myśli błądziły chaotycznie podejmując kolejne próby oceny zdarzenia i powstałej sytuacji. Jak rozegrać scenariusz powrotu do domu? Co powiedzieć matuli?

Gwiżdżąc przeciągle przed semaforem z hukiem przetoczył się kolejny pociąg z węglem. Tak. To już pora. Za chwilę wszedłem do domu, jak gdyby nigdy nic. Szaby płomień naftowego kaganka tym razem był moim sprzymierzeńcem. Intuicja i spstrzegawczość matki okazały się jednak niezawodne. Na zapytanie, co się stało? odpowiedziałem spokojnie, absolutnie nic mam.

Jesteś taki blady....

Tak mam, jestem bardzo zmęczony i jedynie czego pragnę, to spać. Nie, nie jestem głodny. Idę spać. Tak będzie chyba lepiej,

pomyślałem
sobie w duchu. Rano będzie łatwiej wszystko wyjaśnić. Tak też się stało. Gdy nazajutrz opowiedziałem matuli, co zaszło, usłyszałem głębokie westchnienie i słowa wyrozumiałej otuchy, dzięki Bogu żyjesz. Uważaj synku, życie masz tylko jedno.

Nie było to życie łatwe. Pomyślnie wiadomości z frontu i zapowiedź ewakuacji rodzin wojskowych (Kościuszkowców) na zachód napawały jednak optymizmem. Rysowała się nadzieja i realna perspektywa powrotu do wyzwolonej Polski. Wkrótce marzenia zaczęły się przeistaczać w rzeczywistość. Staraniem Zygmunta Nieściora, absolwenta rjazańskiej szkoły zostaliśmy zakwalifikowani do grupy rodzin wojskowych. Stało się to za sprawą Danki Nieścior, siostry Zygmunta. Umieszczono nas na liście rodzin do reewakuacji. We wrześniu 1944 roku, gdy wyzwolono Chełm, Lublin i Białystok rozpoczęliśmy równie uciążliwą, co i radosną podróż na zachód w kierunku Polski. Tym razem było ciepło i bez konwojentów. Można było swobodnie opuszczać wygohy w czasie postoju. Zakładunek wagonów nastąpił w Akmolińsku, którego żegnałem bez odrobiny sentymentu. Danusia zostawiała tu na zawsze pogrzebaną matkę, nie wiedząc nawet, gdzie jest jej grób. W czasie pogrzebu przebywała w Żałtyrze. Matka zmarła w szpitalu w Akmolińsku. Na pogrzebie był tylko brat Zygmunt.

Przejeżdżając w drodze powrotnej przez Żałtyr byłem autentycznie szczęśliwy. Oby nigdy więcej. Tu przyszło mi utracić szczęśliwą i przeżyć koszmarną młodość.

Pozostając w tym przekonaniu nie miałem jednak pełnej wyobraźni i nie pomyślałem o tym, że inni w tym samym czasie musieli przeżyć jeszcze gorsze piekło. Uświadomiłem to sobie dopiero, gdy oczekiwaliśmy na przeprawę przez drewniany most kolejowy na rze-

ce Dniepr w miejscowości Kremieńczug.

Tu mieliśmy zapowiadziany całodzienny postój. W doszczętnie zrujnowanym i porytym transejami mieście sterczały kikuty walących się ścian całkowicie zniszczonych domów. Bezładne gruzowisko praktycznie uniemożliwiało rozpoznanie, któredy przebiegały ulice, a wygłodniałe i żałośnie mrużące koty uzupełniały tragiczny obraz doszczętnie zburzonego miasta. Tak, tu musiało być prawdziwe piekło. W tym koszmarnym rumowisku nie było żywego ducha, natomiast widoczne w rowach strzeleckich, wypłukane do białości szczątki ludzkich kończyn dopełniały grozy. I oto tuż obok wspaniały, urwisty brzeg spływającej bestrosko z hukiem rzeki, która zapewne broczyła krwią na całej swej długości, i tam misternie, choć na prędko zbudowany przez saperów most drewniany, przez który w żukim tempie przejeżdżają na front transporty. Widok z góry, z wysokości kilkunastu metrów na spienione wody żywiołowego Dniepru przyprawiał o zawroty głowy i skłaniał do głębokich refleksji. Przez tę niesamowitą w swej wymowie konstrukcji i widokowej scenerii przeprawę pociąg przeprowadzał specjalny maszynista-pilot. Zdawało się, że za chwilę cała konstrukcja mostu runie w spienioną otchłań Dniepru.

W czasie transportu na zachód, który trwał prawie sześć tygodni, czasu na rozmyślanie było dużo. Zdarzały się także tragedie. Oto na podrzędnej stycji kolejowej opodal Znamienki podczas postoju rozpalono ogniska aby ugotować strawę. Nagle przerażający huk odwrócił uwagę wszystkich na sąsiedni tor, na którym stał transport załadowany zniszczonym sprzętem wojskowym i trofejnym sprzętem. Widok był przerażający. Dwóch chłopców z naszego transportu na jednej z platform znalazło granaty ręczne, które usiłowali

rozbić na szynie. Eksplozja zrobiła swoje. Poszarpane ręce, pokaleczone szyje, pokrwawione twarze i ten niesamowity krzyk poszkodowanych a zaraz potem przerażający wrzask zrozpaczonych matek - to obraz, który pozostanie na długo w pamięci wszystkich świadków tej tragedii. Dzieciaków natychmiast odwieziono do szpitala, natomiast pozostali członkowie rodzin opuścili transport. Przeznaczenie, czy dalsze ofiary wojny na odległym zapleczu frontu?

Wreszcie dotarliśmy do kolejnego etapu naszej tułaczki. Stacja Potasz w kijowskim okręgu Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, a stąd do miejscowości Iwańki w mańkowskim rejonie. Pytanie, dlaczego nie dowieziono nas na tereny już wyzwolonej Polski, niestety pozostało bez odpowiedzi. Wśród licznej grupy Polaków, która tu przybyła nie było nikogo z Żaktyru ani spośród deportowanych w 1940 roku z Bielska Podlaskiego i jego okolic.

Iwańki

Ta malowniczo położona nad pięknym, przedzielonym na dwie części przez tor kolejowy jesiorem miejscowość spośród innych wyróżniała się tym, że istniała tu zbudowana przez Polaka w 1886 roku cukrownia i zbudowany później potężny sprżawod, obejmujący gorzelnię i zakład rektyfikacji spirytusu.

Obie te fabryki pomimo ciężkich walk i kilkakrotnego przechodzenia tej miejscowości z rąk do rąk nie zostały zburzone. Umachomiona je zaraz po przejściu linii frontu na zachód i pod-



● - Ivanki (miejsce pobytu w latach 1944-45)

Jęto kampanię cukrowniczą już jesienią 1944 roku.

Ludność była zdziesiątkowana z przewagą kobiet, starców i osieroconych dzieci. Potrzebni byli do pracy nowi ludzie. Niestety, zaopatrzenie w żywność wbrew oczekiwaniom fatalne. Od prawdziwego głodu ratowały buraki cukrowe, których tu do czasu zakończenia kampanii cukrowej było dużo, jednakże jedynym sposobem na ich zdobycie była kradzież. Miejscowi radzili sobie nieco lepiej, bo posiadali skromne zapasy ziemniaków, warzyw i owoców z własnych upraw. Niektórzy posiadali nawet własne krowy i mleko. Powszechnie brakowało chleba.

Większość Polaków zakwaterowano w obrębie ogrodzonego parkanem terenu cukrowni w dwóch jednopiętrowych blokach. W stosunkowo dużych pomieszczeniach, przeznaczonych zapewne na cele użyteczności publicznej rozlokowano po kilka lub kilkanaście przypadkowo dobranych rodzin. Zagęszczenie było tu szczególnie duże. Część przybyłych ulokowano w domach prywatnych jako lokatorów w drodze dokwaterowania. My znaleźliśmy zakwaterowanie u samotnej staruszki, której mały domek znajdował się na zewnątrz zamkniętego obszaru cukrowni w bezpośrednim sąsiedztwie bramy głównej z torem kolejki dojazdowej.

Pracy tu nie brakowało. Główną zajęcie stanowił rozładunek buraków cukrowych, czynności związane z obsługą transportu buraków ze składowisk do fabryki oraz praca w samej cukrowni.

Z różnych możliwych ja zdecydowałem się podjąć pracę na stanowisku ochrannika pożarno-storożewej ochrony, czyli strażnika i strażaka. Liczyłem, że tu będzie cokolwiek łatwiej niż przy burakach. Istotnie, praca w systemie zmianowym po 12 godzin na dobę nie była zbyt ciężka ale i nie dawała żadnej szansy na zdobycie dodatkowych profitów. Jedyne, co przynosiło pewną korzyść, to

nieograniczona możliwość polowania na gawrony, których jesienną porą i na wiosnę było tu pełno. Niekiedy tysiącami oblegały olbrzymie topole tak, że przy odrobinie szczęścia można było "zjechać" trzy sztuki za jednym strzałem z karabinu. Do własnej dyspozycji miałem bardzo udany, celny egzemplarz trofejnego mauzera. Z nabojami nie było żadnego problemu. Było ich pełno w okolicznych lasach. Niemcy w ostatniej bitwie po obfitych opadach deszczu stracili tu olbrzymie ilości czołgów, opancerzonych transporterów i innego sprzętu zmechanizowanego, a także duże ilości innej broni i amunicji. Pokonanie zabagnionych i grząskich terenów okazało się w praktyce niemożliwe, natomiast jedyną drogą ucieczki nasypem kolejowym została zablokowana przez wysadzenie mostu. Niemcy oblewali benzyną i palili wszystko, co się dało i uciekali, jak komu wypadło.

Gawrony były całkiem smaczne, pomimo braku tłuszczu i przypraw. Głodowa egzystencja robiła swoje. Jako strażnik miałem baczność na wszystko, co się dzieje. Wielokrotnie ujawniałem próby wynoszenia poza bramę zakładu kradzionego cukru, buraków lub melasy. Robili to również Polacy. Za każdym razem, a w szczególności, gdy wychodziła nocna zmiana stawałem wobec konieczności wyboru, zdemaskować i pozbawić pracy, czy też puścić?

Przemykanie oczu oznaczało współudział w kradzieży i tolerowanie przestępstwa. Z drugiej strony dla wielu ludzi był to jedyny sposób na przetrwanie. Nie znoszę hipokryzji. Nie w moim charakterze jest również rozdwojenie jaźni i postępowanie wbrew prawu. Nie byłem w stanie dźwigać na sobie tak znacznego obciążenia psychicznego. Zdecydowałem się więc na zmianę pracy tym bardziej, że namawiano mnie abym przeszedł na parowóz jako pomocnik maszynisty.

Wyższa szkoła charakteru i deprawacji

Po tygodniowym przeszkoleniu praktycznym zasiadłem po lewej stronie kotła, spoglądając na otoczenie z góry dumnie i pogardliwie. Osobom obcym wstęp na parowóz był surowo wzbroniony. Czasy wcale nie były bezpieczne. Na znacznych obszarach wyzwolonej Ukrainy grasowały zorganizowane bandy oraz zwykli rabusie i złodzieje. O zgrupowaniu Banderowców i ich zbrodniczej działalności krążyły niesamowite opowieści. Ludzie bali się ich jak zarazy.

Na parowozie mieliśmy niemieckie mousery, szybkostrzelne pepesse i na wszelki wypadek po kilka granatów. Praca na dwie zmiany. Zmiana trwała całą dobę, po czym następna doba była przeznaczona na wypoczynek. Najtrudniej było oświecić pod koniec zmiany, kiedy senność skutecznie ograniczała czujność i zniewalała cały organizm. Do tego ten podły węgiel. Każdego dnia inny. Od czasu do czasu trafiał andracyt, częściej niskokaloryczny z dużą zawartością żu i kamienia sztyb, czasami karagandziński "fiodorowski płast", a niekiedy wręcz fantastyczny węgiel koksujący. Utrzymanie wymaganego ciśnienia w doszczętnie wyeksploatowanym parowozie nie było rzeczą łatwą, jednakże prawdziwa trudność polegała na sprawnym czyszczeniu paleniska przy zachowaniu pełnej sprawności kotła i podstawowych jego parametrów.

Andracyt potrafił topić ruszty i łatwo je było uszkodzić przy odrywaniu żużla stalową piką. Całe płyty tego rozżarzonego stopu trzeba było wyciągać przez drzwiczki, wdychając jednocześnie znaczące dawki trującego tlenku węgla.

Ze sztybem bywało znacznie gorzej. W czasie czyszczenia rusztów ogień wygasał całkowicie i szybko spadała temperatura, co przy odpowiednio wysokim ciśnieniu powodowało przecieki z siatki

czołowej kotła. Na domiar złego rury żarowe taw.płomieniówki były z innego materiału niż siatka czołowa. Różne współczynniki rozszerzalności materiału powodowały, że przy nagłej zmianie temperatury powstawały szczeliny i tryskała woda. Aby nie dopuścić do tragicznego w skutkach wygaszenia paleniska trzeba było na własną rękę kombinować mazut dla okresowego podtrzymania ognia lub kraść podkłady kolejowe.

W czasie jazdy pod górę przy znacznym obciążeniu często trzeba było ryzykować utrzymywanie niskiego poziomu wody w kotle aby nie obniżyć nadbyt ciśnienia, ryzykując możliwość wytopienia umieszczonych w sklepieniu paleniska bezpieczników. Wystarczyła chwila nieuwagi aby wytopiony ogół spowodował natychmiastowe zalanie i wygaszenie ognia. Wycofanie z eksploatacji parowozu w czasie wojny na zapleczu frontu oznaczało wyłącznie sabotaż i pociągało za sobą surowe konsekwencje.

Praca na parowozie była ciężka, nerwowa i niebezpieczna. W tym czasie celem napadów rabunkowych na pociągi było zdobycie spirytusu, żywności i artykułów spożywczych, w tym głównie zboża. Osobiście nie przeżyłem autentycznego napadu rabunkowego na pociąg przez zorganizowaną bandę, jak to przedstawiają westerny, nie mniej jednak przeżyłem atmosferę groźby takiego napadu.

Pewnej nocy pokonując nie bez problemów wzniesienie z pełnym obciążeniem po prawej stronie toru w lesie dostrzegliśmy czerwone światło. W tym - raczej nieuczęszczanym - miejscu należało się liczyć z próbą zatrzymania pociągu w celach rabunkowych. Trzeba było natychmiast coś postanowić. Decyzja należała do maszynisty. O zatrzymaniu pociągu nie było mowy, chociaż należało brać również pod uwagę prawdziwe ostrzeżenie o uszkodzeniu toru lub innym

niebezpieczeństwie. Na wszelki wypadek maszynista ograniczył szybkość pociągu do szybkości względnie bezpiecznej. Sami w pozycji leżącej zalegliśmy w środkowej części węglarki, co w pewnym stopniu chroniło nas od ewentualnych strażaków z boku zapewniając jednocześnie możliwość obserwacji z góry kabiny maszynisty i obrony przed atakiem z tyłu. Mieliliśmy przy sobie pepesze i granaty. Z tej pozycji nie mieliśmy jednak możliwości obserwacji trasy. Psychicznie przygotowani na najgorsze czekaliśmy na atak. Ataku jednak nie było. Z uczuciem prawdziwej ulgi stwierdziliśmy, że czerwone światło pochodziło z tylnego oświetlenia samochodu, który utknął w kałuży tuż przy samym torze. Na szczęście dla nich i dla nas awaria samochodu nie nastąpiła na samym przejeździe. Zderzenie czołowe z samochodem ciężarowym, to pewna katastrofa, której w normalnych warunkach można było uniknąć. Niestety, podobno strach ma zawsze wielkie oczy.

Na parowozie od pierwszych dni przyszło mi stanąć oko w oko z ponurą rzeczywistością przestępczego świata. Tego się nie spodziewałem i nigdy dotąd nie przypuszczałem, że jest on tak zakłamanym, okrutnym, perfidnym i zdeprawowanym. Ludzie, z którymi przyszło mi teraz razem pracować manifestując uczciwość i oddanie dla wyzwolonego kraju najzwyczajniej kradli wszystko, co się tylko dało. Z czasem przekonałem się, że w zasięgu mego bytu istnieje i bezkarnie funkcjonuje zorganizowane przestępcze podziemie, którego nić prowadziły do wysoko postawionych w hierarchii społecznej osobistości. Cechowała je nie tylko chęć przetrwania i absolutnej solidarności lecz także przemożna żądza posiadania.

Fakt mojej pracy na parowozie najwidoczniej sam przez się stanowił dowód wiarygodności i zaufania do mnie.

Przy pierwszej okazji transportowania spirytusu dostałem od maszynisty przykaz aby w czasie jazdy pociągu przejść na bryk cysterny, gdzie spotkam pojeżdżowo mastiera, czyli pracownika obsługi technicznej pociągu. Zadaniem moim będzie przeniesienie na parowóz kilku kanistrów spirytusu.

Technika kradzieży spirytusu z zaplombowanych cystern była nadzwyczaj prosta. Wystarczyło trochę odkręcić tkwiącą w ścianie cysterny śrubę a przez wyżłobiony wzdłuż korpusu otwór pod dużym ciśnieniem tryskał spirytus. Należało jedynie uważać na oczy, aby nie opryskać.

Kiedy po wykonaniu zadania zagadnąłem maszynistę, że jest to całkiem niezły sposób, ten poinformował mnie baz najmniejszej żenady, że w okolicy nie ma ani jednej cysterny, która by nie była przestrzelona i nie miała takiego "korka". Gdyby się jednak taka trafiła, to przy pierwszej okazji ktoś z obsługi pociągu ją przestrzeli i skieruje do naprawy. W miejscowym depo wiedzieli dobrze, jak to robić. Nie nakładano "korka" przy wykorzystaniu techniki spawalniczej pence ze względu na pośpiech i groźbę wybuchu alkoholowego gazu lecz gwintowano otwór "głuszając" go specjalnie spreparowaną śrubą. Jest rzeczą oczywistą, że wiedzieć o tym musieli zarówno pracownicy obsługi pociągów, mechanicy i ślusarze w depo, jak i całe naczalstwo. Z kradzieży praktycznie korzystali wszyscy. Nie wiem jednak do dzisiaj, czy działalność ta była kontynuacją sabotażu z okresu okupacji, czy też zrodziła się po wyzwoleniu na zdezorganizowanym zapleczu?

Zupełnie inną technikę stosowano przy kradzieży melasy, która stanowiła bardzo poszukiwany towar, jako doskonały surowiec do pędzania bimbru. Dostarczając cysterny z melasą do spirtzawodu

zazwyczaj oczekiwaliśmy na ich opróżnienie, chociaż nie należało to do naszego obowiązku. W interesie pracowników fabrycznej obsługi leżało możliwie szybkie zlanie melasy aby uniknąć ręcznego przetaczania cystern. Obsługa parowozu zaś nigdy nie dysponowała czasem. Grawitacyjny spływ gęstej cieczy w końcowej fazie zazwyczaj przedkładał się w nieskończoność. Wystarczyło zatem zamknąć zawór i podstawić następną cysternę. Na wewnętrznych ścianach cystern zawsze pozostawało "trochę" melasy. Po przetoczeniu opróżnionego transportu chociażby na odległość kilkuset metrów i otwarciu zaworu można było utoczyć sto do trzystu litrów melasy z każdej cysterny.

Nie na każdej zmianie nadarzała się taka okazja. Na parowozie "posudy" było zawsze trochę ugodno. Na sporytus najlepsze były polskie kanistry, na melasę zaś metalowe, hermetycznie zamknięte, trofejne pojemniki po minach i skrzynie po amunicji. Rzadziej wykorzystywano mosiężne łuski ładunków artyleryjskich kalibru 303 mm, do których wchodziło ponad dwa pudy melasy. Jedyną wadą tych pojemników był brak hermetycznego zamknięcia. Dlatego wykorzystywano je zazwyczaj w domu.

Zarówno pojemniki puste, jak i wypełnione towarami lokowano na parowozie odpowiednio maskując w węglu. Pełne kanistry ze spirytusem najczęściej umieszczano w tendrze z wodą. Czasami kradziony towar umieszczano w kabinie obsługi parowozu. Zależało to od maszynisty. W rygorystycznych warunkach stanu wojny parowóz był miejscem całkowicie bezpiecznym. Nikt nie miał prawa wstępu pod groźbą użycia broni. Maszynista lub jego pomocnik pozwalał na zbliżenie jedynie tym, co przychodzili po towar lub należną im doleg.

Przedmiotem szczególnego zainteresowania tej wyrafinowanej, frunkcjonującej bezkarnie złodziejskiej służby żeleznodorożników było zboże. Transporty ze zbożem trafiały się jednak rzadko. Ze względu na ciągłe kradzieże nie puszczano pojedynczych wagonów lecz kompletowano całe zestawy. Jak się zorientowałem już w początkowym okresie pracy na parowozie, wszelkie próby przeciwdziałania kradzieży zboża nie przynosiły żadnych rezultatów. Dla ochrony każdego wagonu przydzielano specjalnego dozorcę. Były to zazwyczaj dziewczyny, potocznie nazywane prowadnicami, które miały obowiązek pilotowania wagonu do miejsca przeznaczenia. Pomimo to, za każdym razem z transportu coś tam skradziono.

Technikę tej kradzieży poznałem dokładnie, kiedy przyszło mi w niej uczestniczyć bezpośrednio. Pewnego dnia przed świtem, gdy pokonywaliśmy spore wzniesienie maszynista po włączeniu boczych "kranów" celem przedmuchania cylindrów stworzył wręcz ogłuszającą osłonę akustyczną, symulując niejako szczególnie trudny podjazd pod górę przy ograniczeniu szybkości pociągu do zwolnionego spaceru. Bez uprzedzenia i jakichkolwiek wyjaśnień maszynista polecił mi wyskoczyć i przejść na brak trzeciego wagonu. Tu oczekiwał na mnie pojezdnoj mastie. Z tej strony pociągu drzwi wagonów były pozamykane. Dostałem dyspozycję ubezpieczenia go, podczas gdy on ze sprytem mały w mgnieniu oka zawisł u drzwi wagonu, umocował pasem do rygla i przy pomocy drewnianych kleszczy spokojnie odblokował ołowianą plombę. Po chwili drzwi wagonu były otwarte. Szedłem tuż przy otwartych drzwiach wagonu. W kilkanaście sekund pojezdnoj spuszczał mi na plecy worek przenicy. Było tego zapewne z osiemdziesiąt kilogramów, bo poczułem, jak miękną mi nogi. A może to był zwykły strach? Pociąg przez cały czas niemilosiernie sycząc i plując na boki parą sunął wol-

no do przodu podczas, gdy ja stałem w miejscu.

Sławko! Ty ... twoją mat' um potierał? Alusia maszynisty była jednomyślna. To nie były żarty. Ruszyłem więc krusem w kierunku parowozu. Maszynista był w zdecydowanie lepszej kondycji niż ja. Stojąc na stopniu chwycił worek jak torbę z obrokiem i wrzasnął, dawaj jeszcze! W sumie do parowozu trafiły cztery worki pszenicy. Drzwi wagonu zostały ponownie zaryglowane. Plomba wróciła na swoje miejsce bez szkazy. Z sąsiedniego wagonu, jak gdyby nie dochodziły słowa sentymentalnej piosenki:

"Katienka, Katiuszka
Kupieczeskaja docz,
Gdzie ty progulaka
Wsiu tiomnuju nocz?"

Teraz już wiedziałem kto, jaką tu spełniał rolę. Zaplombowane drzwi wagonów z jednej strony pociągu sprawiały poczucie absolutnego bezpieczeństwa. Chwostowej, czyli pracownik obsługi pociągu zobowiązany do nadzoru składu i przebywania na breku ostatniego wagonu zwabił wszystkie dziewczyny do jednego wagonu. Można tu sobie było pożartować i pośpiewać mając poniekąd na oku wszystkie wagony. O głupia naiwności! Przecież żadna z tych rozbawionych dziewcząt nawet nie przypuszczała, że w tym czasie może się cokolwiek wydarzyć.

W Iwańkach kończyliśmy zmianę. Wagony pojedą dalej bez nas. Z pewnością dlatego w odległości kilku kilometrów od stacji maszynista uświadomił mnie, że dojeżdżając do zarośli pozbędziemy się pszenicy, a moim zadaniem będzie zamaskować worki i oczekiwać w ukryciu odbiorców towaru na skraju zarośli od strony stacji. Odniośłem wrażenie, że scenariusz ten już wcześniej był doskonale przewidziany. W niespełną godzinę nadeszła

opisana przez maszynistę kobieta a nieco później jeszcze sześć. Podział kupa był sprawiedliwy, po pół worka na głowę. Mnie przypadła pokówka z workiem. Rozeszliśmy się pojedynczo w pewnych odstępach czasu i różnych kierunkach. Dowiedziałem się później, że miałem okoliczność spotkać żony zarówno znaczących pracowników dyrekcji Iwańkowskich Żeleznodorożnych Podjezdnych Ąutiej, jak i członków zespołu obsługi składu pociągu. Skąd właśnie taki podział zdobył nie dowiedziałem się nigdy i nigdy o to nie zabiagałem.

W swoim życiu przedtem ani po powrocie do kraju nigdy nie kradłem. Byłem świadomy odpowiedzialności karnej za tego rodzaju czyny. Trzeba było jednak jakoś żyć i zapewnić byt rodzinie, ja zaś ciągle jeszcze nie miałem osiemnastu lat.

Z czasem, gdy zaczęła napływać pomoc z UNRY zmieniłem pracę. Z jednej strony nie mogłem dalej grzęznąć w tym przestępczym bagnie, z drugiej zaś zmuszały do tego wręcz makabryczne warunki higieniczne. Nie było ani mydła, ani proszków. Kradzież przydzielanej w ograniczonych ilościach do zapobiegania tworzeniu się kamienia wapiennego w kotle sody kaustycznej nie rozwiązywała sprawy. Po ukończonej zmianie nie można się było domyć. Ręce a nawet twarz trzeba było nawilżać masłem i wycierać zwykłą, miękką gliną. Był to w zasadzie jedyny a zarazem skuteczny sposób aby domyć ciało, ale nie było sposobu na utrzymanie w czystości bielizny i odzieży.

Chrzest bojowy w C_2H_5OH

Po przyjeździe do Iwaniek już jako pomocnik maszynisty poznałem Jurka Knobelzdorfa. Był on fajnym kumplem, tyle że nadmiernie obciążonym pracą. Posiadał udokumentowane kwalifikacje tokarza, frezera i szlifiera. Nic dziwnego, że bez problemu znalazł tu godziwe zatrudnienie w uruchomionym - nie bez trudności - po przejściu frontu spirtzawodzie.

Jurek zdobył kwalifikacje za sprawą matki, która nie panując nad sobą miała zbyt wiele do powiedzenia Stalina, władzy radzieckiej itp. Wyrok opiewał na trzy lata a dorastające rodzeństwo skierowano do pracy. Starsza siostra Jurka - jak wynikało z jego relacji - z czasem dostała się do Kościuszkowców, natomiast on przebywał i pracował w zakładzie metalurgicznym, gdzie początkowo zamykał hale produkcyjne i sprzątał powstające w procesie obróbki metalowe odpady, a następnie był przysposabiany do zawodu.

Jako wykwalifikowany tokarz, frezer i szlifierz po przyjeździe na Ukrainę Jurek stanął samodzielnie na własnych nogach i wkrótce poznał swoją warość, jako niezastąpiony. W odróżnieniu od licznej grupy Polaków Knobelzdorfowie dostali służbowe, samodzielne mieszkanie w obrębie fabryki. Co prawda były ograniczenia w przekraczaniu fabrycznej bramy ale Jurka koledzy nie mieli żadnych trudności. Mieszkanie było tuż przy bramie głównej.

Z Jurkiem zaprzyjaźniliśmy się na dobre. Łączyły nas poniekąd wspólne zainteresowania techniczne. Ja byłem pomocnikiem maszynisty, on zaś pierwszym oficerem na spirtzawodzie. Krótkie, urywane sygnały fabrycznej syreny wzywały Jurka o każdej porze dnia

i nocy do natychmiastowego stawiennictwa w pracy celem usunięcia kolejnej awarii. Pray absolutnym błędem części ziemnych i zdevastowanym parku maszynowym miało to charakter bezmała ciągły. Były też z tego tytułu odpowiednie profity. Gratyfikacje za nadliczbówki Jurek zazwyczaj realizował w naturze, a spirytus na rynku w cenach umownych stał zdecydowanie wysoko. Dotychczas nie miałem okazji poznać jego smaku. W Kazachstanie piłem tylko kumys który wprowadzał jedynie w stan lekkiego ransa, ci zaś, którzy cierpieli na całkowity zanik alkoholu w organizmie z konieczności musieli się zadowolić kroplami walerianowymi, miętowymi i żądkowymi na sprytusie, wodą kolońską "trojnoj" albo likierem na kościach, czyli denaturatem.

Tu na Ukrainie na ogół pito dużo, pędzonego z melasy i trącającego burakami bimbru - przeważnie pod cebulę. Trudno było zachować abstynencję, gdy prawie w każdym domu pędzono bimber. Standardową miarkę stanowił tu kanciasty stakan o pojemności dwustu gramów tak zwany piateryk. Nazwa ta wynikała zapewne z pojemności, stanowiącej piątą część litra.

Co oznacza wzór chemiczny C_2H_5OH przyszło mi poznać znacznie później, przed tem poznałem znaczenie słowa spirytus. Za sprawą Jurka wczoną wiosną 1945 roku zostałem zaproszony na wielkanocne śniadanie do jego domu. Przed sobą mieliśmy pięknie zapowiadający się dzień słoneczny i perspektywę miłego spotkania w gronie dziewcząt - Damsi Kopp, Janki Sawickiej (Paryżanki) i innych. Śniadanie, jak na ciężkie czasy i oczekiwania wygłodzonego podrostka było wręcz wyśmienite. Na stole znalazły się prawdziwe jajka, zimne przekąski oraz kopiasta misha sypkich, obficie okraszonych skwarkami i przyrumienioną cebulką ziemniaków.

Był również alkohol.

Przy stole towarzyszyła nam matka Jurka. Świadomi bliskiej klęski Hitlera i pełni wiary w szybki powrót do kraju, natchnieni optymizmem składaliśmy sobie serdeczne życzenia. Była to bardzo wzruszająca chwila i niepowtarzalna okazja do spełnienia toastu do dna....

Nie zapomnę tego nigdy.

To nie był zwykły szok. Mój wygląd i zachowanie były zapewne na tyle zabawne i nienormalne, że Jurek pokładał się w szaleńczym śmiechu, podczas gdy ja sterczałem prawie granatowy bez tchu, kompletnie zdezorientowany i bezradny. Na dodatek odruchowo zrobiłem kardynalne głupstwo sięgając po gorącego kartofla... O skutkach lepiej nie wspominać. Na szczęście Jurek się opamiętał. Widząc, co się dzieje podał oczekujący na stole kubek zwykłej, zimnej wody. Jeden łyeczki wody zgasił to piekło, jak za pościągnięciem czarodziejskiej różdżki. Złapałem oddech. Po chwili poczułem się zupełnie dobrze. Ocierając^{łyż} miałem do kumpla głęboki żal za to, że poddał mnie tak okrutnej próbie. Tak, to był czysty sporytus - rektyfikat.

Zdarzenie to ostatecznie potraktowaliśmy jako żart. Jurek nie przypuszczał, że ja nigdy przedtem, że pierwszy raz. Przecież kubek z wodą stał na stole i wystarczyło tylko po nią sięgnąć. Druga kolejka poszła zdecydowanie lepiej. We dwójkę opróżniliśmy pełną butelkę spirytusu o pojemności trzy-czwarte litra, po czym zgodnie z programem, faszując na drogę po flaszcze wyruszyliśmy do wsi na umówione spotkanie.

Te zaledwie dwa kilometry za pierwszym podejściem okazały się jednak nie do pokonania, tym nie mniej towarzyszyła nam pełna

świadomość, co się z nami dzieje. Wiedzieliśmy dokąd i po co idziemy. Niestety, nie byliśmy w stanie utrzymać się na nogach. Z wielkim trudem pokonaliśmy przestrzeń, która dzieliła nas od stojącej opodal drogi sterty słomy. Tu natychmiast umorzył nas pijacki sen. Przespaliśmy prawie cały dzień. Obudził nas dokuczliwy chłód. Słońce chyliło się ku zachodowi. Znaleźliśmy się w zasięgu cienia.

Jurek, jako bardziej dotrenowany, kondycyjnie był zdecydowanie lepszy. Z wielkim trudem stanęliśmy na nogi. Umysł pracował prawie normalnie ale zmysł rozmowagi zdecydowanie jeszcze zawodził. Mimo to konsekwentnie podjęliśmy trud dotarcia do celu.

Po drodze spotkaliśmy znajomego chłopaka na rowerze. W ciasnej głowie zrodziła się myśl sprawdzenia umiejętności jazdy na rowerze. Ciekawe, czy po pięciu latach człowiek jeszcze potrafi? Na przyjazną odzywkę chłopak podał rower z prośbą aby zbyt daleko nie odjeżdżać. Nie pojechałem nigdzie. Innym razem mogłem się przekonać, że nadal na rowerze jeździć umiem. Tym razem postawiłem jedynie lewą nogę na pedale i po dwukrotnym odbiciu zamiast przekroczyć drugą nogę upadłem całym ciałem na ramę tłukąc w kieszeni marynarki butelkę spirytusu.

To była prawdziwa klęska. Rozlany ^{zmoczył} spirytus płaszczyz, marynarkę, koszulę i część dolnej garderoby. Omalłem się, jak w kadzi po spirytusie. Teraz dopiero zaczynałem rozumieć istotę koszmarnych opowieści naczelnika pożarno-storożewej ochrony Izko o tym, co się działo przy okazji wielokrotnego przechodzenia z rąk do rąk Iwaniek w spirtzawodzie i skalę ludzkich ofiar - cywilów i wojskowych. Za cenę zdobycia spirytusu rażeni jego oparami ludzie, tracąc rozmowę wpadali do zakopanych w ziemi pojemników ponosząc śmierć w najbardziej nieoczekiwanym momencie. No i te makabryczne

prace przy wydobywaniu trupów i oczyszczaniu zbiorników...

Z trudem dotarliśmy do swoich. Myślałem, że było wesoło. Ja niestety, byłem nasiąknięty spirytusem, jak gąbka i raczej nieobecny. Epilogu tego dnia nie zarejestrowałem, prologu zaś nie zapomniałem do końca życia.

Wspominki

Prawosławne święta wielkanocne zgromadziły na miejscowym cmentarzu prawie całą społeczność Iwaniek. Było to tradycyjne, a zarazem wyjątkowo przyciągające widowisko obrzędu duchowej więzi żywych z tymi, co odeszli na zawsze oraz okazja do konstatacji skutków dobiegającej końca wojny. Wśród mężczyzn dominowali starcy, inwalidzi i osoby kalekie. Kobiety rozpaczały po stracie ojców, mężów, synów, rodzeństwa i przyjaciół.

Były to pierwsze święta po wyzwoleniu spod hitlerowskiej okupacji w bardzo trudnych warunkach ekonomicznych oraz uwikłanych układach społecznych lecz w wolnym, choć wewnętrznie rozbitym środowisku.

Tej wiosny w Iwańkach i okolicach szerzył się tyfus. Nie szczędził on również Polaków, którzy w większości byli stłoczeni w pbszernych obszczeżytiach, gdzie zakażenie następowało wprost przez bezpośrednie kontakty między sobą. My mieszkaliśmy poza murami cukrowni i być może to nas uchroniło. Tak więc obok bilansu strat spowodowanych wojną na grobach zanoszono modły o zdrowie dla tych, którzy na groby przyjść nie mogli. Nie znając miejscowych tradycji, nie wybierałem się na cmentarz ale namówił mnie do tego mój poprzedni przełożony Iżko.

Śmiejąc się twierdził, że jest to wyborna okazja aby dobrze zjeść i wypić. W mniemaniu tego człowieka tylko te cele usprawiedliwiały sens życia.

Istotnie. Na grobach nasłanym obrusami albo dużymi, ręcznie haftowanymi ręcznikami obok chleba, ciasta, pierogów i innych specjałów tu i ówdzie można było zobaczyć wysoloną słoninę, drób, potrawy z mięsa, dania z ryb oraz duże ilości alkoholu, głównie bimbru. Odnowę poczęstunku i wypicia za zmarłych, których wymieniano z imienia traktowano wręcz, jako nieczystość i obrażę. Każdy, kto przechodził obok mógłby być zapraszany do przycupnięcia i speknienia toastu za..... Przy każdym grobie można było poznać w dużym skrócie tragiczne losy rodziny i ogrom poniesionych w czasie wojny strat. Współczucie i litość były powszechne ale należało to potwierdzić speknieniem toastu i spożyciem zdobytego z wielkim trudem jadła.

Tak, iako miał absolutną rację. Rezygnacja z obejrzenia tego, być może jedynego w swoim rodzaju zdarzenia i ze względu na wyzwolenie wyjątkowego, a zarazem folklorystycznego obrzędu ludowo-religijnego oraz degustacji wyrobów lokalnej gastronomii byłaby zwykłym brakiem zdrowego rozsądku. Nie miałem tu na omentarzu nikogo ale serdecznie współczułem wszystkim, którzy opłakiwali zabitych, zaginionych i pomordowanych lub błagali Boga o powrót mężów i synów z wojny.

Czas i alkohol robiły jednak swoje. To prawda, że jedni upijają się na wesoło, inni na smutno. Alkohol potrafi również wyzwalać agresję nawet w najmniej stosownych okolicznościach. Tu na omentarzu obok żez, cichego szlochania słychać było odgłosy szamotów, tragiczne zawodzenie, okrzyki rozpacz i wesołe żołnierskie piosenki.

Tu i ówdzie dochodziły odgłosy żartobliwych i tragicomicznych czastuszek. Niekóre wręcz prawnie przedstawiały ludzkie tragedie jako szczęście:

"Charaszo tomu żywiotsa
U kawo odna noga
I szatany jemu nie rwat
I nie nada sapoga".

Obok znanych pieśni ludowych, jak "Rewe taj stohne Dnipro szyrokiy" lub romantycznych dumek typu "Oczy wy oczy, oczy diwochy, deż wy nawczykyś zwodyt ludej.." można było słyszeć skoczną, a zarazem beztroską piosenkę:

"Oj sad winograd, kuczerawa wisznia,
Stoit chłopeć pid wiknom, sztoś diuczyna wyszła"

Były również solowe tańce w wykonaniu przerosniętych panienek oraz nie zawsze przyswoite przyśpiewki, potwierdzające nieprzemijającą mądrość starego porzekadła "głodnej kumie chleba umie":

"Wozle kuznicy tropa,
Diewki wyje... popa;
Pokazałos charaszo,
Dajka batiuszka jeszcze."

Jakież to wszystko niesamowite. Jedynie osobisty udział w tym spontanicznym, zbiorowym obrzędzie powiązanym z modłami za zmarłych w poczuciu triumfu zwysięstwa nad bestialską zbrodnią najeźdźcy pozwala na zrozumienie tej niesamowitej scenerii ludzkich zachowań i postaw. Tragedia ludzka nie zna granic. Skutki tragedii przeżywane zbiorowo w specyficznej sytuacji i okolicznościach, jak widać nie mieszczą się w konwencjonalnej normalności i można je oceniać jedynie w kategoriach szeroko rozumianej psychologii tłumu.

Nie obeszko się również bez pretensji, pomówień i ciężkich oskarżeń o kolaborację, zdradę, zwykłe kradzieże i zbrodnie. Wspominano więc nie tylko tych, co utracili życie ale także i tych, dzięki którym niewinnie ginęli ludzie. Nie brakowało więc i przekleństw, obietnic porachunku i wendety. Miejscowi najwyraźniej wiedzieli o sobie bardzo dużo. Do tej pory widocznie nie było stosownej okazji aby o tym porozmawiać. W umysłach wielu ludzi kiełkowała żądza zemsty.

Nie przypominam sobie abym tego dnia na cmentarzu widział księdza prawosławnego lub grekokatolickiego.

Wielkanocne wspominki na grobach Iwańkowskiego cmentarza zapewne dla wielu przyniosły ulgę. Polaków przyjmowano tu z prawdziwą sympatią i współczuciem. Sowicie obdarowywano chlebem, pierogami a nawet słoniną. Ta szczera życzliwość i dobroduszość była wręcz rozbrajająca. Tego rodzaju zdarzeń i okoliczności w Kazachstanie nie było.

Tu, na wyzwolonej ukraińskiej ziemi ja, jako podrostek przeszedłem pogłębioną lekcję współczesnej historii narodu, który marząc o niepodległości w czasie minionej wojny, być może sam sobie wyrządził wiele złego.

Niestety, w tym czasie nie wiedzieliśmy jeszcze o zbrodni katyńskiej ani o losach oficerów z Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska.

Metamorfoza

Odejście z pracy na parowozie nie było łatwe. Traktowano ją na równi ze służbą w wojsku. Gdy się udało wszyscy w domu odechnęliśmy z ulgą. Skończył się codzienny kontakt ze smarami i węglem. Unormowany czas pracy uwzględniając nawet wykonywane do-
raźnie zadania po godzinach dawały szansę na bardziej unormowa-
ne życie. Dotychczas po dwudziestoczworgodzinnej , wy-
czepującej pracy w dzień trzeba było się przespać i wypocząć.
Inni robili to normalnie w nocy. Z konieczności byłem więc po-
niekąd odizolowany od otoczenia. Fizyczna praca gruzczyka, chociaż
równie ciężka stwarzała między innymi możliwość wygospodarowania
po pracy trochę wolnego czasu na kontakty z rówieśnikami i nor-
malne życie towarzyskie. Teraz bezpośrednie kontakty ze środowi-
skiem Polaków miałem również w pracy. Tak więc w końcowym okresie
pobytu w Iwańkach zaprzyjaźniłem się z Bolekiem Białobłockim,
który wspaniale operował potężną szuflą przy zakładunku i rozła-
dunku wagonów.

Bolek pochodził z rodziny robotniczej i prezentował postawę
prawdziwie zaangażowanego politycznie robotniaka. Pełnił funkcję
sekretarza miejscowego koła Związku Patriotów Polskich, do które-
go należała większość Polaków. Dotknięty drobną ukłonnością-lekko
utykał na nogę. W Kazachstanie ożenił się z Rosjanką, która przy-
jechała z nim na Ukrainę. Bolek po przebytych tyfusie imponował
wspaniałą, kędzierzawą czupryną. Był dobrym kumplem, dobrym orga-
nizatorem pracy i spotkań towarzyskich. Mieszkał w oddzielnym, po-
łożonym nieco na uboczu domu, co w pewnym stopniu chroniło nas
przed nadmiernym wścibstwem starszej generacji pań, zdecydowanie
przewrażliwionych w zakresie spraw moralnych, kultury słowa i

ben temu w ogóle. Osobiście po przejściu indywidualnej, niecc
innej niż moi rówieśnicy i większość Polaków drogi w Kazachsta-
nie i tutaj w Iwankach, podobnie jak Bolek byłem daleki od kon-
wenansów, w kontaktach z otoczeniem raczej chropowaty o niewyb-
rednym słowniku i nonszalanekim sposobie bycia.

Za jego sprawą, jak większość Polaków wstąpiłem do Związku
Patriotów Polskich. Teraz w częstych kontaktach z grupą polonij-
nej inteligencji uświadamiałem sobie z dnia na dzień kompletny
brak ogłady towarzyskiej i zwykłej kultury, poddając się bezwol-
nie wpływom otoczenia i skutecznej metamorfozie.

W chwilach wolnych od pracy chętnie korzystałem z życzliwości
Józka Jakubowskiego, który bezinteresownie uczył mnie gry na
mandolinie. Z czasem nauczyłem się nieźle grać ze skłuchu krako-
wiaka, kujawiaka, menueta oraz wielu innych tańców i melodii.
Jednocześnie zacząłem uczestniczyć w pracach zespołu artystycz-
nego, który realizował ambitny, polski repertuar patriotyczny.
Wszystko to wymagało bliskiej współpracy z gronem wykształconych
i zaangażowanych pań, które zajmowały się aranżacją, choreogra-
fią i scenografią przygotowywanych występów. Przychodzili na nie
nie tylko Polacy ale i mieszkańcy Iwaniuk również spoza obrębu
cukrowni.

W tym okresie tu na wyzwolonym obszarze Ukrainy powstały real-
ne warunki dla rozwoju działalności kulturalno-oświatowej i po-
litycznej Polaków. Sprzyjał temu przychylny stosunek lokalnych
władz i rozwój terenowych kół Związku Patriotów^{Polskich}, które
obok informacyjno-kulturalnej prowadziły działalność charytatywną w
ramach pomocy UNRA.

O sytuacji politycznej na wyzwolonych terenach Polski nie

wiedzieliśmy prawie nic. Obce nam były wewnętrzne rozgrywki różnych ugrupowań politycznych i militarnych o kształt i oblicze wyzwolanej ojczyzny. Wszystko, co robiliśmy, robiliśmy z myślą o Polsce, jaką zachowaliśmy w swojej pamięci.

Z napływającymi informacjami wiedzieliśmy, że dobiegają końca rozmowy polsko-radzieckie na temat repatriacji deportowanych do ZSRR osób narodowości polskiej i żydowskiej. Uwieńczeniem tych rozmów była umowa z 6 lipca 1945 roku. Na jej podstawie dostaliśmy imienne, wystawione przez Pełnomocnika Delegatury Polsko-Radzieckiej Komisji Mieszanej Do Spraw Ewakuacji w Kijowie zaświadczenie Nr AE-0591 z datą 6 stycznia 1946 roku, zezwalające na wyjazd do Polski.

Czas tułaczki i poniewierki dobiegał końca.

Zgrabna, czarnecka Marusia, siedemnastoletnia sierota na utrzymaniu ciotki, którą wcześniej poznałem za sprawanaczelnika Iłko, gdy dowiedziała się, że wracamy do Polski ze łzami w oczach prosiła abym ją zabrał ze sobą. Była to niewątpliwie jednostronna oferta matrymonialna - wręcz oświadczyny, do których nie byłem przygotowany ani uczuciowo, ani psychicznie. Ona zapewne widziała w tym życiową szansę, ja zaś przełeczny koniec przegranego dzieciństwa i młodości. Jadąc w nieznaną nie mogłem ryzykować własnej przyszłości i przyjmować na siebie tego rodzaju zobowiązań.

W grudniu ukończyłem zaledwie osiemnaście lat. Na utrzymaniu miałem matkę i młodocianą Danusię Nieścior, przed sobą zaś, jedynie wiarę w lepsze jutro i perspektywę wypełnienia nieznaną treścią rozpoczętego życiorysu.

To bardzo dużo, a zarazem nic.

Ostatni etap tułaczki

Styczeń i początek lutego w 1946 roku były wyjątkowo ciepłe. W ciepłuszkach panowała prawdziwa radość..Jedni śpiewali, drudzy tańczyli, niektórzy zaś świadomi utraty swoich bliskich w Polsce lub dalekiej Syberii z trudem dławili w sobie ból i gorz.

Piątego lutego dotarliśmy do granicznej stacji Jagodno. Tu dokonano kontroli granicznej dokumentów, zalecając jednocześnie złożenie wszelkich, wydanych przez władze ZSRR dokumentów oraz pieniędzy. Ostrzegano, że będzie szczegółowa kontrola wagonów, a nawet rewizja osobista. Większość praworządnych i naiwnych, unikając ryzyka dla świętego spokoju i przyspieszenia formalności postąpiła zgodnie z poleceniem. Rewizji oczywiście nie było.

W Jagodnie na terenach przyległych do torów jak okiem sięgnąć leżały zesztablowane kolejowe szyny. Tysiące, setki tysięcy szyn, których pochodzenia można się było łatwo domysleć - zdobywcze.

Jurek Knobelzdorf nie żałował spirytusu. Miał ze sobą całą dwudziestkę - pełny kanister. Korzystaliśmy z niego przez całą drogę w miarę rozsądnie zachowując niezbędny umiar.

Wreszcie pociąg ruszył. Następna stacja to Polska! W Chełmie znaleźliśmy się w bezpośrednim sąsiedztwie innych transportów, głównie transportów wojskowych z powracającymi z frontu żołnierzami Czerwonej Armii..Szczęśliwi, że wracają żywi i zdrowi grali na bajanach, zdobywczych akordionach, mandolinach, gitarach i bałabajkach przyspiewując sprośne czastuszki. Patrząc pożądlwie na nasze dziewczyny kierowali pod ich adresem żartobliwe do-

wciopy i nie zawsze skromne aluzje.

Radość była powszechna...

Niektórzy od ręki rozwinęli handel. Powracających z frontu interesowały głównie ruble i spirt. Mieli ze sobą pełny wybór eleganckiej bielizny damskiej i męskiej, cały asortyment odzieży, instrumentów muzycznych, aparatów fotograficznych i różne przedmioty codziennego użytku. Nie ukrywali - oto wsio trofejnoje. Najprawdopodobniej wiedzieli lub domyślali się, że po przekroczeniu granicy czeka ich kwarantanna i urata w całości zrabowanego majątku. Nie targowali się. Towar oferowali nie na sztuki ale hurtem na walizki. Była to prawdziwa okazja....

Teraź wyszło na jaw, kto pomimo zakazu wioził ze sobą ruble, kto miał zapasy bimbru i spirytusu.

Jurek zapewne żałował, że niezbyt oszczędnie gospodarował na trasie swoim zasobem ale to, co mu pozostało dawało szansę dla innych wręcz nieosiągalne. Miał przy tym sporo rubli, jako że handel spirytusem, do którego miał stosunkowo łatwy dostęp w Iwańkach stanowił jego drugie, chociaż nielegalne zajęcie.

W międzyczasie ktoś z wagonu dotarł na teren dworca i w pobliskim sklepie ^{zdobył} świeże, francuskie bułeczki. Przed rozpętnaniem wojny w 1939 roku kosztowały one po dziesięć groszy. Pamięć nie jest na tyle zawodna aby w ciągu sześciu lat zapomnieć ich smaku. Były szczególnie delikatne, chrupiące, pachnące i wyjątkowo pyszne.

W Kowlu dostaliśmy gorący posiłek i po raz pierwszy od sześciu lat nasz polski chleb na dalszą drogę. Pierwsze spotkanie z Polską i Polakami w porównaniu z Kazachstanem i Ukrainą wypadło wspaniale. Tu można można było liczyć na prawdziwą życzliwość

i kupić wszystko, co stanowiło przedmiot pożądanego i marzeń powracającego z tułaczki sybiraka. Przede wszystkim jednak żarcie. Radość więc była wielka, prawdziwa, pełna nadziei i entuzjazmu. Udając się z transportem dalej na zachód zrodziły się jednak wątpliwości, czy postępujemy skutecznie? Wiedzieliśmy, że nasz dom w Bielsku Podlaskim ocalał. Dręczące wszakże pytanie, jak się tam dostać? Czy warto ryzykować na własną rękę? Mimo rozterek zdecydowaliśmy się jechać do miejsca przeznaczenia transportu. W taki sposób dotarliśmy do Wrocławia. Tu na dworcu Nadodrze opuściliśmy wagon, rozpoczynając przejściowo koczownicze życie na peronie.

Miasto było zniszczone niesamowicie, chociaż nie wszędzie w jednakowym stopniu. W pobliżu dworca Nadodrze sterczące kilkuty zburzonych i wypalonych kamienie przypominały widok całkowicie zniszczonego miasta Kremenets. Nie było połączenia kolejowego z dworcem Wrocław Główny. W ograniczonym zakresie kursował jedyny tramwaj "0". Tu we Wrocławiu mogli pozostać wszyscy zainteresowani przyszłą pracą w mieście. Inni mogli osiedlić się w wyludnionych wsiach i opuszczonych gospodarstwach.

Bolek znalazł sobie mieszkanie w częściowo zburzonym budynku przy ulicy Św. Wincentego 5. Danusia Kopp z mamą urządziła się w domku jednorodzinnym na Osobowicach, Janka Sawicka (Paryżanka) wraz z rodziną oraz wiele innych rodzin zamieszkało w dzielnicy Krzyki. Jurek Knobelzdorf wyruszył w dalszą drogę do Szupaka, gdzie przebywała jego zdemobilizowana siostra.

My realizując postanowienie powrotu na własne pielesze dostaliśmy w miejscowym Urzędzie Repatriacyjnym zaświadczenie na kredytowy przejazd do stacji kolejowej Warszawa. W Warszawie przy

ulicy Długiej do 1939 roku mieszkali dwie ciotki i wujek. Dotychczas nie byłem tu nigdy. To przykre, ale przyszło mi pierwszy raz w życiu zobaczyć stolicę niesamowicie zniszczoną. Na Starym Mieście stwierdziłem naocznie, że legło ono całkowicie w gruzach i nie było mowy o odnalezieniu tu kogokolwiek. W odróżnieniu od Wrocławia i Kremieńczuga Stare Miasto nie było obrazem kołyszących się na tle nieba strzeliście sterczących kikutów ścian zburzonych budowli lecz makabrycznym rumowiskiem.

W siedzibie Polskiego Czerwonego Krzyża przy ul. Piłsudskiego XI wbrew oczekiwaniom nie uzyskałem adresu poszukiwanej rodziny w Warszawie. Zdobyłem natomiast adres Miłka, który przebywając we Włoszech poszukiwał ciotki Janki, a także adres ojca, który po wyzwoleniu przez wojska gen. Maczka obojgu przebywał w Lubecie.

Była to cudowna, wręcz najwspanialsza wiadomość w ciągu ostatnich lat. Wszelako całą rodziną wyszliśmy z tego potwornego kataklizmu wojennego żywi i cali. Nie można było tego powiedzieć o Danusi, której ojciec zginął w Starobielsku, matka zmarła w Akmołińsku, natomiast brat Zygmunt absolwent Oficerskiej Szkoły w Rjazaniu zaginął bez wieści po wyzwoleniu Lublina, o czym wtedy jeszcze nie było wiadomo. Fakt ten nie sprzyjał manifestowaniu wielkiej radości, tym bardziej, że byliśmy wyczerpani, niepewni jutra i głodni.

W warszawskim oddziale Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, który znajdował się w okolicach zniszczonego dworca kolejowego Warszawa Zachodnia otrzymaliśmy zapomogę pieniężną, trochę odzieży, żywności i bilet kredytowy do stacji Bielsk Podlaski.

Nie mieliśmy ze sobą żadnych bagaży. Drewniana waliza z dziełkami wzięcioma tomami encyklopedii oraz innymi wydawnictwami została

przekazana na bagaż kolejowy, jako przesyłka. W Warszawie nie było połączenia kolejowego przez Włazę. Bagaż-jak nam wyjaśniono musiał jechać zupełnie inną trasą. Z Wrocławia do Warszawy większość trasy pokonaliśmy stojąc i to często na jednej nodze. Pociągi były przeładowane nie tylko w środku ale nie było również miejsca na dachach wagonów, na stopniach i zderzakach. Na szczęście było ciepło.

Do Białegostoku dotarliśmy szesnastego lutego. Tu zostaliśmy powitani lodowatym chłodem północnego wiatru. Ale byliśmy już u siebie w Polsce i prawie w domu. Po spożyciu posiłku i zafasowaniu kilku amerykańskich konserw w punkcie etapowym PUR rano 17 lutego 1946 roku wylądowaliśmy na peronie w Bielsku Podlaskim, zamykając tym samym trasę katorżniczej tułaczki, jaką wspólnie zgotowali nam J.W. Długaszwili i oddany mi bezgranicznie oprawca Z.P. Beria.

Ukochany, rodzinny Bielsk powitał nas prawdziwie syberyjską zaniecią i piekącym mrozem. O tej porze na ulicach nie było żywej duszy. Szliśmy pod wiatr pochyleni do przodu, osłaniając uszy i twarz. I oto po sześciu latach beznadziejnej tułaczki stanęliśmy przed własnym domem. Serca biły niespokojnie ze wzruszenia i lęk przed nieznanym. Co dalej? Przecież nikt nas tu nie oczekuje.

Z umieszczonych na frontowej ścianie domu szyldów wynikało, że mieści się tu powiatowy ośrodek zdrowia i kancelaria szpitala powiatowego w Bielsku Podlaskim. Nie wiedzieliśmy natomiast, że poza wymienionymi instytucjami mieszka tu z rodziną intendent szpitala pan Lubański i rodzina Czerwińskich.

Lokatorzy, choć zaskoczeni przyjeźli nas przyjaźnie. Miejscowy Oddział Polskiego Czerwonego Krzyża zapewnił bezpłatne wyżywienie¹²

w okresie miesiąca. Później otrzymywaliśmy pomoc żywnościową ze szpitala, który znajdował się po przeciwnej stronie ulicy. Nie wszystko jednak układało się po naszej myśli. Pomimo wysiłków z naszej strony nie było szansy na dogadanie się z miejskimi władzami kwaterunkowymi. Pustym słowem i wyrazem współczucia towarzyszyła bezgraniczna impotencja. Po trzech dniach starań i koźowania w kuchni zdecydowaliśmy się sami sięgnąć po swoje. Po godzinach pracy zajęliśmy gabinet lekarski ośrodka zdrowia, przenosząc meble i wyposażenie do drugiego pokoju. W taki sposób przemocą zdobyliśmy dla siebie kąt we własnym domu.

Miałem za sobą sześć lat tułaczki i udręki, w tym cztery lata ciężkiej pracy. Przez ten czas ani jednego dnia nie byłem w szkole. Byłem prawie wtórnym analfabetą. Trzeba było wszystko zacząć od początku. Nie było to proste.

Nie doszło również do spotkania wszystkich członków ocalałej rodziny. Po powrocie z niewoli niemieckiej ojca w listopadzie 1946 roku zmarła matka. Miała zaledwie 46 lat. Jej pragnieniem od dnia deportacji do Kazachstanu był powrót do kraju i złożenie kości w ojczystej ziemi. Stało się to nieoczekiwanie, gdy powstały warunki normalnego życia we własnym domu.

Z A M I A S T E P I Ł O G U

Wszystkie przedstawione w wspomnieniach fakty i zdarzenia są prawdziwe. Okres czteroletniej pracy w Kazachstanie i na Ukrainie znajduje potwierdzenie w lakonicznych zaświadczeniach, które przedstawiam w wersji polskiej, sformułowanej przez tłumacza przysięgłego Michała Bocianowskiego:

I. Zaświadczenie uzyskane za pośrednictwem Wydziału Konsularnego Ambasady ZSRR w PRL przy piśmie Nr 277 z 12.04.1982r.

Zaświadczenie archiwum

W dokumentacji Archiwum Państwowego są dane o przyjęciu do pracy w 1942 roku obywatela Dawidziuka Sławomira s. Michała w charakterze robotnika, cieśli i brygadzysty 3-go Odcinka Budowy Linii Kolejowej Akmolińsk-Kartały i zwolnieniu go w 1944 roku. Pieczęć okrągła Państwowego Archiwum Celinogradzkiego Okręgu. Dyrektor Państwowego Archiwum Celonogradzkiego Okręgu. N. I. Bajczikow. 17.02.82. Nr 3-10-D-4-

II. Urzędowe potwierdzenie okresu zatrudnienia w latach 1944-1946 wydane w związku z repatriacją do Polski:

Zaświadczenie

Zarząd Iwańkowskich Kolei Dojazdowych zaświadcza, że Dawidziuk Sławomir s. Michała pracował na kolei dojazdowej od 25 listopada 1944 roku jako strażnik ochrony przeciwpożarowej, pomocnik maszynisty a w ostatnim okresie jako ładowacz. Z powierzonych obowiązków wykonywał się sumiennie. Zwolniony w związku z reewakuacją-wyjazdem do kraju. Pieczęć okrągła z napisem: NKPP Gławsa-

char. Uprawnienie Iwańkowskich Podjezdnych Putiej. Naczelnik
Zarządu Iwańkowskich Kolei Dojazdowych Dawydow, Sekretarz-
szlanina. 28 stycznia 1946 roku. Nr G-15-47-.

III. Stanowisko Związku Bojowników o Wolność i Demokrację
w sprawie uprawnień kombatanckich:

Związek Bojowników
o Wolność i Demokrację
Zarząd Wojewódzki
ul. Sienkiewicza 40
15-004 BIAŁYSTOK
L.dz. 804-Org. 83

Białystok, dn. 26.03.1983

Ob. Sławomir Dawidziuk
zam. Al. 1 Maja Nr 20a m. 48
15-446 BIAŁYSTOK

W załatwieniu pisma z dnia 14 marca b.r. - Zarząd
Wojewódzki ZBoWiD w Białymstoku uprzejmie informuje, że zgod-
nie z Wykładnią Regulaminu Weryfikacyjnego ZBoWiD - prace
wykonywane w okresie wojny na terenie ZSRR - nie dają upraw-
nień kombatanckich.

Sekretarz
Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD
w Białymstoku

(-) Zdzisław Nowakowski

Wykaz map

- 1-Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich,
fragment mapy polityczno-administracyjnej.
Skala 1:25 000 000, opracowanie J.Pac. Encyklo-
pedia Powszechna PWN, Warszawa 1976 r., t.4 Okładka
- 2.Kazachska Socjalistyczna Republika Radziecka,
obwód północno-kazachstański. Atlas dróg samo-
chodowych ZSRR, Moskwa 1969, tablica 115 str.21
- 3.Kazachska Socjalistyczna Republika Radziecka,
obwody: celinogrski, pawłodarski i karagan -
dziński. Atlas dróg samochodowych ZSRR, Moskwa
1969 tabl. 119-120 str. 30
- 4.Ukraińska Socjalistyczna Republika Radziecka,
obwód kijowski. Atlas dróg samochodowych ZSRR,
Moskwa 1969, tabl. 41 str. 88

Spis treści

1. Zamiast prologu	1
2. Tragiczny wrzesień	2
3. Feralna trzynastka	6
4. W niesmane	10
5. Nowy byt	14
6. Bejniatkor	22
7. Wyjenka	29
8. Żaktyr	35
9. Początki samodzielnej pracy	37
10. Kolargol	47
11. Makabryczna wiosna	50
12. Brygadzysta	59
13. Dazercja	66
14. Zakazane podróże	70
15. Nocny koncert w Karadyrze	74
16. Na rozjeździe	78
17. Iwańki	87
18. Wyższa szkoła charakteru i deprawacji..	91
19. Chrzest bojowy w $C_2H_5 OH$	99
20. Wspominki	103
21. Metamorfoza	107
22. Ostatni etap tułaczki	110
23. Zamiast epilogu	116
24. Wykaz map	118
25. Spis treści	119